

HERMANN LÖNS

Wacho





Hermann Löns

WACHO

Kartki z życia zwierząt

Tłumaczył

Ks. Ludwik Niedbał

Przekład autoryzowany

Skład główny w Księgarni św Wojciecha
Poznań 1925



Ilustrował Paul Haase

Drukiem A. Dittmanna T. z o. p.
w Bydgoszczy

Copyright 1911 by Adolf Sponholtz Verlag
G. m. b. H., Hannover (Germany)

74

Słuchajcie:

Świat szeroki nie zamiera,
Wszystko życiem skrzy,
Pusta skała pierś rozwiera,
Wydma piasku drży.

Otwórz bystro swe źrenice,
Milcząc stawiaj krok,
A uroczę tajemnice
Twój wyśledzi wzrok.

I zrozumiesz odzew kruka,
Smętne głosy sów:
Wszelki twór dla Ciebie szuka
Pozdrowienia słów.

Wyruszyli w wielkiej liczbie, uzbrojeni od stóp do głów, zgroźny przedstawiając widok w swym stroju wojennym.

Dołem tkwili w długich buciskach, górą w zamaszystych kapeluszach. Dokoła ich brzuchów zwieszały się niedbale, lub ciasno opinały grube myśliczki, których kieszenie obficie napechane były kopciuchami. U boku wisały im ładownice, brzemienne w brunatne, zielone, czerwone lub żółte łuski, zawierające ostry proch, butla z niemniej ostrą wódką, oraz różne paczki z porąbanymi śmiertelnymi szczątkami martwych świń i bydła. Na brzuchu nosili rękawice futrzane, około przegubu rąk iglicowe ogrzewacze, na plecach rusznice wszelakiej konstrukcji i wszelkiego kalibru.

Napełniali przysiónek dworcowy głośnym rozhoworem, peron dudniącymi krokami, trzy przedziały wagonu dymem od cygar, a szafnerów kolejowych zgrozą, bo co trzeci włókł za sobą wyrosły egzemplarz rodzaju *canis familiaris* i domagał się miejsca dla niego i dla siebie. Podczas jazdy ci, co ubiegłego wieczora zbyt długo odświeżali ducha, młócąc skata, lub dodawali sobie animuszu, spijając mnogo piw, drzemali potrosze, opierając o wyloty strzelb szanowne twarze o rysach nieco obrzękłych; inni trzymali obrazki djabelskie w garści, z boku zerkając sobie w karty, i odbierając sobie uczciwie lub mniej uczciwie zarobioną mamonę. Jeszcze inni uprawiali łacinę.

Grubas o wysadzonych oczach i wyglądzie apoplektycznym opowiadał głosem, od którego szyby w oknach drżały, że zając, do którego w dniu poprzednim strzelał na ośmdziesiąt kroków, padł z dymem, jak piorunem rażony, z zgruchotanemi do jednej kośćmi; podawał potem swoją strzelbę do obejrzenia; wszyscy popatrzyli w lufy, i udawali, że mu wierzą, a każdy spojrzał na sąsiada wzrokiem zdradzającym, że mu zgoła nie wierzono. Mówili obcym językiem, którego żaden rozsądny człowiek nie rozumiał, gadali o gachach i kocicach, farbie i turzycy, słuchach i osmykach, skokach i patrochach, kotłach i ławach, grzechotkach i martwym szlaku — a zawsze mieli na myśli zupełnie co innego.

Tak więc mknęli białym, porannym krajobrazem zimowym, na który słońce, wynurzając się z mglistej pościeli, słaby, rożany słało blask.

Blask ten różany zaigrał też w polach markowickich na nosie starego gacha, zwanego w rodzie swym Hryś Wacho, który kulejąc kicał powoli na chudych skokach poprzez trakt. Hryś postawił stoczek, szorstką szczotką przedniego skoku startł ze strzyży płatek śniegu i namyslał się, czy po obfitej porcji oziminy spożyć jeszcze nieco kory z młodych jabłoni w ogrodach markowickich, lub czy nie posłużyłoby mu więcej, gdyby uraczył się garścią łońskich listków jeżynowych; czuł bowiem ciśnienie w żołądku.

Wtem oznajmiła mu owa część ciała, którą siedział na spleśzczonem od koła wozowego jabłku złotawem, pochodzącem nie ze skarbu Hesperyd, lecz od osobnika szlachetnego rodu końskiego, że furmanka się zbliża. Wacho obrócił się, postrzygł słuchami o czarnych końcach, i pomyślał w miłej duszy, że to nie może przecież być pocztarek, bo ten prędej jedzie, ani mleczarek, bo ten wolniej jedzie, ani też któryś

z wozów śpieszących na targ, bo te już zwykły przejeżdżać przed świtem. Musi to zatem być coś niezwykłego; na niezwykłych zaś rzeczach wychodzi się zwykle źle.

Gach pokicał do rowu, dał susa przez wysoką zaspę śniegu, mimo, że posiadał trzy tylko skoki, i pomknął ścieżką, wydeptaną nad krawędzią przekopu. Na dużym krzaku tarni siedział srokosz. Wacho zapytał go się, czy nie widzi, co tam na trakcie nadjeżdża, własny bowiem wzrok już mu nie dopisywa.

Srokosz odrzekł, że to strzelcy z psami jada, i odleciał w stronę stogu, gdzie zoczył był mysz.

Wacho w głębokiej zadumie poskrobał się w słuchy i pokicał dalej aż do dużego głazu nad dołem piaskowym. Tutaj zastukał po trzykroć podeszwą lewego skoku tylnego o ziemię; miał tylko jeden tylny skok, drugi zjadły po zeszłorocznej nagance wrony szare. Na jego stukanie wynurzyła się z za kępy suchego rumianku para chędogo poczesanych słuchów. Były one własnością Szaruszki Kocickiej.

„Dobre rano, Szarko,“ bąknął Wacho, „dziś będzie naganka, nie wiem jeszcze, czy w lesie, czy też w polu. Miej się na ostrożności!“

„Ja umykam do boru, tam się snadniej ukryć można. Żyj, Hryś!“, rzekła Szaruszka, i pokicała ku lasowi.

„Powiedz też drugim o tem,“ krzyknął za nią Wacho, a Szaruszka dała słupka, postrzygła słuchami, kiwnęła i znikła.

Hryś spotkał jeszcze po drodze Kachnę Jurną i Wosia Korpala, i oznajmił im, że dobrze robią, trzymając bacznie słuchy do góry. Pokicawszy dalej, dotarł do nagiego wzgórza. Tu pokipiał to w tę, to w ową stronę, jak gdyby zguby szukał,

kluczył, mylił — aby w końcu przycupnąć w kotlinie, którą sobie wygrzebał.

Przesiedział w legowisku z godzinę; wtem usłyszał szmer. Kolkując zoczył skwapliwie zbliżającego się Adę Kłapoucha z obwisłymi słuchami, których chrząstki ubiegłego listopada śruty potrzaskały.

„Chłopie,” rzecze zdyszany Ada, „zapowiada się ciężki dzień. Naganka ławą przechodzi przez las i zagajenia, a potem będzie polowanie w kotły.”

„A do licha,” odparł Wacho, „z dnia na dzień mędrsi ci oprawcy zakamieniali! Ale zobaczę, co się da zrobić — żyj!”

I przycupnął znowu w swojej kotowinie, Ada zaś pokicał dalej.

Jeszcze z godzinę przesiedział tak Wacho i rozważał, że człowiek jednak najgorszym jest drapieżnikiem, mimo lisa, Rudka Mikity, i jastrzębia, Zbójka Kurokrada, i że byłby czas, zaradzić temu.

Wtem usłyszał daleki łopot, jak gdyby olbrzymi gach podeszwą zastukał o ziemię. I łopot ten wciąż się powtarzał.

Hrys Wacho dał słupka i popatrzył w ową stronę, lecz blaski jego na tę odległość zawodziły; więc przypadł znowu i czekał.

Słońce ogrzewało mu przyjemnie skromny kozuch, wiatr się ułożył, i wszystko byłoby tak dalece dobrze i pięknie, gdyby jeno strzelców nie było. No, ale stary gach już dawno był zrobił testament (liczył dziesięć zim); nie można przecież — tak filozofował — żyć wiecznie. Naraz zaczął strzyc słuchami; usłyszał bowiem wrzask bojowy wrony szarej. Podniósł się nieco z kotliny, i patry stanęły mu kołem.

Polem umykał zając w susach nieregularnych, tuż nad nim krążyły dwie duże szare wrony, z których jedna wciąż w górę podlatywała, i kota wyprzedzała, druga zaś wciąż lot zniżała, uderzając na blaski biednego zająca. I ustawicznie słyhać było ich złowrogie „arr” i „err”. Z każdą chwilą chory kot stawał się krótszy, i wtedy obie wrony w niego biły. Lecz on jeszcze raz się pobrał i dał parę susów; wkrótce jednak na nowo kurczył się.

Na widnokregu ukazała się czarna kropka, i jeszcze jedna; kropek tych było coraz więcej — same wrony, szare i czarne; zawisły nad chorym zającem jak chmura w krew i śmierć brzemienna.

A teraz — Wacho zadrżał i opuścił słuchy, bo wiedział, co teraz będzie — otóż teraz zbliżał się rów, i dla biednego kota nadchodził koniec. Już też Hrysia dochodził żalorny głos: „o jej, o jej, o jeej, biada mi” — potem ucichło wszystko, jeno ptaki ścierwarskie kłóciły się ze sobą.

Po chwili stary gach znowu usłyszał łoskot i widział, jak wrony się rozprysły. Podniósłszy się, zoczył ogromnego kondla goniącego chorego kota. Zając nie był ciężko chory, — to spostrzegł Wacho — był jednak tak osłabiony, że rączy pies wkrótceby go dogonił.

Był to Naś Jepurczak z Sowiejkępy — dobry chłop; takiemu trzeba pomóc.

„Naś,” mruknął Wacho, „ja się umknę, a ty tu przypadnij.”

Chory zając leśny zebrał siły, przycupnął nagle w ciepłej kotlinie, a stary kot polny potężnym susem, zostawiając za sobą tuman rozpylonego śniegu, pomknął w dal, mylił częstem kluczeniem, że pies zgłupiał zupełnie, rwał naprzód, jeszcze raz pokluczył, dał słupka, i od nowa brał pole, że zmachane

psisko aż ozór wywiesiło i gonić przestało. Wacho popatrzył za niem, uśmiechnął się, pokicał do najbliższej trawą zarosłej kępki, i przypadł znowu. Stare jego kości potrzebowały spokoju.

Po niedługim wszakże czasie dudnienie i trzeszczenie uderzyło słuchy jego z początku od północy, potem od zachodu, od południa, wkońcu też ze wschodu. Dał więc stoczek i zoczył dokoła same czarne pale. Po chwili zadźwięczała trąbka, pale się zbliżały, Wacho usłyszał huk i widział, jak tu ktoś z jego rodu, tam któryś z szaraków leśnych rwał po zaśnieżonej równinie, jak tam jeden stawał na łbie, tu drugi padał z dymem.

„Do diabła,” pomyślał stary gach, „to ja tu w kotle siedzę!”

Czarne pale coraz bliższe. Wszędy pryska śnieg, trzeszczy śrut, dusi dym, huczy grzmot.

Wacho siedzi jeszcze w kotlinie, i namyśla się, co zrobić. W prawą stronę uderzyć — nie, nie można, tam rzadko padały strzały i zawsze pojedynczo, widocznie umieszczono tam dobrych strzelców. W lewą — też nie bardzo, bo tam szło z góry na dół, a więc niepomyślnie. Ale wprost niego szedł strzelec, który prawie za każdym razem palił z obu luf, tegoż sąsiad zaś długo wprawdzie wymachiwał strzelbą, zanim się wreszcie „wykocił”. Dudnienie kroków było coraz bliższe. Tuż obok Wachy koziołkował Radko Chyżyskok, dał jeszcze parę susów przedśmiertnych i ufarbował śnieg na czerwono. Nieco dalej w prawo Dora Koszlonianka robiła testament, niedaleko od niej Bietka Skoczybruździna. Lecz pomiędzy wysokim strzelcem, co tak szybko raz po razie strzelał, a niskim strzelcem, co nie mógł się nigdy na czas „wykocić”, przebili

się właśnie szczęśliwie Woś Korpak i Jurko Rusak. Widząc to, stary gach sztywno się podnosi, kica pomału wprost ku luce między obu nemrodami, zbliża się do nich na odległość strzału, daje szczupaka w lewo, kluczy w prawo, w lewo i znowu w prawo, spostrzega jeszcze, jak dwaj strzelcy machają lufami strzelb, zupełnie jak krowy ogonami, gdy baki je tną — a potem dokłada wszystkich sił, na jakie go stać, rwie przez lukę, kluczy kurczowo, słyszy huk, krzyk, kłatwę, kipi dalej — i gdy nic już nie było słychać, stawia słupka i ogląda się.

Chróstówka zagrała. Strzały zamilkły. Strzelcy zlecieli się w jedno miejsce, podnosili coś, i podążyli ku wsi.

A było przecież dopiero południe.

Gdy już nie było widać nikogo, Wacho pokicał do miejsca, gdzie polowano w kocioł. Znalazł farbę; tu mało — ta była zajęcza; tam dużo — a ta była ludzka. I małe serce starego kota rozpiekała radość z dokonanej zemsty; teraz chętnie chciał umrzeć, wszakże pomścił krzywdy rodu swego.

O północy, kiedy księżyc pucuiowatą twarz jasno wychylił na kopule niebieskiej, zgromadziły się markowickie zajęce na polu, gdzie ostatni odbył się kocioł. Wacho wywoływał wszystkich po kolei. Sześćdziesięciu dwóch nie odpowiadało, dwudziestu uniewinniło się (leczyli bowiem w kotlinach swoje rany), szesnastu kulawiło (byli bowiem lekko ranni).

Gdy wszyscy byli zebrani, Naś Jępurczak poprosił o głos i oznajmił gromadzie, w jaki sposób Hryś Wacho uratował mu życie; i dwa sta zgromadzonych kotów były poklaski zacnemu towarzyszowi, i czule pocierały nosy swe o jego nos.

A potem Woś Korpak postawił stoczek i obwieścił wszem wobec, że patriarcha z pod dużego głazu ich wszystkich wybawił od nieszczęścia. On, Woś, widział przecież dokładnie, jak

Wacho taktyką swą takwytrącił z konceptu któregoś z strzelców, że ten ciężko postrzelił sąsiada swego.

„Chodźcie za mną, ja wam to udowodnię,” tak zakończył Woś swoje przemówienie.

Rudek Mikita, który wyżej, przy trakcie, sznurował pod wiatr przez pole, nagle przystanął i wietrznik jego drżał rozkosznie, bo wiatr dwustu kotów mile go drażnił. Lecz lis przysiadł naraz, gdyż mnóstwo zajęcy, jak olbrzymie mrowisko, roilo się po jasnej od poświaty księżycowej, śnieżnej polanie, i gęsta ściana szaraków, kot przy kocie, waliła przez pole. Wtem ustał ruch, ściana stanęła.

Czegoś podobnego Mikita nie widział jeszcze, a przecież dużo już w życiu widział. Lecz gdy dwie setki szaraków poczęły bić w ziemię tylnymi skokami, i jak upiory w fantastycznym kręcić się tańcu, wtedy strach nim owładnął; zawrócił i dał drała, rozpuściwszy na wiatr wspaniałą kitę.

Gdy następnego dnia polowy odbywał poszukiwanie za postrzałkami, znalazł miejsce około czerwonej plamy, gdzie pan asesor postrzelił ciężko pana radcę w nogę, ubite w okrąg jak bojewica.

I widząc, że to zajęce uczyniły, kręcił głową i zbitą miał minę. Było to miejsce, gdzie ubiegłej nocy Hrys Wacho, bohater kotów, odbierał owację, jaką mu urządził na sposób zajęczy ród markowickich szaraków.

*

C i ęż k i e c z a s y

*

Wiatr dał od północnego wschodu. Wszystko, co żyło w górach, uciekało przed nim; myszy i wiewiórki, zajęce i sarny, lisy i borsuki pochowały się w kryjówkach swych; myszolowy i wrony, sikorki i sójki, gnane wichrem poprzez wierchy, szukały schronienia w zachodnich stokach gór. Chwycił trzaskający mróz. Pszenica pod lasem wymarzła, kora dębów pękała, w okowach lodowych zdrętwiał strumyk, zniknął potok.

Przez siedm dni wiew lodowaty hulał w kraju, zanim wyszedł mu dech. Z poza gór wyłaniała się zwarta ściana ciemno-błękitnych, groźnych chmur, podobna do potwora, który zasłonił jasne, kryształowe niebo i zawisł ciężko nad krajem, dopóki nie rozpruł sobie kadłuba ostrzem skalistych turni.

I począł z niego sączyć się biały, miękki puch i sączył się dzień i noc, jeszcze jeden dzień i jedną noc i jeszcze dobę, aż przykrył wszystko w dolinach i w górach, i cały kraj tak czysto wyglądał i tak chędogo, że słońce aż uśmiechnęło się radośnie. Uśmiech ten ożywił wschodnie stoki gór. Sarny znów się zjawily i zajęce, lis i borsuk opuściły swoje nory, wiewiórki swoje gniazda, myszy swoje jamy, ukazały się myszolowy, wrony i sójki, i wszędy zaroilo się od pstrego, wesołego ludku drobnego ptactwa. Lecz uśmiech słońca był zdradliwy; przyniósł bowiem śmierć i zniszczenie. Tający śnieg zbił się i łamał konary i pnie, zginał świerki, gniótł młodą buczynę i powlókł się w górach skorupą twardą jak lód, ostrą

jak szkło. Po wypoczynku wiatr wschodni od nowa dał ku szczytom.

Ciężkim krokiem nędza wkraczała w góry i rozpoczęła swoje panowanie. Myszy miały ganki pod śniegiem, wiewiórki obytywały się pąkowie i korą, zające ściągały się pod osady w dolinie, jaźwce przespały ciężki czas, lisy poczęły odwiedzać kopce mierzwy.

Najgorzej wszakże wiodło się sarnom. Ozimina przywalona była białym, twardym jak kamień całunem. Żołądz i bukiew znikły w lesie. Maliny były zaśniewione, jeżyna zawiana, zarośla w lśniący, gęsty spowite kożuch. Pączki bukowe i chudy chwast, suche liście i twarde łodygi — oto wszystko, czem góry darzyć mogły.

W lasach włóczył się głód. Sarny, na które wzrok jego padł, ginęły; szyje ich wydłużały się, polcie wpadały, włos stawał się szorstki, świece coraz większe. Pomału i ostrożnie wlokły się wzdłuż stoków, lecz wszelka przezorność na nic się nie zdała — jedna sztuka za drugą zarywała się w oblaszczce i przecierała sobie cewki. Każdy przesmyk świecił bladoczerwonymi plamami.

I znowu ciemnoniebieska ściana wyrastała z za gór, zasłoniła śmiejący się błękit, zawisała groźnie nad krajem, rozszczała się o skały i sypnęła śniegiem przez dzień cały i przez całą noc. I znowu słońce pokazało zdradliwy swój uśmiech i zamieniało śnieg na bryły lodowe. Jeszcze wolniej, jeszcze ostrożniej wlokły się sarny o szyjach jak patyk cienkich, o czarnych, zapadłych polciach, i gdziekolwiek stapały, rumienił się śnieg.

W lasach czaiła się śmierć. Nie było na stokach gór żadnej sztuki, której biegi straszliwej nie głośliłyby skargi. Jedna ustawała na miejscu, gdzie się właśnie znajdowała, poczęła

trząść się, drzeć — i padła. Inna położyła się i już nie podniosła więcej. Jeszcze inna, półżywa z pragnienia, staczała się w jar, gdzie źródło tryskało, i skostniała w wodzie, zimnej jak lód.

Nigdy jeszcze lis nie miał tak dobrych czasów jak teraz; stół jego bogato był zastawiony, zapasy sute, sutsze niż w porze majowej, gdy myszy się lęga, i pole obfituje w młode zajączki. Podobnie i kuna mogła być zadowolona, niemniej myszołów i wrona; nawet sikorki w wzorzystych sukienkach nie mogły narzekać, a myszy leśne obgryzały kości padliny z ostatnich strzępów ścięgien.

Nie było końca nędzy; dzień w dzień śmierć obchodziła swój rewir górzysty. Nawet zającom nie przepuszczała; niejeden szarak ginął od zmarzniętej karmy i sam stawał się pożądaną strawą dla lisa, który tył z dnia na dzień. Atoli pewnego poranku wrócił on do swej jamy z próżnym żołądkiem. Przed gęstym zagajem znalazł był upadłą sarnę, którą już poprzedniej nocy się był delektował. Lecz gdy teraz powtórnie do padliny się zbliżał, dziwna uderzyła go woń, woń, którą dotąd raz dopiero w życiu spotkał. Okalał więc miejsce, gdzie sarna leżała, i godzina upłynęła, zanim zdobył się na odwagę, aby bezpośrednio się zbliżyć. Był nareszcie na miejscu, wietrzył i oczył długo, wkońcu z kitą zwieszoną i uszami założonemi smutny nawrócił, bo jego sarny tam już nie było; nie zastał nic krom raciczek, kilku strzępów sukni i owej nikczemnej, a jednak nęcącej woni.

A śmierć wciąż jeszcze czatowała w lesie i tłukła twardą pięścią jedną sztukę po drugiej. Lis nie tracił odwagi; rąco sznurował od przesmyku do przesmyku, póki nie spotkał sfarbowanego tropu. Szedł za nim, choć nie łatwym to było zadaniem. Śnieg sypał się, sypał się wciąż, i wiatr ostry dał,

zgarniał go i zmiatał z halizn przed gęste zagaje, zakrywał nim trop na długie przestrzenie i całkiem go wkońcu zatarł. Mikita przeszukał cały wysoki las, wrócił do miejsca, gdzie napotkał farbę i znowu szedł za nią aż do wielkiej zasy, gdzie stracił był trop. Tu przesiedział długą chwilę i podyndował dalej, głodny, znużony i markotny. Przeszukał zagaje, które stanowiły ostoję sarn — były puste; czaił się przez dragowinę — była martwa. Posznurował nad potokiem aż do zagajników u stóp gór; lecz i tu nie było inaczej. Wychylił się tedy z gąszczy, aby przy stogach pomyszkować. Sznurując polem, niespodzianie napotkał się znowu na sfarbowany trop i od razu zapomniał o wszystkich myszach. Śpiesznie, acz ostrożnie ciągnął za farbą aż do parawanu świerkowego pod wysokim lasem. Postać jego stawała się coraz dłuższą, bo trop był coraz świeższy. Lis już był w świerczynie, gdy nagle wypadł z niej jak oparzony i rwał co sił w pole. W świerczynie bowiem kusiło; słychać było trzask tak głośny i ostry, jak gdyby człowiek tam chodził, i sapało coś i parskano, jak żaden zwierz leśny nie sapa, ani parska.

Rabuś zatrzymał się dopiero pod rosochatym dębem polnym, i tu, bezpieczny już, namyślał się. Postanowił poradzić się wiatru. Szerokim łukiem posznurował wzdłuż podgórze, zniknął w wąwozie wysokiego lasu, gdzie źródło tryskało, podyndował ponad pasem świerkowym przez dragowinę i podkradał się bliżej. Właśnie księżyc rozsuwał chmury, gdy rabuś stanął przed świerczyną. Cicho w niej było i pusto. Mikita, przyczaiwszy się jeszcze bliżej nieco, zaciągnął się wiatrem. Woń sarnia uderzyła jego wietrznik. Pomału więc podpełzał ku gęstwinie, przystanął, jeszcze odrobinę posunął się w stronę, skąd go dochodził nęcący odwiatr — i nagle odskoczył. Była tam bowiem inna jeszcze woń, owa obca woń, która go już wpierw była uderzyła u padliny, co

mu gdzieś przepadła, woń nieznana, podejrzana, dziwna, tajemnicza, nikczemna, ani ludzka, ani psia, a niewyraźna jakaś i w żadnym razie nie zasługująca na zaufanie. I teraz dochodziły go tony, obce jakieś i zagadkowe — jakby dmuchanie, jakby parskające sapanie, zupełnie jak nocą w chlewach na podwórzach. Lis nawrócił i zemknął. Nie do wierzał sprawie.

Obłok o żółtym brzegu zakrył księżyc, i śnieżnica rozpoczęła się od nowa. W świerczynie zafukało głośniejsze, w śniegu zatrzęszczało, w suszu załomotało, i z gęstwy wysunęło się coś czarnego, zgroźnego; przystanęło, rozgłośnie wietrzyło, zbliżyło się do padliny, łamiąc z łoskotem twardą oblaszczkę, badało raz jeszcze wiatr i zabrało się do żeru. Puszczyk, który co wieczór lawirował koło świerków, aby mysz lub ptaszka złowić, pławił się przez moment ciekawie nad małą gołaźnią, z której rozlegało się głośnie, łakome cmokanie i kłaskanie, zmieszane z zgrzytem oblaszczki i trzaskiem miażdżonych kości. Puszczyk odleciał — gdzie taki hałas, tam dla niego nie było się czego spodziewać.

Gdy Mikita nad wieczorem następnego dnia przeszukiwał pas świerkowy, znalazł w miejscu, gdzie sarna leżała, znowu tylko raciczki, trochę zmiażdżonych kości i kilka strzępów skóry rozrzuconych w porytym, stratowanym, zwanym śniegu. Resztę pożarł był dzik, obcy przybysz z dalekich stron.

W lesie wciąż jeszcze chodziła śmierć, lecz lisa niczem już nie obdarzyła. Każda sztuka, którą głód i oblaszczka zabiły, zniknęła w gwiździe dzika, a Mikita odczuł również, że nastały ciężkie czasy, czasy głodu i nędzy.



Miłosne przygody Chrapka



Na szczycie wielkiej piramidy stał człowiek. Zachód ubarwił żółtą pustynię brunatnymi i błękitnymi kolorami, oblał palmy i kopuły dalekiego miasta złotem i purpurą.

Człowiek na platformie olbrzymiej budowli nie zważał na czarowne te barwy, na bajeczne te tony; sprzykrzył mu się Egipt, sprzykrzyli wytworni podróżni, brudny lud, przepych sali gry, wspaniałość kwiecistych ogrodów. Zadumany patrzył ku północy.

Wtem drgnął i obejrzał się. Nie było to sowy huczenie, co go wyrwało z zamyślenia, ani też z dala dochodzący wrzask poganiaczy wielbłądów — nie; był to zupełnie inny dźwięk, dźwięk, który wywołał w jego wyobraźni obraz żółtych basiek leszczyny, wizję drozdów i poświerek, rozśpiewanych w lesie o zmierzchu, gdy kona dzień.

Przetarł oczy i uśmiechnął się. „Śniło mi się,” pomyślał. Lecz znowu oto zadźwięczał ów ton dziwny, głęboki, chrapiący, owo stłumione „korr, korr”, i coś czarnego nadlatywało, cicho jak sowa ruszając lotami, między którymi sterczała długa, pionowa, czarna kreska — i rozplynęło się w mroku.

Był to Chrapek. I jemu znudził się Egipt wraz z wszystkimi palmami, błotem nilowem, i tłustymi czerwiami i żukami w pomociu wielbłądzim. Tęsknił za srebrnym połyskiem brzoźowych gajów, za brunatnymi liśćmi zwiędłymi, co opadły były i leżały wśród złotych pierwiosnków, tęskno mu było

za młodemi świerkami, rozłożystymi krzakami głogu i za porządną, północną glistą.

Chrapnął markotnie, gdy mu duży nietoperz z jakąś dziwaczną o formie listka narosłą na nosie coś zaszwargotał, czego nie rozumiał, pociągnął dalej w górę rzeki, od czasu do czasu powtarzanym poświstem wieczorną przerywając ciszę. Otrzymał wprawdzie odpowiedź, lecz nie otrzymał towarzystwa. „Jeszcze za zimno tam na północy,” zaświegotał Wylupiasty. „Jeszcze robaków tam nie widać,” zachrapał Cichylot. „Jeszcze zamróz w ziemi,” szeptała Długodziobka.

Tak więc Chrapek puścił się w podróż sam. W Monachjum w ogrodzie, graniczącym o zabudowania browarowe, przechadzał się ktoś. Powietrze wieczorne chłodziło mu skroń rozpaloną zbyt obfitemi miarkami wypitych piw. Nagle przystanął i spojrzał ku niebu, na którym błyszczała jedna tylko gwiazdeczka, mała i blada. „Do kaduka,” zamruczał pod nosem, „jaką ja też mam śrubę! Zdawało mi się właśnie, że słyszę słonki.”

Śrubę bo miał, ale słyszał jednak dobrze. Chrapek pozostawił za sobą Afrykę, Morze Śródziemne i Bałkan, Tyrolu śnieżyste wierchy i czarne góry Bawarii. Niejedno groziło mu niebezpieczeństwo na wodzie i na lądzie od wichrów morskich, od lawin zdradliwych, od brzęczących drutów telegraficznych. Nad jeziorem Garda nastawiła na jego serce sidła owdowiała słonka i kuśiła go, aby tam pozostał. Lecz on jej coś chrapnął, i pociągnął dalej.

Na stoku górskim nad wsią stał łowiec. Raszki i kosy trelowały, myszy leśne pogwizdywały w liściach łośskich, na dole we wsi wołała pójdzka, a wyżej w lesie huczał puszczyk. W cichym zachwycie wsłuchiwał się łowiec w głosy budzącej się wiosny. Naraz coś nim targnęło. Porwał za strzelbę,

odwiódł kurki i złożył się, rzucił dzikim wzrokiem wokoło siebie, i opuścił znowu broń. Pokręcił głową, i uśmiechając się rzekł do siebie: „Myślałem, że już słyszę pierwszą. Ale nie ma przecież jeszcze nawet niedzieli *Reminiscere*.“

A jednak dobrze słyszał, i gdyby puszczyk nie był właśnie tak głośno się chichotał, przygody Chrapka już tutaj byłyby może żalosny znalazły koniec. Lecz trzeba mieć szczęście! Już raz śruty bzykały samczykowi koło dzioba, i odcięły mu koniec najskrajniejszego piórka lewej lotki. „Bez tego mogę się obyć,“ pomyślał Chrapek, „toć ono jest tylko od parady“, i pociągnął dalej.

Tejże nocy jeszcze puścił się w dalszą podróż, aż zawitał do ściślejszej swej ojczyzny. Tu głośno poświstując przełatywał o brzasku porannym duktami, zapadł śmiertelnie znużony pod zawieszistym świerkiem, gdy pierwszy zagwizdał drozd, i zasnął kamieniem.

Szmer w liściach zwiędłych obudził go. Mysz leśna byłaby nieomal wskoczyła mu na głowę; lecz on zjeżył się, i mysz, drżąc cała, znikła w jamie. Słońce wysoko już stało; Chrapek z błogością korzystał z ciepłych jego promieni, wyciągnął nogi, loty rozpostarł i puszył pióra na karku. Potem wstał, ziewnął straszliwie, podreptał do pobliskich olszowych zarośli, gdzie pierwsze listki i kwiatki ukazywały się nad czarnym jak smoła, mokrym gruntem.

Tutaj dziób postawił pionowo, przejechał nim po złotem kwiciu śledzienicy, po oleistych liściach aronowej brody, po błękitnych i białych kwiatkach dziewięciornika i sasanki, zatopił go w ziemi, potupał zabawnie nogami, wydawając przytem warczące jakieś, ciche dźwięki, i wydobywał co chwilę kurczowo wijącą się glistę lub ogoniastą poczwarkę muchy wodnej,



połykał je łakomie, poczem znowu podreptał pod swój świerk i spał dalej.

Gdy zmierzch zlewał zarysy drzew, i puszczyk głucho zahuczał, Chrapek obudził się. Wieczór był łagodny i powietrze ciepłe, jakby stworzone do czułych przygód nad wierzchołkami brzóz. Lecz długa w przestworach powietrznych odbyta podróż jeszcze mu w kościach leżała; postanowił tedy prześpać się jeszcze, bo przecież — tak rozważał — jutro też dzień, a powtórę tokować sam na sam, to zaiste dość nudne zajęcie. Wtem usłyszał kuszące „pswst“, zerwał się i poleciał za wabiącym głosem.

Nad dużym karczowiskiem dopędził białogłową. Była to Kworlina, dojrzałego wieku słonka, która wiosną ubiegłego roku tu owdowiała. Ślubowała wprowadzić wtenczas, że już za mąż nie wyjdzie; lecz miłość — to osobliwsza rzecz, i gdy stara stodoła pocznie gorzeć, wszystkie dobre zamiary na nic. Skoro więc usłyszała Chrapka błagalne prośby, udawała wprowadzić z początku, że się żenuje, chrapnęła coś o narzucaniu się i nagabywaniu samotnych dam, ale powabny sposób, w jaki na niego wejrzała przez ramię, zdradzał, jak gorąco jej serce wykwinętnym, młodym kawalerem było zajęte. Ha, któżby też był panem swych uczuć w taki ciepły, cichy wieczór wiosenny!

Rozpoczęli tedy we dwoje, chrapiąc i poświstując, lot ponad rowami i błotami, ponad lasem i porębem, to obok siebie, to jedno za drugim lub jedno nad drugim, raz powoli i w milczeniu, to znów głośno i szybko, raz w prostym kierunku wzdłuż duktu, to znów w załamanych liniach ponad halizną.

Tu Kworlina znikła wielbicielowi swemu wśród latorośli brzozowych pni. Lecz znalazł ją wkrótce, boć ona się przecież drożyła tylko; a gdy ją opowiadać jej, że w dobrych żyje

stosunkach, że posiada kawał gruntu, który w najsuchszych nawet latach obficie się glistami rentuje, wtedy rychło przestała się drożyć, i przedzierzgnęła się skwapliwie z starszej wdowy w młodą pannę.

Gdy nazajutrz Chrapek sprawę sobie rozważył, spostrzegł, że postąpił zbyt porywczo. Przecież ta jego Kworlina niebardzo stosowną dla niego była partją. Jej tusza, jej siwizna — — nie, nie można było powiedzieć, że narieczona była pięknoscią. A wieczne jej wychwalanie nieboszczyka nie było wprost do zniesienia. Jeżeli ona jako narieczona już taka nieznosna, co to będzie później, pomyślał nieszczęśliwy Chrapek, i zniechęcony słuchał jej paplaniny, którą go nudziła teraz nawet — w południe — kiedej każda porządna słonka śpi.

Kworlina rozgadała się na dobre, i nie zauważyła lekkiego szmeru, który dochodził z suchych traw za jej plecami. Rozciągała się leniwie, i opowiadała o swym nieboszczyku mężu. Nagle coś rudego z szumem i chrzęstem mignęło w trawach. Chrapek, wrzasnąwszy w śmiertelnym strachu, zerwał się, i dostrzegł właśnie jeszcze, jak Rudek Mikita uchodził — z Kworliną w pysku.

Samczyk zapadł pod ogromnym krzakiem głogu. Straszny wypadek głęboko wprawdzie był dotknięty, lecz rozpatrując rzecz spokojnie, doszedł do wniosku, że tak, jak się stało, było dla nich obojga lepiej; nie byłiby bowiem ze sobą szczęśliwi. Wśród tych rozważań zasnął.

Zbudził go gwałtowny krzyk kosa, który siedział na krzaku i straszliwy podniósł wrzask z powodu dwojga ludzi przechodzących duktem. W kępie wichrem połamanych pni wołał puszczyk, od szerokiej łąki słyhać było piskliwy czajek chór, zórawie kierały nad lasem, trznadłe i rudziki wywodziły wieczorne swe trele. Wtedy Chrapek dosłyszał nad sobą

głębokie, przytłumione chrapanie, oraz lekliwy poświst. Stary jakiś samiec w natrętny sposób umizgał się hożej słoneczce. Chrapek, klaszcząc lotami, porwał się i już był u boku ich. Stary drab jadowitym wzrokiem spojrzał na młodego konkurenta i próbował dziobem go skłuć, lecz Chrapek był zwinniejszy, zboczył, wzniósł się nad niego i skłuł mu tak silnie bok, że stary filister zakwiczał z wściekłości, i skręcił w dukt poprzeczny. Chrapek chciał w dalszym ciągu nastawać, gdy wtem zabłysło coś długim, czerwonym językiem płomiennym, podeszły samiec runął na ziemię, jak zgniła gałąź, nastąpił huk piorunu, dym smrodliwy buchnął. Chrapek wraz z hożą słoneczką śpiesznie się ulotnił.

„Trzeba mieć szczęście,“ pomyślał, gdy z panną mknął podmokłym gajem brzoźowym. Ona okropnie się przełękała i była rada, że miała istotę męską koło siebie. Zwała się Świsteczka, i nie liczyła jeszcze roku. Chrapka serce gorzało. „Takie śliczne stworzenie,“ pomyślał, „taka wysmukła i zgrabna panienka — to przecież co innego jak wczorajsze stare pudło.“ I przemówił do niej czule, wychwalał jej cudne, ciemne oczy, jej srebrzystą sukienkę, a mała panienka z wdziękiem oparła dziobek o piersi i rzekła w duszy: „Cóż to za przyjemny młody człowiek, o wiele grzeczniejszy niż tamten stary mruk.“ I wdzięcząc się roztoczyła ślicznie swój wachlarz z srebrzystą dokoła koroneczką, i choć udawała, jakby się uchylić chciała od pochlebstw swego adoratora i śpiesznie odlecieć, to właśnie udawała tylko.

Wieczór był cudny, powietrze miękkie i ciepłe, w dolinkach bobrował lis, miesiąc stał nad wysokimi dębami. W błogiem uczuciu szczęśliwa para pociągała nad porębami, okrążała w łamanych linjach przestoje, śmigała nad moczarami i zapadała od czasu do czasu nad rowem srebrzyście błyszczącym,

by mile pogawędzić, i znowu mknęła wolnym lotem nad duktami, on ujmującym, męskim głosem pochrapując, ona wysokim dyszkantowym poświstem chichocąc się, gdy jej opowiadał, jak rozkosznie płynąć im będzie życie tu, w tym pięknym lesie, gdzie spód tak głęboki i pulchny i obfity w czerwie, i gdzie tak dużo rosło tarni i głogu, stanowiących najlepszą obronę przed chytrością Mikity i przed brutalstwem Zbójka Kurokrada, jastrzębia.

I kiedy tak roili i marzyli, zabłysło, zagrzmiało, zadymiło się — Świsteczka zakrzykła, spadła, pobrała się znowu, i mozolnie podlatując, znikła w podszyciu. Chrapek natychmiast był przy niej, i naglił do pośpiechu, bo usłyszał, jak głos donośny się odezwał, i jak pies człapał w podmokłym gruncie.

Wtedy biedna słonka, dokładając reszty sił, potrzepotała się nieco dalej, i zapadła wyczerpana w ogromnym, nieprzebytym łomie. Słyszeli jeszcze oboje, jak pies zziajany bobrował w podszyciu, jak ktoś zagwizdał — potem wszystko ucichło.

Świsteczka leżała bokiem i kwiliła cichutko; lewą jej nóżkę bowiem trafiła śrucina i złamała ją. Przyciągnęła ją więc mocno do siebie i słuchała, jak ją Chrapek pocieszał. Przez cały dzień następny tak leżała, i nad wieczorem dopiero, kulejąc, ruszyła się, by posilić się nieco, a Chrapek jej nie odstępował.

Po tygodniu nóżka wygoiła się prawie, miękkie pióreczka z pod piersi utworzyły koło niej mocny bandaż, i Świsteczka mogła znowu śmiało nastąpić i wznieść się w powietrze.

I znów nastał cudny wieczór, tak ciepły, tak miękki, tak łagodny... lecz przeszła im ochota na ciąg. „Wiesz, Świsteczko,” zagadnął ją Chrapek, „myślę, że pociągniemy w inne

strony. Jeśli wprost ku północy skierujemy lot, przybędziemy za morzem do kraju, gdzie nie ma prawie ludzi, a ci, którzy tam są, nie troszczą się o nas. Tutaj przecież wciąż trzeba żyć w ukryciu, jak mysz, i nie ma się nic z życia. Nie chciała-bys odlecieć?”

Świsteczka zgodziła się, i gdy księżyc zaszedł za chmury, wznieśli się oboje wysoko bardzo w powietrze, kołowali trzykrotnie i pociągnęli potem wprost ku północy, gdzie jeszcze mili mieszkają ludzie.

I tam żyją sobie do dzisiaj tego dnia.

W samym środku samotnego lasu górskiego znajduje się głęboki jar. Szarobiałe, popękane skały kredowe pionowo sterczą u stromych jego ścian. Czarny, spilśniony gąszcz świerkowy otacza jar do połowy, po drugiej jego stronie, naprzeciwko gęstwinie, wyrasta z miękkiego, lśniącego mchu pomnik kamienny w postaci nieokrziesanego głazu. Napisu na pomniku nie można już przeczytać.

W pokładzie mchu szarego słabo odznacza się krzyż, surowo na głazie wykuty, obok krzyża, również surowym rzeźbiony dłutem, umieszczony jest trójkąt z rękojeścią. Ma on przedstawiać topór. Nikt nie wie, na jaką pamiątkę groźny ten postawiono monument, lecz nadawał on lasowi piętno zło-wrogie. Żaden rolnik ani drwal nie przechodzi tędy chętnie sam. Kusi tu. Słyszać chrzęsty, a nie wiedzieć, co chrzęści; słyszać jęki, a nie widzieć, kto jęczy. W mroku zielone iskry tańczą dokoła pomnika; stary gajowy widział je nieraz. I dziś wśród jasnego poranku majowego, upiornie wygląda on — ten szary głaz. Jak mary otaczają go kwiaty, co kwitną u jego stóp — białe, obrzękłe obrazkowiec plamisty, koloru skóry ludzkiej łuskiwnik, gniazdosz, żółte jak wosk widma kwieciste, miesięcznicy trupi kwiat.

Sarna ciągnie brzegiem jaru i nagle przystawa, oczy w stronę pomnika, wietrzy, stąpa niespokojnie i rzuca się, głośno strasząc, do ucieczki. Drozd, co z pstrym ślimaczkiem w dziobie zapadł na odłamku skalnym, upuszcza zdobycz swą i odlatuje,

głośno piszcząc. Dzieciół czarny, który lotem falistym przeryna jar, nagle rzuca się wzwyż i krzyczy z przerażenia. Sójka raptem zbacza w locie i ze strachu skrzeczy. Również raszka lekliwie zaświergoliła i szuka w ucieczce ocalenia. U stóp bowiem pomnika szary odłamek skalny, na który gałęzie jesionowe czarne rzucają cienie, i który słońce żółtymi nakrapia centkami, nagle nabiera życia.

Przeciąga się on i pręży, wiję się i skręca jak wąż o szarych i czarnych pręgach, nadyma się, wydłuża i cienieje, kurczy się i garbi, błyska dwiema zielonemi iskrami, migoce czerwonym płomieniem, czai się, strzela w górę i tworzy nagle dziwaczny nagłówek na groźnym pomniku.

Ci, co mówią, że w jarze straszy, że tam nieuchwytny dla ucha upiór się kręci, niewidzialne dla oka lichu hałasuje, zielone się skrzą ślepie, oni wszyscy mają rację.

Zające i sarny, wiewiórki i myszy leśne, drozdy i raszki — wszystkie one zbyt dobrze znają ów szary strach, który cichutętko się skrada, i bez szelestu uderza nieomylnym pazurem i niezawodzącym kłem.

Strachem tym jest ostatni żbik doliny, który starą na dnie jaru zamieszkuje norę, koczur, nie mniejszy od wyrosłego starego lisa.

Przysiadł on na chwilę u szczytu pomnika i wygrzewa się w promieniach słonecznych, które między liśćmi jesionowemi padają na jego grzbiet.

Potem prostuje się, postawia pionowo ogon, garbi grzbiet, wydłuża go, przeciąga się i ziewa, przysiada, myje się i fryzuje, i w oka mgnieniu już jest znowu na ziemi, gdzie stary krzak czarnego bzu krzywym pniem wysuwa się w jar.

Koczur z lubem warczeniem trze grzbiet o chropowaty pień, cofa się, nagle daje susa, łapą uderza o korę, kaleczy ją pazur-

pryskanych kulą, co krótko przed jego łbem uderzyła w głaz. Postanowił więc wrócić do ojczystego jaru. Atoli w lutym, kiedy włóczył się noc w noc po lasach i stokach, i żałośnie zawodząc daremnie szukał towarzyszki, puścił się w świat poprzez gołe pola w nieznane bory, gdzie znalazł w końcu, czego pragnął. Jednakże ciężkie walki było trzeba staczać z rywalami, i nieraz futro jego było poszarpane, pazury czerwone, lecz zawsze wychodził zwycięsko z boju, i brał nagrodę za swoje trudy. Atoli zbyt niebezpieczne wydawały mu się dalekie wędrówki; zaczął więc nocą włóczyć się pod wsią, odgryzać domowe koczury i zabierać im narzeczone. Chłopi się dziwili, że młode kociaki w ich chlewach z roku na rok stawały się więcej szare i coraz grubsze dostawały łby, coraz gęstszy włos, coraz krótsze ogony. Gdy myśliwy, który tu w lipcu za zwyczaj na czerwonego kozła polował, pouczał ich, że w kotach dzika płynie krew, naśmiewali się z niego i powiadali, że leśnik ostatnie dwa żbiki złowił w żelaza dwa lata temu, i podarował je szkole miasta powiatowego.

Lecz myśliwy śledził po każdym deszczu na wszystkich drogach leśnych za tropami, oglądał każde drzewo, czatował nad brzegiem potoku, gdzie znalazł resztki pstrągów, wysiadywał godzinami od wieczora aż głęboko w noc na strażnicy, w niepewnym świetle księżycowem wiercił wzrokiem w lesie, i nie brał do serca drwinek leśnika i drwalów z powodu rzekomo nieudanych jego wypraw na kozła, bo ślubował sobie, że nie będzie do żadnego strzelał sarnika, zanim nie pomści kozłatka, które znalazł w boru z znakami pazurów żbiczych pod gardzielą i z łopatką gładko wyżartą. Bo że sprawcą tej zbrodni nie był lis, o tem był mocno przekonany.

Dzień w dzień więc łowiec wchodził przed świtem na stary obsiewny buk, stojący powyżej jaru w pobliżu jedyne go przesmyku żbiczego między szaremi skałami, drżał z zimna

w wietrze porannym, prażył się w słońcu południowem, nie ruszał się na szerokość palca z miejsca, i wlepił wzrok w dno jaru w ciemną plamę na szarej ścianie kredowych skał. I raz, gdy się był zdrzemnął i głębiej nachylił ku rzemieniowi, którym się do pnia był przywiązał, śniło mu się, że żbik pod nim stoi. Ocknął się. I gdy przecierał oczy, koczur rzeczywiście stał na pomniku, lecz zanim myśliwy zdążył ująć strzelbę opartą o widełki w gałęziach, kurki naciągnąć i złożyć się, żbik zniknął jak cień, jak sen.

Zmęczony i zły śledzi myśliwy każdą piędź ziemi około gąszczu świerkowego. Natrafia na mocny trop. Szuka dalej między młodemi świerkami. Napotyka kanał poboczny, i nie namysławiając się długo, odwiewrza go w praktyczny sposób, aby żbika zniewolić do opuszczania jamy tam, gdzie mu naocznie musiał wyjść. I odwiewrzał każdego dnia od nowa okno kanału pobocznego, a wszystkie grube czarne żuki i wszystkie błękitne, tłuste muchy wnet o tem wiedziały, i brzęcząc i bucząc krążyły nad gołaźnią w gąszczu świerkowym.

Tak też i dziś w godzinach popołudniowych wielki tam był brzęk i buczenie. Stary koczur zamierza oczekiwać tu mroku. Powoli czołga się więc kanałem pobocznym ku gołaźni. Zdaleka już słyszy brzęczenie, i wstrętny przenikliwy odor mocno go irytuje. Rabuś wydłuża się w kanale, wytyka nieco łeb i bada wzrokiem teren. Cofa się nagle, stąpa ostrożnie po ostrych odłamkach skalnych, skacze przez szczeliny i, przysiadłszy, długo się zatrzymywa w swojej sypialni. Nareszcie pełza pomalutku, cal po calu, głównym kanałem i zbliża się do jego okna. Tu długo bada, wietrzy i oczy, póki pisk myszy i głosy młodych ptasząt srogo nie poczynają dokuczać jego żołądkowi.

Wtedy wytyka gruby łeb z czarnego okna i wodzi wzrokiem wzdłuż ścian jaru. Żaden listek nie rusza się, żadna trawka nie drga. Gdzieś daleko młode sowy piszczą, w dragowinie kozłatko tęskni za matką, myszy pogwizdywają, nietoperz świegoce, rudzik ostatnią wyśpiewywa pieśń.

Koczur skrada się na aksamitnych podeszwach wzdłuż cienistej ściany jaru, wspina się bez szelestu po głązach i stawia nieruchomo pod krzakiem bzu czarnego; łeb tylko obraca to w jedną, to w drugą stronę. Słyszy chrzęst skrzydeł każdego motyla nocnego, szmer każdego chrząszcza. Nagłym susem stawia na szczycie pomnika, przysiadła i oczy dokoła.

Ledwie dostrzegalny szelest od strony starego buku pobudza go do zadarcia łba. Lecz z góry, z koron drzew nigdy jeszcze nie doszedł go żaden podejrzany dźwięk, żadna podejrzana woń. Długo ślepie jego zielone badają szeroką koronę buku. Coś w niej chrzęści — może to suseł, albo gołąb, który się w śpiku rusza, może sójka albo sowa.

Krwawa błyskawica rozdziera ciemności mroku, gęsty grad strzępi krzak czarnego bzu, grzmot wstrząsa ciszą wieczorną, dym duszący błękitnym muślinem zasłania srebrzysty buk; gołąb trzepoce się poprzez liście, zając ze szumem pomyka przez zarośla, od gór idzie echo, razem z echem słychać straszenie sarny.

W koronie starego buku szeleści i chrzęści. Coś dużego, szarego majaczy w jego konarach, opuszcza się powoli i głucho uderza o ziemię. Iskra zabłysła, schowała się za szybką, niecąc płomyk, który w dziwacznych podrygach skacze ku pomnikowi i krąży dokoła niego, rzucając światło na głąz i na czerwoną twarz męską.

Oczy łowca błyszczą. Na szarej bryle widać czerwone plamy, w porostach strzałem poszarpanych wisi pęczek szarej

szerści na czerwonym, wilgłym strzępie. Pozatem nie widać nic, zgoła nic, ani na ścianach wąwozu, ani na spodzie jaru, ani w oknie jamy. Łowiec zapuszcza w kanał nory gałązkę zieloną; wyciągnawszy ją, bada w świetle latarki każdy jej listek. Nic — prócz jednej maleńkiej czerwonej plamki. Myśliwy rozciąga się na ziemi, przykładając ucho do wylotu jamy, wstrzymuje oddech i słucha.

Cienki, żaloszny jęk uderza słabo, jakby z wielkiej odległości, jego ucho, raz jeden tylko — potem zapada cisza.

Krzak czarnego bzu nie poczuje już więcej pazurów żbika, kozłatko żadne nie zapłacze więcej pod kłami koczura, ani pstrąg żaden nie przetnie już więcej łukiem powietrza, by spaść na żwirowate wybrzeże potoku.

Ostatni z rodu wolnych kotów całej okolicy, jak daleka i szeroka, przestał żyć.

Słońce chowa się za szczytami gór. Wrony, śpiesznie wiosłując lotami, płyną na czerwonym tle nieba; paszkot kończy swoją pieśń wieczorną, raszka warczącym lotem przelatywa od gołych skał do swej kryjówki.

Po głośnych, wesołych rozmowach miłośników dnia jawią się tajemnicze głosy skrytych, cichych lubowników nocy.

Z warstw butwiejących liści wysuwa się salamandra, serek szeleści w suszu, zębielek pogwizduje w zaroślach, nietoperz w załamanych linjach i nagłych skrętach miga między pniami drzew. Gdy puszczyk zahuczał trzykrotnie, sokół wędrowny z siadła swego na szarej strzelistej skale usłyszał pod sobą stłumiony szmer. Nachyla głowę i słucha; zna dźwięki te, więc wciąga znowu kark, zamyka oczy i nie troszczy się o to, co się pod nim dzieje.

Pięć łokci poniżej sokolich pieleszy wąska wstęga skalista otacza turnię. Na wstędze tej czarny zwierz w tę i ową skacze stronę. Długi on i wąski jak węgorz, zwinny jak żmija. Skoczył bez szelestu w prawo, wywinął kominiek, nawrócił, rzucił się w lewo, dał susa po ścianie skalistej, i bawi się tak z kwadrans.

Wąż przekształca się w ciemny kłęb, przez moment zachowuje się spokojnie, poczem w czarny wyrasta kołek, który w dziwaczny sposób kręci się i krzywi, wiję się i chyli, że dwoje zielonych ślepi błyszczy się z prawej jego strony, to znów z lewej, raz wyżej, raz niżej; i znowu kołek zamienia

się w węża czarnego, który czołgając się, łażąc lub skacząc śpieszy z głazu na głaz, od wystawki do wystawki, aby w końcu wynurzyć się u szczytu skalistej wstęgi.

I tam oto siedzi w świetle półksiężyca — on, tumak złotoszy, w czajeniu się i łażeniu mistrz nad mistrze, postrach wszystkich stworzeń cichych i skromnych — siedzi tam w całej swej brunatnojedwabistej wspaniałości wśród błękitnych dzwonek orlika, a białych gwiazdek firletki, i zajęty jest tem, co zawsze tu robi — wypróżnieniem się.

Potem wydaje głos jakby śmiechu uragliwego, bo wie, że Błysk Wronigrom, sokół wędrowny, poblednie i zzielenieje z złości, gdy obudziwszy się rano, zoczy dowód jego świeżej tu bytności. Kuna obwąchiwa resztki wrony, leżące obok kwitnących kwiatów, obraca je na wszystkie strony i spycha je wkońcu z krawędzi skały, iż z szumem spadają na dywan zwiedłych liści, przeskakuje głęboką szczelinę, daje potężnego susa na zwieszającą się gałąź skarłowaciałej lipy, stąd na sąsiedni buk, i zsuwa się po tegoż pniu na ziemię.

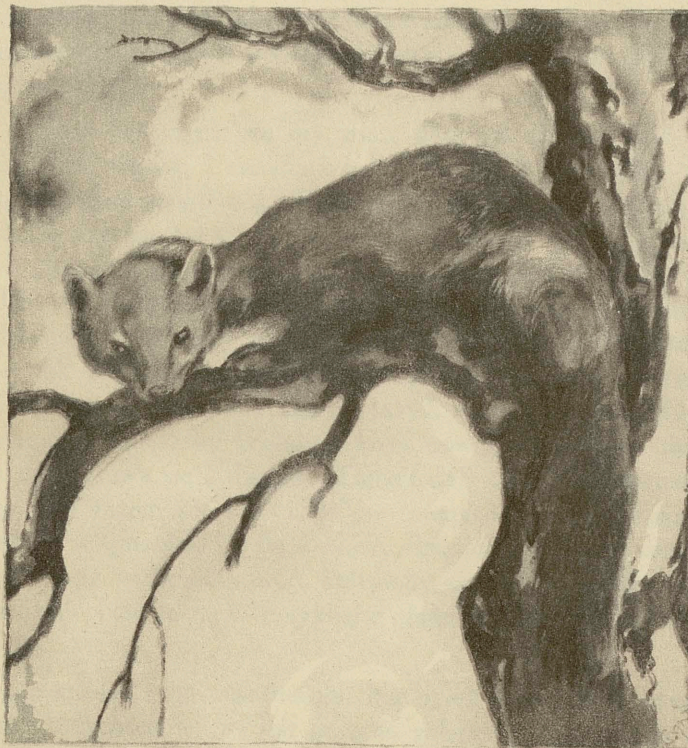
Tumak rozpoczyna wędrówkę wzdłuż sideł, które jesienią jeszcze leśnik zastawił był na kwiczoły. Złotoszy zatrzymywa się pod każdą pętlą, lecz zniechęcony w dalszą puszcza się drogę; przypominał sobie bowiem, podobnie jak wczoraj już i przedwczoraj, że w porze, kiedy płodzik przykrą roztacza woń, nie ma w sidłach ani czerwonych jagód, ani złowionych ptaków. Przerywa więc wędrówkę i rozpoczyna po ścieżce myśliwskiej polowanie na upatrzonego.

Cyt! — zaszeleściło przecież coś. Złotoszy zamienia się w słup. Tak — tam, nieco w bok, coś szmera. Tumak daje susa, słysząc cienki pisk — tłusta mysz leśna dostała się pod jego moc. „Pobawimy się trochę“ — pomyślał okrutnik, i puszcza zdobycz, lecz natychmiast ją znowu łapą przytłacza,

zanim zdołała zniknąć w jamie. Siedm razy pozwala jej uciekać, i siedm razy od nowa ją łowi; za ósmym razem mysz nie piszczała już więcej. „Zjadł pies muchę” — rzekł do siebie złotoszy po jej spożyciu, i dalej się czai ścieżką łowiecką. Znowu szelest. Hop! Rabuś złowił coś, ale — fe, paskud — to salamandra. Tumak parska i pluje i wyciera pysk o wilgny, zroszony mech, bo zdobycz jego obrzydliwsza jeszcze od kawałka pieprznej kisзки, który połknął był w styczniu, trawiony wilczym głodem. Szybko więc spożywa tłustego chrabąszcza, który usuwa wstrętny, gryzący smak z języka.

Widać smolarnię; tumak z nawyknienia odwiedza ją, lecz z nawyknienia tylko, bo przecież w maju gardzi on suchym flaczkiem lub twardą skórką sera. Lecz warto zostawić w samym środku stołu pamiątkę, która ucieszy zarówno leśnika jak sokoła wędrownego. Więc hyc na ławę; z niej chce skoczyć na stół. Wtem nagle zastyga w ruchu, bo ktoś jest tu już. Złotoszy na ławie wydłuża kark. Ech, to ta! Mała szara koszatka siedzi sobie w pobliżu i obgryza kromeczkę chleba, trzymając ją w łapkach. Już ją tumak dopadł. Pilch zakwiczał, puszysta jego kitka zadrgała, i łapki w zgonie zwisły.

„Trochę mało na niej” — pomyślał złotoszy, gdy ją pożerał — „w październiku są tłustsze!” Więcej niż połowę z niej zostawił na stole, obok wizytówkę swą złożył, i znikł w rozsądniku. Lecz nie ma tu nic, ani myszy nawet, jest tylko ropucha, co zaognionemi oczami złośliwie na niego spogląda. Złotoszy otrząsa się z obrzydzenia i skacze dalej wzdłuż tryby, w dół zbocza, mija źródło, w którego zbiorniku żaby rechcą, mija młodnik dębowy, i załaził nad brzeg potoku. Tu zawsze coś spotykał: piskłęta kosa lub pliszki, raz nawet aż sześć młodych zimorodków, tłustych jak ślimaki. Innym razem złowił tu dwufuntowego pstrąga, który na chrabąszcza polując



wyłonił się na moment z wody; nie brakło też dużych, tłustych nornic, a zimą rosły tu glóg i tarnka. Dzisiaj wszakże spotykały go same zawody i przykrości. Puszczek był bezczelny; mając bowiem na dębie troje lotnych już i opasłych młodych, bezustannie uderzał na niego, dziobem zgrzytając i sycząc, dopóki złotoszy gniewnie do lasu nie nawrócił.

„Skoro dołem nic nie ma, może górą coś się znajdzie” — pomyślał tumak, i sunął na dąb. Na dębie znajdowały się trzy wiewiórcze gniazda. W pierwszym nie było nic, w drugim nic, w trzecim też nic. „Jeśli tak dalej pójdzie” — deliberował — „to mogę chrapaszczkę łowić”, i rozdrażniony suwał się od dębu do dębu. Wtem zatrzymał się; pachniało tu bowiem dzięciołem. Tumak wścibia nos w dziuplę; błyskawicznie jednak cofa go, bo oberwał porządnego szczutka od pani dzięciołowej, która nie zna w takich razach żartów. Gdy złotoszy zmieszany zbolałym kręci nosem, ona chyżo obok niego wysuwa się z dziupli. Tumak daje susa, lecz zawiodła go tym razem sztuka. „Ale” — pomyślał — „są przecież młode w gnieździe.” Ba! Kiedy dzięcioł nie tak w ciemnię bity, aby wykuwał otwór, którymby się tumak mógł przecisnąć. „Nie, to nie” — syknął z złością rabuś i powędrował dalej.

Zoczył coś, co go zastanowiło. Nie było to gniazdo gołębie? Ależ oczywiście — to jest gniazdo gołębie! Jaja gołębie są dobre, młode gołąbki jeszcze lepsze o wiele, lecz wtedy dopiero, gdy się je ma. Nie udało się bowiem tumakowi i tym razem; klaszcząc lotami porwała się gołębica wraz z jajami, które dopiero znosić miała.

„No, to innym razem”, pociesza się rabuś; lecz takie filozoficzne rozumowania nie bardzo sycą.

Wtem przypomina sobie coś. A właśnie! Że też o tem nie pomyślał przedtem! Toć na starym świerku w Koszczy-skach zwykli spać starzy kawalerowie rodu grzywaczego. Już nieraz mu się udało złowić tam jednego z nich. Więc do dzieła! Tumak daje susa z drzewa na ziemię, droga prowadzi go w skały, potem w jar, obok kamieniołomu, gdzie pójdzka ma swoje siedlisko i dziwaczne stroi miny, bo mocno ją drapią w gardle resztki chrabąszczów spożytych — dalej wzdłuż ścieżki myśliwskiej u stóp stoku, potem na prawo w dolinkę, gdzie Gdyrek Zrzęda, borsuk, zajęty jest szukaniem karmy, obok krzyża kamiennego, gdzie leśnika zastrzelono, w drugą dolinkę, z której dochodzi melodyjne pętówek babienic rzechotanie, potem obok koliby i kamieni granicznych, obok drogoskazu, na którym siedzi sowa uszata i tak żałośnie huczy, jakby cierpiała na ból brzucha — i tumak jest na miejscu. Tam oto stoi stary świerk, wichrami rozczochrany, i smutnie zwiesza poszarpane gałęzie.

Złotoszyi wietrzy naokoło pnia; zalatuje go woń gołębih piór i świeżego pomiotu — a więc są! Tumak zabiera się ostróżnie do roboty, by w śnie pogrążonych brzuchomówców nie pobudzić. Powoli więc suwa się po pniu, skacze bez szelestu od sęku do sęku, omija zgrabnie suche gałązki pierwszego konara, dostaje się szczęśliwie na sąsiedni, potem na trzeci, czwarty i piąty, zatrzymywa się, wciąga na gałąź najbliższą, ima się następnej, skrada się po niej, uwiesza o pień świerku — i zastanawia się. Tam oto siedzą grzywacze, widać je w świetle księżycowem. Lecz dokoła nich pełno suchych gałązek. Dalej podczajac się nie można, bo niektóre gołębie już nie śpią; słysząc, jak wstrząsają suknią, a jeden z nich właśnie na sąsiednią przeniósł się gałąź. A no, w takim razie nie pozostaje nic innego, jak bezwzględny napad. Tumak garbi grzbiet, podciąga barki. Hyc! — suche gałązki trzeszcząc

pękają; hyc! — porosty kory z chrzęstem odpadają od pnia; ostatni raz: hyc! — Grzywacze się zrywają, a on siedzi na świerku, iskrzącymi ślepiami goni za niemi i słyszy, jak w miarę oddalania się gołębi coraz więcej milknie ich lotów rozgłośnie klaszczenie. Miesiąc w drugiej kwadrze z szyderczym grymasem spogląda na niefortunnego łowca.

Złotoszyi spuszcza się z drzewa liną wężykowatą. Nie wpadł w złość bezsilną, lecz czuje się zniechęcony, złamany. Podąża ku łanowi koniczyny, atoli od czasu ulewnych deszczów marcowych myszy tu rzadko tylko spotkać było można. Szuka wzdłuż miedz, lecz nie znajduje ani jednego gniazdka dzierlatki lub skowronka. Wszędzie czuć drobną zwierzyną, ale nie spotyka on ani zajączka, ani kuropatwy. Połyka więc chrabąszcze w nadziei, że poranek smaczniejszemi obdarzy go kąskami. Już pierwszy drozd pogwizduje w lesie, już pierwszy skowronek wzbija się ku błękitom. Puszczyk przestał huczeć, żaby przestały rzegotać, a tumak wciąż jeszcze szuka zdobyczy w bródzjach i ścieżkach na zroszonym polu — nie spotyka nic, ani chomika, ani zajączka, ani kuropatewki, ani nawet gniazda trzmieli.

Nie ma rady — chociaż pustka w żołądku, czas pomyśleć o powrocie. „Dzień nie jest żadnej kuny przyjacielem“, tak go matka uczyła.

Z trzysta kroków przed lasem zdumiał się i postawił słupka. Cóż to? Przecież ów szary pal poruszył się, i obok pala owe dwa małe cienie także. A teraz z wiatrem uderzyła tumaka woń, której mu matka unikać przykazała, woń ludzka i psia.

Złotoszyi olbrzymim susem rzuca się w mokrą koniczynę; był też największy czas, bo już głos jakiś syczy: „Bierz go“, i już rabuś słyszy za sobą szybkie dyszenie; szuka więc ocalenia w gęstym krzaku jeżyny. Lecz psy nie zważają na

ciernie. Tumak wypada z pod krzaka jak z procy i znika w przesmyku mostowym. Jamniki rwą za nim. Na mostku coś straszliwie dudni. więc on drugim wylotem przesmyku chce umykać, lecz nie może, bo tu już pilnuje drugi jamnik. Nagłym zwrotem usiłuje psa przewrócić i ponad nim wydostać się z matni. Jamnik ciął go kłami, lecz sam zaskowyczał, bo ostre kleszcze chwyciły go za fafle. Wtem drugi pies wpił się w gardło tumaka. Kłęb szamocących się wrogów wytacza się z przesmyku. Rabuś szarpany z przodu i tyłu czuje, że nadchodzi dlań koniec wolnych łowów w lesie i polu, koniec swobodnej za towarzyszką gonitwy po skałach i koronach drzew. Zanim stracił przytomność, raz jeszcze przychodzi mu na myśl przestroga matki: „Dzień nie jest żadnej kuny przyjacielem, jedynie noc miła jest i bezpieczna.“

*

K u b u ś

*

W samym środku bagna stała ogromna, wysokopienna sosna o szerokiej koronie, panująca nad całą okolicą i widoczna z daleka. Co rok para kruków zakładała na niej swoje pielesze i napelniała puszcę w porze tokowej w kwietniu krakaniem chrapliwem. Orliki, sokoły wędrownie i jastrzębie nieraz usiłowały wydrzeć im siadło, lecz kruki posiadały zbyt potężne dzioby i zawsze zwycięsko wychodziły z utarczki.

Pięknego poranku czerwcowego młody strzelec przechodził koło sosny i zobaczył lotnego prawie kruka siedzącego w wrzosie pod drzewem. Zabrał go i podarował znajomym z miasta, którzy w ogrodzie swym różne chowali ptaki.

W ogrodzie powstał ogromny rozruch, gdy Kubusia, jak nazwano czarny potwór ptaszy, posadzono na murawie. Czubatkę, sójkę, ogarnęła zgroza, gdy ogromny kruczy stwór, rozdziawiwszy olbrzymi dziób, do niej uderzył; lecz przyniosła w końcu pokarm i wpakowała mu go w czerwoną gardziel. Szczegotka, sroka, również w podskokach się zbliżyła, aby sobie obejrzeć straszidło, i, gdy jego łakome domaganie się żeru nie ustawało, poszukała przysmaku i ostrożnie go wsunęła w nienasycony dziób.

Kubuś zawsze był głodny. Zarówno mu było zupełnie, co mu dawano, wszystko chciwie połykał. Mimo, że go dopiero co nakarmiono, Kubuś natychmiast rozdziwiał dziobisko

i zebrał okropnym głosem, skoro jakikolwiek ptak wchodził mu w drogę, obojętnie, czy to była Czubatka, lub Szczegotka, czy Adaś, sokolik, lub Jaś, puszczyk, albo kura domowa. Nawet gdy pokojówka z nieuwagi upuściła z okna odpylacz z piór, który wpadł do ogrodu, Kubuś zaraz przyhasał i domagał się od niego żeru; innym razem usiłował nakłonić kapelusz z piórami, leżący na krześle ogrodowym, do napchania mu gardzieli karmą.

Zdarzyło się, że cała rodzina gospodarza domu po południu wyszła. Nie upłynęła jeszcze godzina od chwili, kiedy wpakowano w Kubusia, co się zmieściło, a już żarłoczna poczwara, skacząc po ogrodzie, oznajmiała nieustannem kraczeniem swój wilczy apetyt. Czubatka i Szczegotka były zamknięte, by głupstw nie robiły, Adaś zaś bawił w sąsiedztwie na wizycie. Kubuś więc tak długo naprzykrzał się puszczykowi, kracząc w niebogłoso, że Jaś się zdenerwował. Udał się zatem do powojem oprędnego słupa, na którym akwarjum spoczywało, zabrał z zapasów swych kawałek mięsa i potrzymał go przed Kubusiem w nadziei, że on mu go sposobem sowim wyrwie z dzioba. Lecz Kubuś nie znał obyczajów sowych i kraczał jeszcze okropniej. Wtedy Jaś, nie mogąc już znieść dłużej wiecznego wrzasku, zrobił to, czego jeszcze żadna sowa nie zrobiła, t. j. wpakował mięso krukowi w gardziel.

Bardzo długo trwało, zanim Kubuś nauczył się brać pokarm samodzielnie; lecz i wtenczas jeszcze, gdy już latać umiał, towarzyszył kracząc każdej istocie, co w spodnicy lub pierzu chodziła, i zebrał o żer. Gdy nareszcie się zdecydował do samodzielnego brania karmy, nic już przed nim nie było bezpieczne. Czubatka i Szczegotka dobrze musiały dopilnować, aby im się przynajmniej coś z wyznaczonej porcji dostało. Jedynie puszczyk, Jaś, cieszył się poważaniem Kubusia, bo

umiał duże swe oczy tak dziwnie otwierać i zamykać i dziobem tak groźnie zgrzytać.

Respekt Kubusia przed Jaśkiem nie uszedł uwadze Czubatki, a że z puszczykiem doskonale się rozumiała, wpychała mu resztki swojej porcji pod loty, ubezpieczając je w ten sposób przed nienasyconem łakomstwem kruka. Skoro więc sójka przyskoczyła z kawałkiem mięsa, Jaś zaraz unosił nieco loty, i Kubuś musiał przyglądać się, jak przysmak zniknął pod pachami puszczyka.

Czasem próbował wprawdzie pociągnąć Jaśka za ogon, aby go zniewolić do upuszczenia mięsa; ale gdy się wtedy sowa, oburzona do żywego, obróciła, czarne, duże swe oczy wywaliła i dziobem zazgrzytała, Kubuś odskoczył, jak gdyby... no tak, jak gdyby mu nagle przed dziobem przejrzała klapsnęła gruszka. Stał się bowiem w wielkim mieście, mimo swojej bezczelności, bardzo nerwowy. Jeśli kto drzwiami trzasnął, zawrzasał: „Kraks,“ i umykał. Pozatem jednak był śmiały, jak nim być może tylko kruk. Jedynie przed miotłą i przed Jaśkiem znał szacunek.

Biada dziewczęciu, które w czerwonych pończochach pokazało się w ogrodzie; odbierała bowiem cios w łydki, że długo jeszcze sina plama dawała świadectwo o sile kruczego dzioba.

Gdy książkę zostawiono w ogrodzie, Kubuś czytał ją na swój sposób, i wkrótce pozostały z niej tylko strzępy. Gdy dopadł klucza, zapychał otwór jego mocno zwiędłymi liśćmi, i jeśli krzesło stało przy drzwiach, robił to samo z zamkiem. Nieszczęśliwy był pies, co się do ogrodu zabłąkał. Kubuś czatował w kryjówce swej, dopóki pies koło niej nie przechodził; wtenczas nagle łupnął go silnie dziobem i natychmiast zrywał

się i obierał sobie za siadło stół lub poręcz krzesła, a pies z ogonem wtulonym zmykał jak oparzony. Koty nigdy już do ogrodu nie zaglądały. Skoro bowiem — bywało — kocisko się zjawiało, aby na ptaszęta polować, Adaś ogromnego narobił zgiełku, a Kubuś taką kotowi sprawiał łaźnię, że ten z szybkością błyskawiczną znikał za płotem.

Kruk miał narowów bez liku; lecz, że taki był zabawny, nie robiono sprawy z tego, że np. wydziobał masło z masielniczki, lub że łowił w akwarjum, gdy wieko tegoż było otwarte.

Wtedy godzinę całą wysiadywał na krawędzi zbiornika; skoro złota rybka zbliżała się do powierzchni wody, zadawał jej cios śmiertelny i spożywał ją. Podobny los spotykał nieszczęsne żaby, które się do ogrodu zabłąkały. Nieraz udało mu się złowić mysz, raz nawet kreta, którego przyniósł do altany, gdzie siedziano przy kawie. Kubuś złożył swoją zdobycz w koszyku z pieczywem i rzekł: „Mydło“.

Był to jego wyraz ulubiony. Pewnego razu pan domu miał gościa, który, żegnając się, życzył mu dobrej pogody na zamierzoną przejażdżkę w rewir. Kubuś uważał za stosowne, przerwać gościowi i wrzasnąć: mydło, mydło! Innym razem przyszedł jegomość i opowiadał gospodarzowi o smutnym losie sąsiada, który ani żyć ani umrzeć nie mógł. „Mydło“, rzekł Kubuś, a jegomość bardzo się przestraszył, bo głos wychodził z pod jego krzesła.

Młody elegant, odwiedzając pana domu, położył cylinder dnem na murawę; gdy go wkładał na głowę, obsypał sobie piaskiem obficie swoją wypomadowaną fryzurę. „Cóż to jest?“ szepnął. „Mydło“ odpowiedział Kubuś i nasadził minę najniewinniejszą.

Zawsze mu się figle trzymały we łbie. Zdarzyło się np. że cała rodzina wyszła, zapomniawszy Kubusia zamknąć. Na trawniku rozłożona była bielizna. Kubuś narwał wiśni i, opuszcivszy się z niemi na bieleźnie, masakrował je, że czerwony sok na wszystkie pryskał strony. Sześć koszul i cztery spodnice trzeba było jeszcze raz do prania dać.

Wiosną sadzono w ogrodzie stokrotki, czerwone i białe. Po obiedzie powstał w domu nagle wielki niepokój. Wszystkie stokrotki były zerwane, a Kubuś stał przed dwoma dołkami, które na zagonie wyźłobił, i oglądał z upodobaniem swoją kolekcję — w jednym dołku leżały białe, w drugim czerwone kwiaty.

Ogromnie lubił siadać na grabiach, gdy niemi zagrabiano ganki w ogrodzie; wówczas taki był dumny, jak ktoś, co sobie w niedzielę dorózkę fundnął. Kiedy przez swoją niezdarność stracił przy takiej sposobności palec, podniósł ogromny lament, i żalił się z pół godziny na swoje nieszczęście, lecz na grabiach już odtąd nigdy nie siadał.

Bardzo głupio zachował się kilka dni później; uczeplił się bowiem obwisłej liny, która służyła do suszenia bielizny, i nie mogąc utrzymać się w równowadze, przez pacierz balansował na niej i skrzeczał, jakby mu kto pióra pojedynczo wrywał. A już całkiem po błazeńsku się brał, gdy mu ktoś z gości torebkę papierową wsadził na oczy. Początkowo siedział jak zmyty, potem zaczął potrząsać gwałtownie łbem, jakby mu piątej klapki brakło; następnie próbował dać młynka i kozły przewracać i skakał wciąż w kółko, bijąc lotami jak zwarjowany wiatrak. Od tego czasu nienawidził wszelkich torebek papierowych.

Najniedorzeczniej się zachował, gdy pierwszy raz w życiu zoczył śnieg. Wpierw zrobił minę jak wół, gdy słyszy, że

grzmi; potem połknął trochę białego puchu, podrzucał grudki śniegu w powietrze, w końcu zaczął kulać się w nim. Nagle odkrył, że ma nogi zimne jak lód: podciągnął więc jedną nogę, lecz druga pozostała zimna; podciągnął lewą, ale cóż, kiedy znowu prawa marzła. Naraz tak żałośnie począł krakać, że cały dom się zleciał; odtąd nienawidził też śniegu i nie wchodził już na bieliznę, rozłożoną w ogrodzie do bielenia.

Pewnego dnia miał widać pragnienie; zabrał się więc do pełnego kufła piwa, który stał na stole w altanie. Z początku piwo nie smakowało mu, lecz, spragniony, wypił je. Gdy gospodarz wrócił, zastał kufel przewrócony, Kubuś zaś miał śrubę jak ratusz. Mamrotał więc tak szybko, jak jeszcze nigdy: Mymymymydło — pewnie ze sto razy; potem chciał zakrakać, ale dostał czkawki, próbował prosto naprzód kroczyć, ale chwiał się jak laik na rowerze; wzniosł się więc pionowo w powietrze i spadał z wielkim szumem i większym jeszcze kraczeniem na ziemię w sam środek rozłożystego krzaku niskopiennej róży, gdzie rozpaczliwie wiercił się i kręcił na wszystkie strony, dopóki go gospodarz, ubawiony do łez, z matni nie oswobodził. Kubuś wpadł następnie w melancholję, wciągnął kark i siedział tak przez długą chwilę, osłupiałym patrząc przed siebie wzrokiem. Nagle rzucił się jak szalony ku miednicy i, zastawszy ją próżną, okładał ją straszliwie dziobem. Dostał więc wody i wypił więcej, aniżeli zwykle przez cały tydzień pijał. Potem uległ atakowi szału, niosąc śmierć i zniszczenie trawie i kwiatom, podskakując przy tem jak człowiek, którego mrówki obeszły. W końcu przepadł gdzieś i zjawiał się dopiero późnem ranem następnego dnia w bardzo złym humorze, z ogromnem pragnieniem, a zupełnym brakiem apetytu.

Z czwartym rokiem życia Kubuś był skończonym obłudnikiem i kutym złodziejem. Darowano go więc na wieś, gdzie

wszakże tak nieźnośnie się sprawiał, że go zamknięto w klatce. Lecz i to nie pomogło; gdy bowiem kurczątki biegały po podwórzu, Kubuś wabił je zupełnie jak kwoka, i skoro które przybiegło, chwycił je zniecierpliwienie i wciągał do klatki. Rozswawolił się w końcu tak, że go oddano do ogrodu zoologicznego.

Tam żyje do dziś, każe się gościom karmić i na podziękowanie powiada: Mydło.



Wszystkich leśników i myśliwych wzdłuż połowy olbrzymiej kniei ogarnął niepokój. Zjawił się trop obcego byka.

Jego samego nie widziało dotąd żadne oko ludzkie. Gdy sowy porzucały swoje kryjówki, wtedy on dopiero wychodził na żerowisko i przed świtem wracał do ostępu. Według tropu był to jeleni, który już po raz dziesiąty zmieniał wieniec; wygodnie mieściły się w wytłokach, pochodzących od jego racic, cztery palce męskiej ręki. Był to byk, który nawet na piaszczystym spodzie głęboki i formowany zostawiał trop, według którego oceniano wagę byka na trzysta funtów i więcej. A że trop ten ogromnie różnił się od tropów miejscowych jeleni, i obcy byk znacznie szerzej kroczył, przeto leśnicy wnioskowali, że on z dalekich przybył stron.

Trzysta kul dybało na niego wzdłuż i wszerz kniei — dybało daremnie. Jeśli przez trzy doby tropy jego zjawiały się w pewnym ostępie, to następnej doby już ich nie było, i zagadkowy jeleni nazajutrz bałamucił myśliwych w ostępie o dziesięć mil odległym.

Trzy noce z rzędu łowiec czatował na niego przy dukcie krzyżowym w najdzikszym ostępie kniei i wypatrywał sobie za nim oczy — widział same łanie tylko. Gdy się zabierał do odwrotu, ogarnęło go uczucie, jakoby lichy jakieś stało za jego plecami. Zalterowany obejrzał się i ujrzał dwa kroki za

sobą straszną twarz. Zbladł i porwał za sztucer, lecz w tej samej chwili parsknęło coś — i byk z trzaskiem i łomotem, orężem dzwoniąc o gałęzie, rzucił się w tajemniczy mrok dzikiego ostępu.

Łowiec za zjawą osłupiałym wodzi wzrokiem. Byłże to jeleni czy upiór? Ujrzał był nad czarnym, grzywiastym karkiem twarz straszną i złą. Dokoła świec ciągnął się szeroki siwy pas, a nad nim świeciły się i błyszczwały w pierwszych promieniach wschodzącego słońca długie, krwawe łodygi. Ile gałęzi liczyły, tego łowiec nie wie. Serce biło mu jakby w gardle, słabość ogarnęła kolana, lodowaty dreszcz przechodził mu po plecach, gorączka rozpałała mu skroń, mgła zasłoniła wzrok.

Z bronią nabitą i naciągniętą wkracza w dziki ostęp. Trop jak z brązu ulany uderza na podmokłym gruncie jego oczy; z łatwością cztery palce w nim pomieścić się mogą. Pójść za tropem nie można; wiatr muska wprawdzie twarz, lecz trop prowadzi ku ostępowi bagnistemu, gdzie tylko lis lub kuna bez szelestu czać się umie, gdzie już sarnik z głośnym tylko trzaskiem stapać może — tyle suszu pokrywa spód, tak gęsto wierzby i olchy, brzozy i sosny spilśnione są sitowiną i chróstem.

Łowiec ostrożnie posuwa się duktem, obchodząc łom. Nigdzie niesamowity trop nie prowadzi z ostępu, byk zatem stoi w łomie. Zarośniętą starą ścieżką wdziera się myśliwy, mając wiatr z boku, w zbutwiałą, stęchłą, duszną, ciasną dzicz — pot uperlił mu czoło, serce mu bije gdzieś wysoko w krtani, język jego spieczony od pragnienia. Po godzinnem czajeniu się i podkradaniu, po niejednym skoku z lękiem i drżeniem wykonanym, po kilkakrotnem okrażaniu i po częstych przerwach dotarł do samego środka dzikiej kniei i stanął przed wielkim łodem. Tu zwierzę chętnie koczuje, tu czemcha jeleni, jak widać po pniach obdartych, tu łanie się ciela, hajstra na

starej sośnie się gnieździ, tu na słońcu wygrzewa się żmija, na grzonie leśne orlik czatuje.

Dzisiaj łom jest pusty i próżny. Z zielonych sitowin wychylają się czerwone pnie i gubią się w czarnych koronach, między którymi błękit nieba mile przyświeca.

Oparty o pień na zbutwiałej wyrosły ziemi łowiec czeka z przymkniętymi do połowy oczyma. Głowa z zmęczenia opada mu ku piersiom; trzeźwiąc się, energicznym ruchem podnosi ją. Przedrażnione nerwy mają go dziwnymi zjawy. Czerwony pajak, wiszący tuż przed jego oczami, wydaje mu się czerwoną sztuką zwierzyny, stojącą hen daleko na haliźnie; łowca z uśmiechem na ustach spostrzega złudzenie. I znowu oczy jego się rozszerzają, bo tam w głębi łomu hajstra krąży w przestworach. Ale jest to tylko muszka, co nad jego czołem nieruchomo wisi w powietrzu. Potem zdaje mu się, że słyszy w szumie koron piosnki, piosnki z czasów studenckich, przerwane łkaniem tej, która kiedyś ze łzami go żegnała. I słyszy plusk fal, bijących o burty okrętu, który go uprowadzał od umiłowanej, od jasnowłosej... Oczy błękitne świecą się w smutnej, poważnej, zmęczonej jego twarzy jak błękitne tafle wód wśród porannej mgły.

Czy marząc dusza jego słyszała plusk fal i głuchy łoskot śruby okrętowej? Czy też uszy jego naprawdę słyszały dźwięki te? Lecz cisza przecież panuje dokoła, sikoreczki jeno tłumionym wabią się głosem i trzmiele brzęczą gdzieś blisko. Łowiec trzeźwi się i podnieca nerwy tytoniem. Za błękitnym dymem goni rozmarzony jego wzrok; lecz łowiec powołuje się do porządku, wraca upamiętanie i oczy myśliwca znowu wędrują od pnia do pnia, od kępy do kępy powoli, lecz stale, bez pośpiechu i porywczowości, do połowy zasłonięte powiekami. Nagle te oczy rozwarły się i patrzą pełnem wejrzeniem z twarzy,

w której nadzieja klóci się z trwogą, i usta rozchylają się, by też słuchać. To nie był sen z czasów studenckich, to nie żadne wspomnień fale wyrzucają zapomniane dźwięki na wybrzeże teraźniejszości — to naprawdę coś trzaska i dudni w dzikim, zielonym łomie, coś klaszcze i kłaska, szmera i szeleści, chlupoce i bulkoce, ucina i od nowa poczyną. Między dwoma pniami czerwonymi, pod dziwacznie skrzyconym konarem, zakryty od dołu ciemnym krzakiem, stoi jakby w ramach — on, byk, po kąpieli w leśnej kałuży czarny jak djabeł, i wlepia w łowca świece bladą otoczone opaską, nad którymi w słońcu krwawe błyszczą szydła. Wrył w niego wzrok jak zły duch w biedną duszę. Łowiec doznaje uczucia, jakby dłoń lodowata ścisnęła mu serce, bo widzi, że dym tytoniu wprost ciągnie na jelenia. Zanim zdążył broń przyłożyć do policzka, ramy były puste — byk przepadł z trzaskiem i łomotem, orężem dzwoniąc o sportykane po drodze gałęzie.

Wieczorem tego samego dnia leśnik, który o milę za łomem jelenie wysłuchuje, dosłyszał ryczenie dziwnie twarde, suche, chrapliwe, przykre dla ucha, potem stękanie podłe jakieś i nikczemne, w końcu urwany ryk, głuchy i brzydki. Tak żaden byk nigdy dotąd tam nie ryczał. Miejscowy jeleni główny stojący na łące bagnistej, podniósł łeb i ciągnie powoli przed swemi łaniami ku lasowi podmokłemu. Leśnik trzyma szkła przed oczami i z naprężeniem śledzi srebrny parkan brzoź, odgraniczający łąkę od boru.

Główny rogacz gniewny w stronę lasu posyła ryk — widać jak para bucha mu z gęby i w białych wije się obłoczkach.

Z głębin boru odpowiada skrzeczące, twarde, brzydkie stękanie, potem rzęzący, ochrypły, szyderczy ryk, dźwięczący nieziemsko jakoś, upiornie, piekielnie. Główny byk zbliża się ku brzegowi bagnistego boru. W lesie cisza, głuche milczenie.

Dwunastak pełnym, szlachetnym głosem rzuca uczciwe swe wyzwanie w mroczny, srebrem oparkaniony bór. Nie ma odpowiedzi. Szlachetny jeleń stąpa gniewnie, pysznym orężem podrzuca grudki czarnej ziemi, tłucze nim krzak wierzby, że strzępy tylko z niego zostawiają, posyła pogardliwy, krótki ryk w stronę rywala i odwraca się pełen wzdąry. Przed nim ciągną łanie.

Wtem z boru wypada czarny, straszny zdrajca, i zanim dwunastak zdołał nawrócić i nastawić oręż, już przeciwnik wpadł na niego z tyłu. Nad powalonym dwunastakiem stoi czarny szydlarz i z wściekłością go roguje. Głucho brzmia ciosy, jakby kto kijem walił w miech.

Chmara łań osłupiała; stanęła jak wryta, wyciągnęła szyje, nastawiła łyżki i szeroko rozwarła świece. Krwawy strzęp uderzył o kark licówki, inny o jej pierś. Ona strasząc zwraca się do ucieczki. Lecz natychmiast czarny jeleń o siwej opasce naokoło świec i o czerwonych sztyłach jest przy chmarze i w zwartą zbija ją gromadę. Potem zaryknął w zmierzchu wieczornym tak brzydko, tak podle, tak jakoś bezdźwięcznie i sucho, jak żaden jeleń nigdy jeszcze nie ryczał, popędził przed sobą łanie i zniknął z niemi w oparach mgły.

Leśnik wodzi za nim osłupiałym wzrokiem, schodzi z strażnicy i kroczy ku zrogowanemu dwunastakowi. Jeleń bliski jest zgonu, wysadzone jego świece zdradzają strach śmiertelny. Na długość ramienia zwieszają się trzewa poszarpane z rozprutych połci. Leśnik dobija byka i trzebi go.

Potem w głębokiej zadumie kroczy ku domowi. Jakież przykre wrażenie wywrze smutna nowina na nadleśniczym! Następnego bowiem dnia książę miał zapolować na dwunastaka.

Dnieje. Powietrze ostre i cierpkie, jakby stworzone na wspaniałe rykowisko. Lecz głucho i cicho wszędzie — żaden



byk nie ryczy, gdzieniegdzie tylko odzywa się chłyst. Główne rogacze milczą. Dwunastak wczorajszego wieczoru ostatni wydał ryk; wisi on teraz wytrzebiony w podwórzu leśniczówki. Kapitałny ósmak, co już dwanaście miał gałęzi i zapowiadał czternaście, siedzi w potoku między olchami i zbite chłodzi połcie. I jego szydlarz napadł z tyłu. Dziesiątak z pogorzelska stoi w drągowinie i nie rusza się z miejsca. Szydlarz przebił mu czaszkę, skaleczył mu mózg i pozbawił go przytomności.

Gdyby księżę nie był tu przypadkiem przejeżdżał, byłby i ten jeleń zrogowany został do reszty. Krótco przed dereszami czarny szatan sady przez dukt, że konie dęba stawają. Księżę okala ostęp, do którego jeleń wpadł, lecz szydlarz był prędzszy i opuścił się już w bezdrożne trzęsawisko. Na dukcie spotkano świeży trop sfarbowany, prowadzący do chorego dziesiątaka. Tam oto stoi biedny jeleń, oparty o pień, postękując, rżąc i ustawicznie potrząsając głową. Nad prawą jego świecą wystąpiła w miejscu zrogowaniem czerwona masa mózgowa jak ogromny, krwawy wrzód. Strzał śrutem w kark uwalnia nieszczęsnego byka od dalszych mąk.

Minął tydzień. W obwodzie dziesięciomilowym wszystko, co nosiło urzędowy zielony strój, chodziło z rozpaloną głową, z rumieńcem wzburzenia na twarzy. Zanikła wszelka zawiść myśliwska, wszelka zazdrość sąsiedzka. Leśnik oznajmiał wieść chłopu, miejski dzierżawca leśnikowi, gdy spotkano trop szydlarza. Trzy razy go już ofladrowano, lecz on nigdy nie wychodził na strzał, bo nie respektował straszydeł; zanim się rozwidniło, przedzierał się przez nie. To tu to tam rozlegał się jego ochrypy, brzydki głos, lecz zawsze w bezdrożnych bagniskach lub w gąszczu zarośli. Szydlarz wychodził na łąki dopiero wtenczas, gdy noc ciemna zapadła i odbijał miejscowe

główne byki od łań. Myśliwi od jasnego południa już siedzieli na ambonach, siedzieli do ciemnej nocy i marzli w kozuchach, gdy wiatr poranny dał od trzęsawiska. Widzieli wprawdzie czarne cienie uganiające się po łąkach i znikające znowu w mgle, słyszeli urwane ryki szydlarza, lecz gdy wstawał dzień i wywlekał drzewa i krzaki z mgły, nieszczęsny byk już dawno był w bezpiecznym gąszczu, lub siedział w kąpielu w dzikim łomie.

Niedalej niż pięćdziesiąt kroków od czatowni, na której sam dyrektor lasów spędził noc, zrogował słabego dziesiątaka. Dyrektor słyszał każdy dźwięk, mógł dokładnie śledzić uchem przebieg walki, trzymał sztucer naciągnięty ustawicznie przy policzku, gotów, odważyć się na strzał, chociaż nie było dostatecznej jasności. Słyszał on trzask łamanych krzaków, dziki szum w trawach, dźwięk orężów zwierających się, sapanie i stęk rywalów i słyszał też, jak nagle padały ciosy, gęste jak grad, głucho dudniąc, jakby kto grubą warstwę słomy młócił — a potem głośno zatrzeszczało w gęstwinie, i szydlarz suchym, nikczemnym rykiem oznajmiał dyrektorowi swój triumf. Cisza i głuche milczenie znowu zapadły na łące.

Gdy słońce po ciężkiej walce zwyciężyło mgłę, łąka była goła jak ręka dziecięca — stara koza tylko żerowała nad strumykiem.

W gąszczu ustawicznie skrzeczą sójki. Siwobrody łowiec, zeszytniały i zziębnięty opuszcza ambonę. Czoło jego się marszczy, gdy na zdeptanej, porytej i podartej od racic murawie spostrzega farbę, farbę ciemną, mętną, jaka płynąć zwykła z zranionej wątroby. Trop prowadzi właśnie w stronę, gdzie sójki skrzeczą i zrzedzą. Na gołaźni starej gęstwiny leży na boku dziesiątak z badyłami wyciągniętymi, z ozorem

wywieszonym, z zamarłymi świecami; od kilku godzin już nie żyje, cios w wątrobę dobił go.

Dyrektor rozsyła konnych posłańców; sekretarz jego godzinami stoi przy telefonie. Szydlarz musi zginąć. Ponieważ ani podchodzenia, ani fladry żadnego nie dały wyniku, postanowiono otropić knieję i ubić byka przed psem. Wieczorem przybywają strzelcy, leśnicy, dzierżawcy polowań i inni, sami wytrawni myśliwi; trzydziestu ich jest. Rozpraszają się po chatach wsi, bo w oberży nie ma miejsca na tylu. Następnego dnia z rana nadchodzi telefonem wiadomość, że byk stoi w brzozowym gaju, zabagnionym, zarosłym ostępem kniei. Na rowerach i wozach strzelcy śpieszą do leśnictwa, w którego obrębie leży brzozowy gaj. Cicho jak koty skradają się do swych stanowisk, i cicho, bez szelestu ustawia się obława. Ktoś z starszych leśników zakłada na trop starego, kulawego Zagraja, jedynego na całą okolicę farbowca, który idzie za zdrowym tropem. Rozmaita zwierzyna wychodzi na linję: łowny jeleni, łanie, dwa dziki, dobry kozioł, lis.

Linja milczy, bo wolno strzelać tylko do podstępного zbója, do szydlarza.

Mija godzina — przed linją wylania się z lasu czerwony farbowiec, za nim czerwona twarz leśnika. Szydlarz nie pokazał się. Inny leśnik okala na rowerze cały ostęp. Okazało się, że jeleni tkwi jeszcze w miocie.

Założono więc jeszcze raz. Jeleni w doskonałym zakryciu ciągnie brzegiem ostępu, ale nie wychodzi na strzał. Dyrektor po raz trzeci każe zakładać i sam wraz z dziesięciu strzelcami idzie z obławą. To pomaga. Słychać nareszcie strzały. Lecz kniejówka nie głosi radośnie o zgonie szydlarza. Spudłowano go. Cicho jak zbik skradał się przez miot, doszedł blisko linji i nagłym susem mignął przez dukt. Dwa pociski, rzucone

w pośpiechu, złowrogo zaświszczały w powietrzu, nie dosięgając celu. Wszelkie trudy, wszelkie koszty były daremne. Trop byka ciągnął się aż w bagna należące do klasztornych dóbr i tam przepadł.

Lecz ów potrójny miot padł bykowi widocznie na nerwy. Nikt w tej okolicy nie usłyszał już nigdy suchego ryku jego.

Po trzech latach jeszcze opowiadano sobie o straszliwym szydlarzu, który w jednym sezonie podczas rykowiska aż siedm mocnych zrogował byków. Przyszedł i poszedł jak złodziej w nocy; dokąd — nikt nie wiedział. Dopytywano się o niego nawet w gazetach, lecz nie wyszło na jaw, co się z nim stało.

Był jednak ktoś, co znał tajemnicę szydlarza. Człowiekiem tym był rudy Jakób, łazęga leśny i ladaco, który w mieście powiatowem sprzedawał za dnia jagody i grzyby, wieczorem zaś sarny i zające w wnykach złapane. W dniu po polowaniu z obławą włókł się on przez „Dziki Róg“, aby zbierać grzyby i nawiasem zobaczyć, czy nie ma czego w sidłach, które dnia poprzedniego jego synale ustawili na sarnich przesmykach. Szedł przez podszyty las, lisią swą twarz ułożywszy z nawyknięcia w jakiś głupi grymas, ścinał od czasu do czasu grzyb i rzucał go przez ramię do kosza na plecach.

Nagle skurczył się i przyczał jak lis, który zabiera się do skoku na ofiarę. Nawet rudawe jego włosy nad piegowatym czołem drgały i odstające jego uszy z natężeniem nadśluchiwały, bo w lesie działo się coś osobliwego. Słyszać było jęki i stękania, przypominające rżenie konającego człowieka. Żadna zmija nie pełza tak cicho jak teraz pełzał rudy Jakób. Koszyk zdjął z pleców, wsadził starą czapkę, ściągnął ją głęboko na czoło, zostawił buty przy koszu i ujawszy silnie w garść krótką pałkę z ołowianą gałką, szybko, lecz bez szelestu

posuwał się naprzód, omijając każdą gałązkę, o którąby zahaczyć się mogło jego wypłowiałe ubranie. Ostrożnie rozchylił krzak wierzbowy, z poza którego dochodziły go stłumione jęki, i zamierzył się zabójczym swym narzędziem. Lecz natychmiast cofnął się z przerażeniem, i twarz jego popielatą oblała trupia bladość; to bowiem, na co oczy jego patrzyły, było okropne.

Z tamtej strony szerokiego i głębokiego rowu o stromych ścianach wisiał mocny jelen, wparowany między pnie bliźniaczej sosny; świece jego, okolone siwą opaską, straszliwie były wysadzone, ozór wywieszony. Przez całą noc widać wisiał już tak, bo brunatna ziemia była od tylnych badylów rozryta i skopana. Kark bezwładnie zwisał ku ziemi, i oręż o długich, grubych, śpiczastych jak szydła łodygach okrwawionemi gałęzmi ocznemi dotykał prawie ziemi. Kadłub jelenia okropnie był nabrzmiął. Bezwładne drgania wstrząsały od czasu do czasu jego suknią, łyżki leniwie się poruszały, czasem badyle kurczowo się ściągały, i z chrapów, na których biała osiadła piana, ustawicznie dobywał się głuchy, suchy, beznadziejny jęk.

Zgroza owładnęła wnykarzem. Zdjął brudną czapkę i rudowłosą ręką obtarł mokre czoło. Nigdy nie doznawał on uczucia litości, gdy znalazł sarnę szamocącą się w wnykach — toć taki widok należał do jego rzemiosła. Ale to tutaj? Przez całą noc konać? Powoli i w zdrowem ciele? Wnykarz otrząsnął się. Wyciągnął butelkę, łyknął wódki, obejrzał się nieśmiało na wszystkie strony i podszedł do jelenia. Rozległ się głuchy cios. Stękanie ustało; nóż zabłysnął w ręce wnykarza, i czerwona farba z tętnicy jelenia krzywym potoczyła się promieniem. O, bo rudy Jakób znał swój proceder! Po trzech godzinach jelen był rozebrany; kości i patrochy znikły w miękkiej bagnistej ziemi; wszystko mięso, poza kilkoma najlepszemi

kawałkami, wisiało na pręcikach wierzbowych w koronie grubego świerku, zabezpieczone papierowymi szmatami przed kuną i wronami; na innem drzewie wisiał łeb szydlarza z krwawym orężem.

Przez trzy noce rudy Jakób wraz z smagłą, czarnowłosą kobietą swą i trzema głodnymi nicponiami włókł kosz za koszem do miasta powiatowego. Załatwiwszy wszystko pomyslnie, poszedł na piwo i fundował swoich przyjaciół; jego stara dostała porządną suknię, a synale nowe buty.

W podejrzanym lokalu wielkiego miasta, gdzie kobiety o twarzach malowanych przy białych marmurowych stoliczkach dybią na łup, wisi na filarze oręż o wysokich, szeroko rozpiętych łodygach, oręż jelenia — szkodnika, który sam się osądził i zginął śmiercią powolną, okropną, śmiercią godną mordercy.

*

Arcysara zgon

*

W lesie coś chodziło. Co to było, nikt nie wiedział, ale nie było to nic dobrego. Nienawidziło bowiem pokoju, a lubiło spustoszenie. Wszystkie kozły, które miały ostoję swą z tamtej strony potoku, doświadczyły tego. Widłak z dębowego młodnika chodził z rozprutem lewem udem. Szóstak z ostępu trzeciego posiadał jedną tylko świecę i jedną tylko łodygę. Sarnik z nad bagniska upadał na przedni prawy bieg. Czteroletni śpiczak z brzozonego gaju utracił duży szmat sukni na combrze.

Żaden z nich nie wiedział, jak się to wszystko stało. Spokojnie żerowały sobie z swojemi siutkami. Nagle załomotało w gąszczu, coś dużego, brunatnego z niego wyprysło, przewróciło ich, siutki zabrało, i znowu w gąszczu znikło.

O ranach byłyby sarniki pewnie zapomniały, o narzeczonych nie zapomniały. Czteroletni kozioł o długich w kształcie sztyletów łodygach najboleśniej odczuwał srogość losu. Nic mu nie smakowało; nie nęciły go ani listki jeżyny, ani koniczyнки, ani trawki, ani młode latorośle. We dnie i w nocy tłukł się po kniei i myślał o swojej stracie.

Pewnego poranku, gdy po krótkiej burzy drobny mżył deszczyk, kozioł nabrał odwagi. Ostrzył więc swoje sztylety o krzak wierzbiny, że łyka i liście przyskały, walił przednimi raciczkami, że mech i próchno w powietrzu wirowały — i pociągnął w ostęp.

Stąpił przezornie i trwożliwie. Łada zajęć, który pomknął z kotliny, przestraszył go, łada gołąb, którego przy solniku

spłoszył, zatrwożył go. Lecz sarnik podniósł znowu hardo łeb, tłukł cewkami ziemię, i czemchał parostkami o młody jesionek.

Nagle zapomniał o trwodze i ostrożności. Z drągowiny doszedł go dźwięk, który go za serce brał. Był to głos tęsknoty, pożądania, miłości; był to głos jej, tej małej, ładnej siutki, której tak dawno już nie widział. A woń, co go od ziemi uderzyła, była jej tropów woń.

Z szeroko rozwartemi chrapami szedł za nimi poprzez wysoki las, poprzez drągowinę, aż do olchowego gaju nad potokiem. I nagle zoczył jej wysmukłą postać w czerwonej sukience na tle zielonych liści malinowych.

Puścił się klusem ku niej. Gdy już blisko był umiłowanej, życie wstąpiło w czerwony pień olchowy, stojący opodał, i zamieniło go w starego, ciemnobraunatnego kozła o postaci wysokiej i silnej, o twarzy prawie białej, nad którą w świetle słonecznem błyszczało ośm białych, długich gałęzi. Był to arcysar, wielki zawalidroga, który co rok z końcem lipca tu się zjawiał i w połowie sierpnia znowu przepadał. Na moment mrowie przechodziło starego śpiczaka. Potem jednakże dumnie wznosił kark, przewracał świecami, że biała ich błonka złowrogie rzucała błyski, pochylił łeb, że długie sztylety o polerowanych kończynach groźnie się skrzyły, bił przedniemi cewkami o ziemię, że liście i mech zawirowały, i pobekając głęboko i hardo, ruszył krokiem hiszpańskim przeciw rywalowi.

Arcysar zrazu zdębiał. Takiej zuchwałości jeszcze mu się jednak nie zdarzyło spotkać! Jakto? Czterolatek miał śmiałość wyzwać go na pojedynek? Taki wstecznik, co nawet sześciu gałęzi nie miał u parostków, odważa się stawać do walki z nim? To przecież wprost śmieszne! Pogardliwie wyszedł

przeciw zuchwalcowi, z szyderczym grymasem około czarnych jak węgiel chrapów. Lekceważąco pochylił łeb — jednym pchnięciem chciał skończyć z tamtym głupcem. Lecz śpiczak miał się na ostrożności. Skoro rywal z parostkami o ośmiu sztyletach runął na niego, on szybko się umknął, i ciął błyskawicznie z dołu w górę. Zachrząsało coś rozgłośnie i zarazem głucho zadźwięczało. Gdy zapaśnicy przerwali bój, i zadyszani, zziązani stanęli naprzeciw sobie, lewa świeca arcysara krawym, brzydkim strzępem zwieszała się z jamy ocznej.

Po chwili wilga, która ćwiczyła się na swym flecie w gałęziach nad walczącymi rywalami, odleciała, zgrozą przejęta. Pod nią bowiem naraz zakotłowało się strasznie, aż liście i mech, trawa i chróst z wyraźnem warczeniem przecinały powietrze. Rozległ się skrzek, głośny i przeraźliwy, a potem tak dudniło coś, jakby dzieciół w spróchniałe kuł drzewo, w końcu zacharczało chrapliwem rzężeniem.

Z wiru liści wynurzył się arcysar. Połcie jego drgały, płuca świszczały, z piersi wydobywało się głębokie dyszenie. Wciąż potrząsał łbem, z którego lewej strony czerwony kołysał się pas. Lecz parostki jego o ośmiu gałęziach były farbą zbroczone.

Siutka ulotniła się, gdy rozpoczął się bój. Ósmak szedł za jej tropem, pogonił za nią, gdy przed nim uciekała, grzmotnął ją w połeć i popędził w ostęp.

Krótko po tem wszystkim zielony cień wił się przez las, wynurzał się z za jednego pnia, ginął za innym, znowu się ukazał, i znikał ponownie. Kos głośnie rzucał wyzwiska za upiorem leśnym, a puszczyk na dębie rozwarł zdziwione oczy i niedowierzająco potrząsał głową, bo mniemał dotąd, że prócz niego nikt bez szelestu polować nie umie.

Owym upiorem zielonym był leśnik, wysoki, młody, płowy mężczyzna o niebieskich oczach i opalonych policzkach i rękach. Był zły; albowiem stwierdził właśnie, że dwanaście jodełek ośmioletnich, które rosły wśród mnogich świerków, oraz dziesięć szlachetnych jesionków zmarnował czemchający jakiś kozioł. Żarło go też, że żadnego dotąd nie spotkał sarnika; odebrał bowiem zlecenie dostarczenia jednej sztuki do dworu. O świcie wybrał się był do lasu, obecnie była dziewiąta, a nie widział dotąd nic, prócz jednej starej kozy.

Czy to tylko nie było sprawką starego ósmaka! Od trzech lat on o tej porze wszystkim kozłom obrzydzał pobyt w kniei. Leśnik czał się na niego do upadłego; okulał prawie od podchadzania, zgarbił się od wysiadywania na czatach — ale nigdy go nie mógł przydybać. Pięćdziesiąt nocy zmarnował, sto wieczorów poświęcił, lecz wszystko to było na próżno.

Leśnik zirytowany ssal swoją fajkę, że dym snuł się za nim przez las długą, szeroką jak ogon koński smugą. Wtem oczy jego zatrzymały się na ziemi. Dwa sznury tropów ciągnęły się ku gąszczowi — jedno drobniejsze, pochodzące od siutki, drugie bardzo mocne starej jakiejś sztuki.

Głęboko nachylił twarz ku wytłokom. Duże jego oczy błyszczały, gdy poznał charakterystyczny trop ósmaka.

W chwili, gdy się wyprostował, usłyszał po lewej ręce szmer.

Szeleszczenie powtarzało się, i rzęzenie jakieś towarzyszyło mu. Leśniczy, czając się jak kot, postąpił o krok, posunął się jeszcze nieco naprzód — i już przykląkł, uchwycił zrogowanego kozła za długie łodygi, sięgnął prawą ręką w bok, błysnął opustem, i szybko pchnął nim sarnika w komorę. Kozioł drgnął, łeb mu zwisł i zsunął się na zroszony farbą mech zielony.

Leśnik starannie zbadał kozła.

„No, taki ścierwiarz,” mruknął, gdy obróciwszy sarnca, zobaczył poszarpane trzewa, na stopę wywieszoną z rozprutego połcia — „raz, dwa, trzy, sześć, ośm, dziesięć, czternaście razy go rogował. Ale teraz dość tego, bratku! Dzisiaj legniesz, albo będę kpem!”

Wziął kozła na bary, wyniósł go na pole, wytrzebił, zakopał patrochy i zawiesił sarnika na świerku. Potem nawrócił szerokim łukiem ku potokowi.

U stóp obsiewnego buku urządził sobie stanowisko, odgarnął cichutko liście, usunął każdą gałązkę, wyszukał pół tuzina równych listków bukowych, przyciął je należycie i położył przed sobą na plecaku. Odciawszy w końcu długą gałąź o gęstym liściu, zatknął ją przed swoim stanowiskiem.

W kniei panowała zupełna cisza; żaden listek nie drgnął, można było słyszeć chrzęst uwijających się skrzętnie mrówek i delikatny szcęk wielkiego konika wodnego, który nad potokiem w rabunkowym bujał locie. Grzywacz gdzieś zahuczał, myszółów zakwilił wysoko nad koronami buków, mysz zaszeleściła w zwiędłych liściach.

Młody leśnik powoli wypalił fajkę, naciągnął cichuteńko kurki strzelby, podciągnął kolana i położył broń w poprzek na łono. Potem wziął listek bukowy i przyłożył go do ust. Rozległ się w krótkich przerwach trzykrotnie miękki, łagodny, czuły dźwięk, podobny do stęsknionego, pożądliwego piszczenia siutki.

Z tamtej strony potoku siedział w gęstwinie stary ósmak w łóżku, obok niego siutka. Gdy zadźwięczały cienkie, delikatne tony, sar począł strzyc łyżkami. Przeszedł może kwadrans, i znowu odezwały się wabiące tony. Sar podniósł się. Atoli zbyt często doświadczył był w życiu, że pod płaszczykiem nęcących dźwięków śmiercionośny czał się pocisk;

niejedna bowiem kula za młodych jego lat bzyknęła koło niego, gdy zwabiony temi dźwiękami gwałtownie wypadł z gąszczu, niejedną raz obtarł się o niego olów. Chętnie byłby się wprawdzie z bliska przypatrzył siutce, co tam wabiła, bo głos ten wydawał mu się obcy. Lecz ona tam pewnie będzie jeszcze — pomyślał — gdy się ściemni; a gdyby się mylił, toć ta laleczka obok niego też była ładna i młoda.

Nagle płomień ognisty przeszedł po nim — rozległ się bowiem krzyk sarenki, krzyk trwogi i zawstydenia. Cóż to? Czy znowu ktoś odważa się zakłócać jego spokój domowy?... w tym tu ostępie — w tej kniei, gdzie wszystko, co ładne i zgrabne jego jest własnością?

Sar powoli ciągnie wśród jodłowej gęstwiny. Co parę kroków przystawa i bada. Lecz, gdy ów trwożliwy krzyk głośniejsz zabrzmiął, gdy do łyżek kozła wyraźnie dochodziło hałaśliwe dudnienie, jakby od raciczek naprzykrzającego się rywala, wtedy całkiem wysunął się z gąszczu.

Leśnik, który zapamiętało bił kapeluszem w suche gałęzie na ziemi, uciał, skoro od strony jodeł usłyszał lekki chrzęst. Uśmiech zaigrał mu na ustach; strzelec wstrzymał oddech i przymrużył oczy. Przez dłuższą chwilę cicho było w lesie, lecz ponownie coś zatrzeszczało — tym razem głośniejsz, bliżej. Serce leśnika waliło, sztucer drżał mu w rękach. Zawarł więc powieki zupełnie, a oddychał głęboko i pomału.

Gdy otworzył oczy, ujrzał nad brzegiem gąszczu szarawą plamę, i nad nią, nad łyżkami o czarnej obwódce — kapitalne parostki z czerwonymi od farby odnogami. Wiekiem zdawało mu się, zanim w szarą ową plamę nareszcie życie wstąpiło — krew mu wrzała w żyłach, pot uperlił mu czoło. Lecz skoro kozioł wysunął się do reszty, i za nim ukazała się czerwona suknia siutki, wtenczas leśnik pomalutku przyciągnął sztucer do policzka, i palcem dotknął cyngla.

Po strzale wstał i nadśluchiwał. Zaszeleściło jeszcze kilkakrotnie w jodłach, poczem wszystko ucichło. Strzelec ostrożnie zbliżył się do brzegu zagajenia; pochylił się, pokiwał głową z zadowoleniem, gdy ujrzał bladoczerwone pęcherzyki na błękitnych, zgnieconych dzwonkach, i odszedł.

Siutka podniosła się najpierw zdumiona z legowiska, gdy ordynarny jej pan ją opuścił; nie było bowiem jego zwyczajem, za dnia białego w otwarty, niepodszyty wychylać się las, nie żądał nawet od niej, aby mu towarzyszyła.

Gdy grzmot straszliwy targnął powietrzem, siutka rzuciła się do ucieczki, lecz nie daleko uszła, bo zbyt lękała się surowego swego władcy; wiedziała przecież, że onby ją za tropem jednak odszukał, a wtedy na nią spadłaby chłosta gęsta jak grad. Lecz już go oto słyszy — z głośnym trzaskiem pękają gałęzie — on tuż. Ale co to? Taczał się, chwiał, padał, z trudem znów się pobierał, uszedł trzy kroki, jeszcze raz runął i został na miejscu.

Ona nieśmiało zbliżyła się z twarzą ujmującą, bo ten jej stary był nieobliczalnym, dzikim drabem, o wiele mniej czułym, o wiele mniej delikatnym od jej pierwszego amanta. Teraz, gdy przy nim stanęła, uniósł słabo głowę, i znowu ją opuścił. Ona troskliwie go zbadała chrapami, lecz odskoczyła nagle, bo uderzyła ją taka dziwna, niesamowita woń, jakiej nigdy dotąd u niego nie zauważała.

Została mimo to przy nim całą godzinę. On od czasu do czasu świeżył się, lecz za każdym razem, rżąc, zwał się znowu na ziemię, i za każdym razem sączyło się coś czerwonego z jego komory.

Potem ogarnęło go drżenie, zarzęził raz jeszcze okropnie, wyciągnął się jak długi, i już się więcej nie ruszał. —

I znowu zatrzeszczało w gąszczu. Siutka podniosła się. Słysząc głos ludzki: „Szukaj kozła! Gdzie kozioł? Szukaj, piesku mój!”

Trzask zbliżał się, wraz z nim dochodziło ją głośnie dyszenie psa. Ogarnęło ją przerażenie, i uciekła. W dalekim, brzozowym gaju przystanęła. Stłumiony oszczek uderzył jej łyżki, i kniejówki głośnie, radosne achy dawały znać o zgonie arcysara.

Obok kozła klęczał leśnik. Z zachwytem przyglądał się parostkom, których śpiczaste odnogi czerwienily się jeszcze po dokonanych mordzie.

A siutka błąkała się niespokojnie po kniei. Czuła się opuszczoną. Głośnie wzdychała za towarzyszem o sercu czującym i znalazła go wkrótce w osobie trzyletniego, okazałego kozła. Był on daleko przyjemniejszy i o wiele delikatniejszy od tamtego starego grubiana.

O s t a t n i a p i e ś ń

Długo, bardzo długo trwało, zanim wiosna owładnęła lasami gór. W dolinach, z borów nizin już dawno wygnała ona zimę za dziesiątą granicę; tam już kwitły zawilce, pierwiosnki i śledzienica, czerwone i żółte motyle bujały w powietrzu, kosy nad gniazdkiem swem już wysiadywały. Lecz w górach jeszcze leżał śnieg. Gdzie słońce wolny miało dostęp, znikał on powoli — nabrzmiwały pączki borówek, baškami ustroiła się wełnianka, zazłociła się wierzбина, muszki, pszczołki i chrząszczyki brzęczały, mżoszczące się żabki warczały i porechtywały w bagnach i błotach, salamandry wiosłowały w sadzawkach na tle klarownego mialu granitowego, na świecących pokładach mchu szarych głazów skalnych wygrzewała się jaszczórka górską, łowiąc muszki, co na kwitjącym siadały szczawiu.

Tutaj, gdzie dotąd tylko krzyżodzioby się wabiły, sikorki świergoliły i czyżyk psykał, wygwizdywał teraz radośnie drozd swoje trele, wydzwaniał świergotek drzewny śliczną swą pieśń, śpiewał płochacz, piskała zięba, przelatywała pliszka z kamienia na kamień, i tutaj stawilo się też znowu wszystko, co przed srogą zimą uciekło było w doliny: szlachetny jelen, płochliwa sarna, lis-włóczęga, zając flegmatyczny, i duma gór lesistych — głuszec.

Pierwszy, co opuścił niziny i szumiącym lotem pociągnął w góry, gdzie rzadko zawiatał leśnik, i nigdy prawie mieszkaniec

nizin nie zachodził w wędrówce swej, był stary, walny kogut, trubadur leśny.

Tu, gdzie bagno przy bagnie otacza wierzchołek gór, gdzie nigdy nie huczy siekiera, gdzie świerki rosną i giną, jak same chcą, tu on od lat ma swoją ostoję i wie dzie żywot skryty wśród głazów skalnych i zwałonych wichrami pni niejeden już rok, bezpieczny przed prochem i ołowiem.

Na dzikim urwisku, zasłanem skalistymi zwałiskami, spadającym nagle ku przepaści, wśród potężnych brył kamiennych jesion wywalczył sobie byt. Nie poszło mu z tem łatwo, i często musiał wić się i chylić i naginać, zanim postawił na swoim. Podobny do cielska olbrzymiego węża wypelzał on z szarych głazów, nakrapianych jaskrawożółtym porostem, wyłożył się na pięć stóp poziomo nad przepaścią, by potem sękatym pniem pionowo strzelić w górę. Rok w rok targwały nim wichry, by go zdruzgotać, jak zdruzgotały dokoła smreki, gdy zamróz w kleszczach je trzymał — lecz stary jesion stał jak moczarnia i nie ustępował, bo zbyt głęboko wżarły się były jego korzenie w szpary skał, zbyt silnie mrozy i burze wykuły na jego korze i drewnie twardej stali hart.

Tu stary kogut co rok, gdy śniegi topniały, wyśpiewywał swoją serdeczną pieśń w brzasku porannym, gdy świerki sterczały spowite jeszcze w gęstych mgłach. Codzień o świcie ta pieśń przenikała głuche gór milczenie, dopóki z mglistej pościeli powoli nie wstawał dzień, dopóki z przeciwległej ściany stoku drożd słońcu nie posyłał powitania, a w dolinie krajobraz nie wylaniał się z wilgotnej zasłony oparów. Wiew poranny nieraz ostry był i przejmujący — stary kogut nie troszczył się o to; gorące jego serce i niespożyta siła kazały mu wyśpiewywać niezwykłą, osobliwą arję na starym jesionie



wbrew mroźnym tchnieniom wiatrów i lodowatym roztopom śniegowych mas. Atoli, gdy płochacz i drozd rozpoczynały swoje trele, gdy zięba i świergotek drzewny zaśpiewały, mysikrólik i pionka zaświergotały — wtedy ucinął dumny ptak, jakby się wstydził i zdradzić obawiał, iż sercem jego, starego junaka, i sercem niższych warstw ptasiego rodu te same owładają uczucia. Wtenczas z hałasem się porywał i zapadał tam, gdzie kury między olbrzymiemi głazami drobne zbierały żyjotka, pączki i nasiona, i brał sobie, co mu się jako ich władcy i małżonkowi słusznie należało, i czego żaden inny kogut dłużej niż kwadrans nie był zdolny mu bronić; albowiem srodze zbity i poszarpany rywal zniewolony był pociągnąć w strony, gdzie nie tak srogi gracz, jak kogut z dzikiego stoku nad swoim czuwał harem.

Gdy ranne słończko szczególnie ciepło przyświecało, że mech jak złoto się lśnił, i kwiecie szczawiu jak srebro błyszczało, gdy muszki zamieniło w brylanty i kwiecie borówek w rubiny, wtenczas zdarzało się, że tu w tej samotności sikoreczki i czyżyki, świstunki i mysikróliki były świadkami czegoś zupełnie szczególnego. Kogut bowiem, postawszy dłuższą chwilę ospale, poważnie zbliżał się do kur, zapadał na barwnej bryle kamiennej, gdzie promienie słoneczne z wszech stron trafiały wspaniały jego strój, opuścił loty, rozwinął wachlarz, nadał gardło i śpiewał tak ślicznie, tak cudnie, tak wzruszająco, że jedna kura za drugą zaprzestawała szukać chrząszczów i z zachwytem wsluchiwała się w jego pieśń.

I zdarzyło się też, że kogut w swym szale zapadał na wierzchołku srodze przez wichury zimowe i zamróz zmaltretowanego świerku, gdzie, nie troszcząc się o jelenia czy łanię spłoszoną z legowiska, na dobre się rozśpiewywał w blasku słonecznym. Ba, często tak go dręczyło serce, że jeszcze wieczorem, gdy

słońce hen głęboko w dolinie żegnało ziemię, i drozd piosnkę swą wieczorną wygwizdywał, kogut, zapadłszy na swem siadle, nie zaraz łeb chował między loty, lecz jeszcze raz prastarą swą arją przerywał ciszę puszczy, tonącej w zapadającym zmierzchu.

Lis, co sznurował w pobliżu głazów, postrzygł uszami i podyndował dalej; wiedział, że to nic dla niego. Raz wprawdzie udało mu się złowić guszycę, wysiadującą na gnieździe; nawet wytłukł kiedyś całe stadko młodych; ale nigdy jeszcze nie zdołał zbliżyć się do starego koguta. Jedyny raz byłoby mu się nieomal udało, gdy guszcet tokował na ziemi; lecz kury spostrzegły zawczasu zbója i porwały się z głośnem kokaniem; za nimi poszedł kogut, a mistrzowskie podkradanie się lisa skończyło się na tem, że na miejscu, gdzie guszcet grał, mikita tylko wiatrem jego mógł się zaciągnąć — a tem się przecież nie nasycił. Posznurował więc dalej wzdłuż stoku w cichej nadziei, że w niższych jego pasach znajdzie chyba coś lepszego niż wołki — same wołki — lub co najwyżej chudą mysz.

Ale był tam jeszcze ktoś, co słyszał grę koguta. Zaledwie nastał brzask, on już czaił się w dolinie, zawsze wzdłuż sarnich przesmyków, i wtedy jamnik leśnika wpadł na jego trop i pogonił za nim głosem poprzez dzicz powalonych wichrem pni.

A gdy on — stary żbik z doliny — zaszył się w zaroślach ustronnych skał, spłoszyły go jakieś głosy ludzkie, i znowu rwał pod górę, aż dotarł do miejsca powyżej dzikiego stoku. Do późnego popołudnia spał był w szczelinie skalnej, lecz potem głód go z niej wypędził, i koczur skradał się jak upiór poprzez puszcę, raz sporzej, to znów wolniej, czaił się wzdłuż bagien, wśród skał, czołgał pod zwalonemi kłodami świerków,

poprzez glazy, wodończe i rozpadliny — i nie ułowił nic prócz marnego ostropyszczka, którego tak piżmem czuć było, że się żbikowi ckliwo zrobiło i go nietkniętego zostawił. Natknął się potem wprawdzie na tropy guszcowe, lecz mimo gorliwego szukania nie znalazł ani jednej sztuki; nawet lichego świergotka lub płochacza, pogrążonych we śnie, nie udało mu się zaskoczyć, gdyż broniły ich doskonale gęste zarośla. Tak więc zalaźł koczur powyżej dzikiego stoku i, trawiony głodem, oczył iskrzącemi ślepiami za zającem, ruszonym przez płową zwierzynę. Potężnie ciągnęło go coś w dolinę, gdzie życie lżej płynie niż w twardych górskich warunkach. Tam, w nizinnych lasach, roiło się od myszy, tam i kuropatkę zdybać, pstrąga uławić było można; lecz niestety byli tam też leśnicy, co żelaza zastawiali, i jamniki, co goniły. A mimo to, tam jednak lepiej było niż tu, gdzie niema ani łowców ani psów, ale gdzie też niema co tłuc, gdzie mgła każde nachyla żdźbło, gdzie ostry wiatr niegodziwie dmie. Drobnych ptasząt też w górach nie wiele, a z dużego ptactwa, co ma tu swoją ostoję, nie spotkał dzisiejszego wieczora na podchodnem nic, prócz starych tropów. Zniechęcony ślepią z wysokości skały w dolinę, i właśnie zawrócić zamierza, by w gościnniejsze wynieść się strony, gdy zaszumiało coś nad nim i zapadło z hałasem blisko niego na starym, krzywym jesionie.

Zanim kogut zdołał zbadać otoczenie, koczur znikł. Dotąd stał wyprostowany na krawędzi skały; teraz zupełnie się z nią zlał — leży na niej jakby długi, płaski, szary głaz. Oczy wąską między powiekami szparą, odrobinę podniósł barki, oddychając ledwie dostrzegalnie rusza bokami; tylko koniec ogona raz po raz nerwowo drga. Tak więc leży i wlepia wzrok w koguta. Guszcet, rozglądając się dokoła to podnosi kark, to go spuszcza, wstrząsa suknią, skubie się, wyrzuca pomiot, który głośnie

klaszcząc uderza o skałę, poprawia się, charkoce kilka razy, gładzi jeszcze jedno lub drugie pióro; naraz prostuje się, przybiera postać długą i wąską, opuszcza loty, rozkłada nieco wachlarz, jeży pióra na karku i poczyną grać, zrazu nieśmiało, potem coraz pewniej.

Już po dwakroć podrzucało coś żbikiem — dwakroć opanował się. Lecz teraz, gdy kogut korkował i rozpoczął czychtanie, koczur jakby stalową podrzucony sprężyną, szalonym susem przecina powietrze. Z niezmierną dokładnością odmierzył skok, z taką dokładnością, że tylne łapy znalazły jeszcze oparcie o pień jesionowy, podczas gdy przednie pazury zatopily się w kark koguta. Głuszc charkocąc, próbuje zerwać się, lecz zbyt silnie trzyma go straszliwy wróg, zbyt ostre jego pazury, zbyt twarde jego kły. Kogut dziko lotami bijąc, runął z żbikiem na karku poprzez gałęzie jesionowe, i stacza się w dół na pochyłym, spadzistym stoku. Jelenie, które tam młodą raczyły się latoroślą, przerażone rzucają się do ucieczki i w bezpiecznem przystanawszy oddaleni z wyciągniętymi szyjami, słyszą, jak szelest i szum, trzask i łomot coraz więcej słabną, aż zupełnie wkońcu ustawają.

Mgły otuliły dziki stok. Światła w dolinie gasną, wiatr wieczorny huczy, sarna gdzieś straszy, słysząc żalostny pisk spłoszonej ptaszyny. Lodowaty strumyk szemrze wśród skał, słysząc szybkie klaskanie kropli padających na głaz, jakby tykanie olbrzymiego zegara; w dolinie — het daleko — ryczy syrena. Noc zapanowała na wierchach.

Nastanie znowu dzień. Za turnią różany znowu zabłyśnie blask, z świerku wichrami rozczochranego na urwistem zboczu znowu zagwizdże paszkot, i od wysokiej skały odpowie mu drozd, zięba znowu zapiskoce, świergotek znowu zaśpiewa,

mysi królik i płochacz znowu zaświergola, lecz nigdy już z starego jesiona na dzikim stoku nie popłynie w brzasku porannym pieśń czarowna trubadura, co ją od siedmiu lat tu śpiewał.

Zakłócony spokój domowy



On od dawien dawna był przeciwny temu, ale ona koniecznie chciała, i trzeba było do niej się zastosować; co miał robić?

„Zważ tylko, Gadulinko,” mówił, „po cóż ty koniecznie chcesz do miasta się przenieść? Popierwsze nikogo tam nie znasz, powtóre będą ci mieszkali koło dzioba różni obszarpańcy, hałaśliwe jaskółki-oknówki i podła szara hołota, którą wróblami nazywają, no, i to powietrze! Powiadam ci, że się zdziwisz! Twoją śliczną, mieniającą się, atlasową sukienkę wnet sadze miejskie zniszczą. A potem, jak też daleko trzeba tam latać, aby się najeść! Tu w boru masz najtłustsze ślimaki i najwyborniejsze glisty tuż obok mieszkania. I wszyscy sąsiedzi tacy tu przyjemni, nawet wilga, choć tak wytworna i dumna, chętnie ci coś zaśpiewa; mucholówka odwiedza cię, gdy wysiadujesz na gnieździe, zięba, pokrzewka, świstunka — one wszystkie takie miłe. Jeżeli zaś mieszkanie niedość ci obszerne i ładne, toć jedno dobre słowo wystarczy, a pocziwy cieśla, dzięcioł, wykuje ci inne. Zostańmy więc lepiej w boru!”

Ona, jak zawsze, pozwoliła mu się wygadać, przymknęła tylko powieki i opuściła lotki. Gdy skończył, zabrała głos i rzekła: „Tak, Grubciu, to wszystko ładnie i pięknie; lecz co tam o wróblach i oknówkach mówiłeś, nie jest znowu tak groźne, ani też to o sadzach. I wogóle, lepsza moja odzież przecież zawsze prędko się podniszczy przez wysiadywanie nad gniazdem, karmienie i wychowanie dzieci. A zupełnie

już nie rozumiem, jak można wychwalać rozrywki i pogadanki, do jakich tutaj jest sposobność! O czymże tu umieją mówić? Wciąż te same nudne bajdy: że u Sójków się kłócili, że Gołębkowa pozwoliła wystygnać jajom, że Kos podobno wyżera pisklęta z gniazd, i więcej nic. A to wieczne dudlenie wilgi już mi dziobem wylazi, wciąż jedno i to samo, i na dobitkę potem jeszcze to wstrętne jej skrzeczenie i rzępolenie, które mi już na nerwy pada. Ty oczywiście masz lepiej odemnie; latasz to tu, to tam, spotykasz tego lub ową i dowiadujesz się różnych nowin, a może czasem zdarzy się też sposobność do małego flirciku, nieprawda Grubku? A ja co? Siedzę tu w tej ciasnej dziurze, wysiaduję nad gniazdem aż do ogłupienia i nic nie słyszę ani nie wiem o świecie. Czasem Sznurkuś przyleci i rozerwie mnie trochę — ot, cała moja zabawa! A mieszkanie? O mój Boże, takie to ciasne, wilgotne i pełne mrówek — i co się to trzeba co wiosnę napracować, nim się wyrzuci gnój po nietoperzach — no, dziękuję! W mieście zaś wolne są najpiękniejsze, świetliste i przestworne wile!”

On już nic nie odpowiadał. Gdy bowiem żona odzywała się do niego „Grubku” i napomykała coś o jego czułych przygodach, wtedy najlepsze było, co mógł zrobić, że trzymał dziób. Że zaś zaczęła prócz tego wychwalać Sznurkusia, tego starego dandysa, co to wychodził na to, aby kobietom innych szpaków głowy zawracać, to już najmniej mogło go utwierdzić w jego zdaniu. Dał więc koniec końcem swoje przyzwolenie, i pociągnęli do miasta.

Mieszkanie znaleźli wkrótce. Znajdowało się ono w dużym ogrodzie i wisiało na śliwie. W ogrodzie były grzędy z kwiatami, wodotrysk, gdzie było można napić się i wykapać, była też murawa obfitująca w glisty, i były zagony pełne ślimaków;

w pobliżu rosły wiśnie, i wcale nie daleko nad stawem ogromna stała topól, jak stworzona na miejsce zebrzań, tak u szpaków lubianych; było też dużo trzciny, która jesienią świetnie nadawała się do noclegów.

Grubek bardzo był zadowolony, więcej jeszcze Gadulinka. Z początku powodziło im się doskonale. On siadał przed domem, trzepotał lotami i radośnie wyśpiewywał. Ona krzątała się i uwijała, zносиła żdźbła i pióreczka i urządziła mieszkanie. Pokryjomu postękiwała wprawdzie, bo wielki dom podwójnej wymagał roboty, lecz nie zdradzała się z tem.

Atoli wnet różne wylaniały się niedogodności. Nasamprzód: wiało w mieszkaniu, które okazało się taką oszukaną, prawdziwie miejską budowlą; zaciekało też czasem. I co moment zuchwały wróbel wsadzał drzwiami nos, sypnął lichym dowcipem o Gadulince, lub twierdził nawet, że oni nie mają tu nic do szukania. Wracając z kąpieli w maju, kiedy już jajka leżały w gnieździe, Gadulinka spostrzegła dużego pstrego kota, czającego się koło domu. Wszczęła taki wrzask, że nadszedł właściciel ogrodu i zastrzelił kocisko; ona bardzo temu była rada, lecz tak ją to wszystko przejęło, że trzy dni chorowała. Powoli poczęły się też odzywać nerwy. Z początku życie w mieście jej się podobało, lecz wieczny turkot wozów i tramwajów, bezwzględne wrzaski i rumotania drzwiami, krzyki i trzaskania z biczów, a przedewszystkiem nieustanny świergot wróbli i pisk jaskółek-oknówek były na stałe nie do zniesienia. I zgoła nikogo nie widziała z starych znajomych ani nic o nich nie słyszała; nawet Sznurkuś nie pokazywał się, aby jej opowiedzieć, co tam w boru słysząc. Pozatem było jeszcze to i owo, co jej się nie podobało. Sadze były naprawdę paskudne, do prania potrzebowała teraz jeszcze raz tyle czasu; długo też trwało, zanim przywykła do drutów

telegraficznych. Nigdy zaś nie była pewna, gdy na rabatach szukała robaczek, czy jaki chłystek rodu ludzkiego proca, łukiem lub dmuchawką nie nastawa na jej życie. A glisty miejskie były wiśne jakieś od kwasu siarczanego, którym grunt był przesycany. Gdy sięgła sobie czasem po wiśnię, zaraz powstało nieporozumienie z właścicielami. Czasem odzywała się w niej tęsknota za dawnym mieszkaniem w boru, lecz nie chciała tak rychło mężowi przyznać racji, no, i były też małe dzieci, a gdy te wyrosły, trzeba było znowu wysiadzać i wylęgiwać.

Lecz i drugi łąg podrośl wreszcie w pierze i po kilku tygodniach był samodzielny. Gadulinka była rada; pozbywała się starych swych rzeczy, sprawiła sobie nowusienkę, wzorzystą suknię podróżną i robiła ze swoim starym wycieczki w okolicę. Polecieli więc nad rzekę, gdzie tysiące szpaków szukały w potrawie chrząszczów, to znów odwiedzili bór i słuchali, jak im pocziwy cieśla, dzieciół, opowiadał, co się tam w czasie ich nieobecności działo. Dowiedzieli się więc, że wilga już odleciała, że gołębicą po dwakroć ślepe wysiadywała jaja, że wiewiórka wyzariła młode muchołówki, że sójkę leśnik zastrzelił.

Gdy liście drzew poczęły coraz więcej żółknąć, Grubek był zdania, że nadszedł czas podróży w kraje południowe; najpierw więc do Palatynatu, gdzie obecnie dojrzewały i słodczy nabierały winogrona, potem do Hiszpanji lub Włoch, może też na Bałkan, i, jeżeli wiatr będzie pomyślny, na jaką wyspę Morza Śródziemnego. Gadulinka nie podnosiła sprzeciwu; ubiegłą, bardzo łagodną zimę spędzili wprawdzie w kraju, lecz żalowali tego później, bo padało często, a gdy czasem mróz schwycił i śnieg spadł, wtedy o wikt bardzo było trudno. Lecz sądziła, że należałoby wpierw zajrzeć jeszcze do mie-

szkania i przekonać się, czy tam wszystko było w porządku. Grubek zgodził się. Udali się więc do swojej wili w ogrodzie.

Zdała już zoczyli domek, wiszący wśród sinych od szronów śliwek na drzewie, огоłoconem już do połowy z liści. Lecz, skoro się zbliżyli, spotrzegli, że siedział w nim stary wróbel, otyły i zuchwały, i udawał, jakoby już od dawna tam zamieszkiwał. Grubek, jako mąż dyplomatycznie uzdolniony i roztropny, obrał sobie daszek domku za siadło i patrzył w ten sposób z góry na bezczelnego draba, rozważając, coby tu zrobić. Atoli Gadulinka wpadła z furją na intruza:

„Panie, co to ma znaczyć? Co panu przyszło do głowy? Copan tu robi?”

„Ja tu sobie siedzę, jak pani widzi,” odparł wróbel, i oczy jego błysnęły szyderczo.

„Taka bezczelność,” unosiła się Gadulinka, „rozsiał się w cudzem mieszkaniu. Wynosić mi się natychmiast, albo nauczę pana manier!”

„Kiedy pani sama nie posiada ich za wiele,” szydził wróbel, „niechno pani tę szczyptę dla siebie zachowa, nie chciałbym panią obrabować!”

„Mężu, ojczu,” wrzasnęła Gadulinka, „słyszałeś? To przecież szczyt zuchwalstwa! Taki szubrawiec! Wyrzuc go, Grubciu!”

„Grubciu — to dobre sobie,” odrzekł wróbel, „Grubciu to ładne sobie. Grubeć może sobie i nadal pozostać Grubciem!”

„Rura,” pomyślał Grubek, lecz że wiedział, iż z takim miejscowym proletariuszem źle zadzierać, próbował dobrocią.

„Wybacz pan, panie Wróblu,” zaczął, „dom ten do nas należy.”

„Do was? Co pan mówi? Ja myślę, że on jest własnością doktora,” odrzekł sucho wróbel. „Czy pan go najął albo kupił może? I gotówką pan zapłacił, czy jak?”

„Mieszkaliśmy w nim od wiosny z pozwoleniem właściciela, i podwakroć wychowaliśmy w nim młode. Mamy historyczne prawo do niego!”

„Historyczne prawo, to dobre sobie,” odpowiedział wróbel. „Kubek w kubek to samo mówił kot, gdy zjadł mysz. Obecnie ja dom ten zamieszkuję, także z pozwoleniem gospodarza, i mam również pretensje do historycznego prawa, bo moja żona już dawniej chciała tu wylęgiwać, tymczasem wyście nas wyprzedzili.”

„Gdybyśmy o tem byli wiedzieli, bylibyśmy ustąpili,” rzekł Grubek uprzejmie. „Mogli państwo tylko zgłosić się. Ale myślę, że się porozumiemy. Przywykliśmy bardzo do domu tego; obecnie wyjeżdżamy, i nie będzie nas aż do marca. Do tego więc czasu mogą państwo w nim zamieszkać.”

„Bardzo dziękuję, to rzeczywiście szczyt uprzejmości, zbytek łaskawości,” szydził wróbel.

Grubka oczy błysnęły wściekłością, lecz hamował się jeszcze.

„A w marcu znowu państwo nam go odstąpią, co, panie Wróblu?”

„To mniej, ale nie!” drwił wróbel.

„Do pioruna,” krzychał Grubek, któremu sprawa wydawała się coraz głępszą, „czy pan zwarjował?”

„Ja nie, ale może pan!” brzmiała odpowiedź.

„Wynosić mi się zaraz, albo panu loty przyprawię!”

„Dziękuję, nie potrzebuję, mam swoje własne!”

„Wyjdzie pan, czy nie?”

„Wolę nie!”

Grubek z wściekłością zamierzył się z góry dziobem na zuchwalca; ten wszakże znał to i szybko cofnął głowę. A gdy Gadulinka nieostrożnie wemkła się w dom, schwycił ją za kark i szczypał, że w niebogłosy krzyczała. Szalejąc z złości Grubek

opuścił daszek, wtargnął do wnętrza domu, wpadł na intruza i począł potężnie dziobem w niego walić.

Wtedy wróbel poznał, że trafiła kosa na kamień; uderzył więc na alarm. Ze wszystkich stron zleciały się wróble, papą i łapą napadając na parkę szpaków.

„Widzicie tych przybłędów? W boru nie mieli co żreć, więc przyszli do miasta patrzeć, gdzie się z komina kurzy! Niech się wynoszą, skąd przyszli! Hołota! Wiśniokrady! Ślimakołyki! I koślawe nogi też mają, i żółte dzioby — w tym wieku! Nie dziw, że tak się zachowują! Poczekajcie, my wam sprawimy! A obedrzeć ich tam z tych pstrych łachmanów! Wy nas chcecie zaczepiać? Wy? Nas? No, poczekajcie tylko!”

„Chodź, Grubciu,” rzekła Gadulinka, którą lęk ogarnął, „umknijmy się! Cóż będziemy się bili z taką chałastą!”

Zafruczały więc lotki, i szpaki poleciały.

Gdy za miastem nad łąką oboje siedzieli na drutach telegraficznych i porządkowali swoje pióra, przymknęła się Gadulinka do męża i rzekła: „Grubciu, w marcu będziemy znowu w boru budowali, zgoda?”

„No widzisz, stara,” odrzekł, „nie powiedziałem ci tego z góry? Kiedy wy kobiety nie chcecie nigdy słuchać!”

* B o b u ś *

asz Bob był tem, co się na ogół rozumie przez wyraz „terier”, bo był krótkowłosisty, maści białej z czarnymi łatami, posiadał ogon za krótko przycięty, i był nader bezczelny — a więc był terierem. Płynęła w nim też krew terierska, bezsprzecznie; był on i ładnym psakiem, mówili to wszyscy; kto zaś wymagał od niego długiej paszczęki i twardego uwłosienia, temu tłumaczono, że Bobuś nie był szablonowym terierem, a indywidualnością, i że więcej kładł wagi na osobistą, niż na ogólną rasowość.

Matka jego była zresztą najczystszej krwi terierką, lecz aspiracjami swemi skłaniała się raczej ku nizinom, bo Bob był synem nieznanego ojca; nikomu też się nie śniło, dochodzić rodu jego, bo: la recherche de la paternité est interdite. Bob posiadał więc wadliwą genealogję, lecz podwójną za to porcję temperamentu. Niestety temperament jego stosunkowo rzadko tylko mógł się ujawniać, bo Bobuś był pieskiem damskim, własnością teściowej mej, i czuł się zupełnie panem domu jako jedyna istota męska w rodzinie.

Sporo upłynęło czasu, bo więcej niż rok, zanim się jakotako rozstrzygnęła kwestja, kto właściwie trzymał w domu cugle w garści, Bob czy ja. Bob tak się zachowywał, jakobym nic nie miał do gadania. Na to spokojnie patrzeć nie mogłem; odważnie więc podjąłem z nim walkę. Jego taktyka polegała na jazgotaniu, pieszczaniu godzinami trwającym lub na dra-

paniu o drzwi i ochryplem, wściekłem szczekaniu, moja zaś na zastosowaniu procy i śrutu numeru szóstego. Rafinowana moja technika zwyciężyła; Bob uznał do pewnego stopnia fizyczną moją przewagę, szczególnie wtenczas, gdy mu się tak podobało, i słuchał mnie, choć nie mógł się przezwyciężyć, aby warknięciem nie zaakcentować historycznego swego prawa.

Pozatem przywiązał się do mnie mimo mojej procy i mimo że przy okazji odczuwał niemiłe prawy mój obcas; lecz tego rodzaju akcja z mojej strony była jego zdaniem najzupełniej bezcelowa. Przywiązał się coprawda do mnie więcej rozumem, więcej z praktycznych względów aniżeli z wewnętrznej skłonności — przywiązał się, bo chodziłem z nim na przechadzki, nieraz dalekie bardzo, nie więząc go na otoku, pozwalałem mu aportować emaljowane garnki, nurkować za rzuconemi w wodę kamieniami, i znałem miejsca, gdzie spotkać było można myszy, chomiki i jeże.

Bobuś był z przyrodzenia świetnym tępicielem myszy. Skoro mysz migła przez pralnię, on stawał nieruchomo na czatach, póki nie wracała, i chwycił ją ze spokojem i rozważą, poczem podbiegał do którejkolwiek z pań, kładł jej swoją zdobycz na czubku trzewika i służył — to znaczyło: „Proszę o kawałek cukru w nagrodę.“

Lecz łowienie dzikich, prawdziwie dzikich myszy na ścierisku uważał jednak za godniejsze siebie zajęcie i za zabawę jeszcze miłą, niż kulanie garnków emaljowanych lub walkę z mydłem lub flakonikiem od eteru. A jakże! Mydło szczypie, eter także; a więc są to — tak rozumował Bobuś — dzikie bestje, a dzikie bestje trzeba przecież zagryźć. Oszczekiwał więc mydło, jakby ono było jeżem, i kąsał je, przyczem ujadł

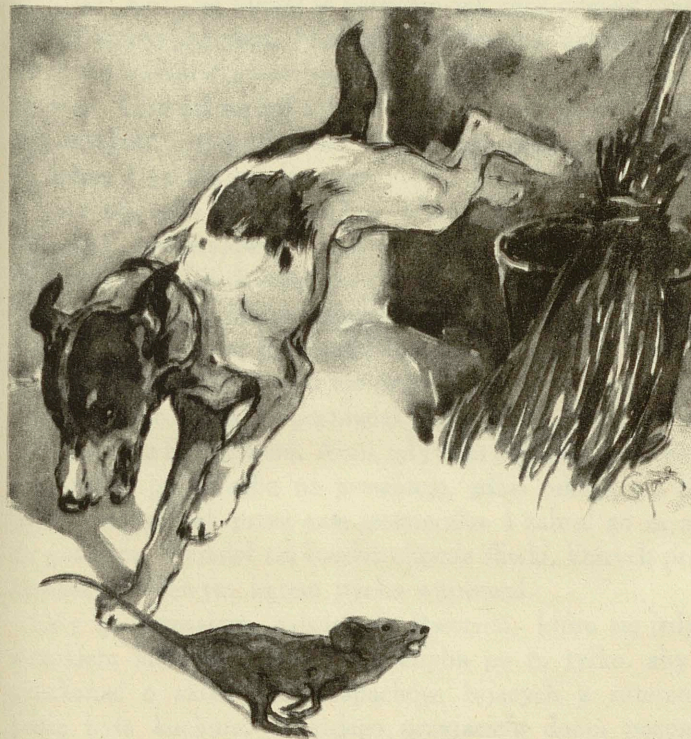
i kłął, że piana mu na rozpuszczonym osiadała pysku. Podobnie postępował z dymiącemi się niedopałkami cygar. „Zczeznać musisz“, myślał, „choćbyś nie wiedzieć jak szczypał“, i koniec końcem zaduszał je. Lecz o wiele więcej przypadał mu do smaku prawdziwy, gruby jeż, najwięcej zaś mocny, tłusty chomik, co porządnie bronić się umiał; i taki chomik rzetelniejszy też przecież był od owych bezecnych, świńskich kotów, które nie mogą się odzwyczaić od haniebnego jego zdaniem włożenia na drzewa.

Ale biada kotowi, którego przyłapał; nic nie poradziło, musiał ginąć, jeżeli był stary; młodym bowiem kociakom nie robił krzywdy, bo zbyt dzieci kochał i zbyt czuł się rycerzem bez skazy, kawalerem o pańskich manierach. Maniery te ujawniały się też w tem, że lubił ogromnie spijać szampan, byleby tenże już uspokoił się nieco i wyszumiał, i że przepadał za łepkami od szparagów.

Dziedzictwo po ojcu wciąż od nowa niestety u niego się przebijało. Bobuś nie przebierał bynajmniej w zawieraniu znajomości z płcią żeńską i obcował z najbardziej proletariuszowskimi suczkami, co wywołało przeciw niemu nienawiść całej dzielnicy. Skoro psy węglarza go zoczyły, choćby z daleka tylko, zaraz głucho pomrukiwały, jakby powiedzieć chciały: „Cały dzień nic nie robi, tylko dobrze żre, a my, co chodzimy dzień w dzień w szorach i jeszcze stróżować musimy, możemy potem płacić alimentu.“ Lecz Bob ostro na nie powstawał i odwarknął: „Radzę wam stulić pyski i mieć się na ostrożności, bo ja mam procę!“ I tamte baranie łby wierzyły w to naprawdę. Ale raz jednak udało im się przyłapać go, i Bobuś wrócił do domu posiekany jak befszytk à la tartare. Weterynarz właśnie był go popeszyszał, a ja, żegnając się z nim stałem we drzwiach i trzymałem psa

na ramieniu. Wtem któryś z kondłów węglarskich przechodząc urągliwą zrobił uwagę. W mgnieniu oka Bob znalazł się na ziemi i utykając mocno, rzucił się o trzech nogach na tamtego; a że do połowy zaszyty był w białe płótno, więc obcy pies, przerażony niezwykłym tym widokiem, dał drapaka.

Dziwnym sposobem nigdy się Bobusiowi podczas nocnych jego hulanek nic nie stało. Tygodniami całymi udawał statecznego, dobrze wychowanego młodzieńca, aż naraz uznał za stosowne, na noc nie wrócić do domu. Dopiero około czwartej lub piątej nad ranem pisał przed bramą; gdy mu nie otworzono natychmiast, podnosił okropny hałas i wrzask. Pozatem naśladował niektórych mężczyzn, to znaczy, wyprzedzał domowników i, wpuszczony do domu, sam rozpoczynał awanturę, aby jemu słusznie nie zrobiono awantury. Gdy już pod dachem się znalazł, nie wchodził na piętro do mojej teściowej, a czmychał do kuchni w suterrenach, gdzie się kładł przed kominkiem. Tutaj zostawał przez cały dzień; czuć go było piwskim i podłemi cygarami, nie jadł nic, a zalewał się wodą i cuchnął szkaradnie. Z początku nie wiedzieliśmy nigdy, gdzie on się wałęsał; później wyszło na jaw, że bywał w sąsiedniej knajpie, gdzie też doskonale serki harceńskie sprzedawano. Pozatem wszakże musiał on gdzieindziej jeszcze się lampartować, bo gdy później znowu oddał się był rozpasaniu i wrócił do domu bez obroży, z kolosalnym za to kotem i pełen błota i pcheł, zjawił się pewien jegomość, który oddając obrożę, obwieścił nam, że Bob nierzadko u niego zaprasza się na nocleg; przeciska się bowiem kratą, dostaje się do werandy i ztąd do jadalni, gdzie na sofie sypia. Gdy pytaliśmy się Bobusia o szczegóły, odpowiadał, jak zawsze w takim wypadku, grubiaństwem, bo uważał, że takie wypytywanie się jest nieaktowne.



Bob był oryginałem. Chleptał tylko z szklanki. Skoro zażądano od niego, aby zobaczył, czy na piętrze są u siebie, rwał schodami w górę, uwieszał się o pas dzwonkowy i narobił tyle hałasu, że dom się kołysał. Gdy spał jak zabity, a ktoś szepnął: „Kot“, to słyszał to natychmiast, choć udawał czasem, że jest głuchy jak pień. Niekiedy zginałem mu gałąź; on zaraz się o nią uwieszał i warcząc bujał na niej pół godziny w powietrzu. Cierpiał na ból zębów i często z tego powodu bardzo był markotny; popsuł sobie bowiem wszystkie zęby, gryząc kamienie i garnki emaljowane.

Lecz potrzeba było popukać tylko o gład centnarowy lub o maszt tramwajowy i powiedzieć: „Ładny kamyszek“, a Bobuś, choć już dziesięć liczył lat, z wielką wrawą usiłował kulać przed sobą ów przedmiot, jak przed bramą miasta ku uciesze mieszkańców godzinami kulał garnki i wiadra blaszane. Nigdy jednak takich mebli nie przynosił w dom; skoro zbliżaliśmy się do miasta, postawiał przedmiot swojej zabawy w pierwszej z brzegu sieni. Atoli, gdy razu pewnego wyjechałem i zabrałem go ze sobą na prowincję, gdzie nikogo nie znał, kulał swój garnek przez całe miasteczko i zabrał go ze sobą do gościńca. Zajadał też bardzo chętnie śliwki, których pestki zamaszyście lewym kątem pyska wypływał.

Gdy go poznałem, należał do stworzeń, które się jedynie wzrokiem kierują; nosa używał chyba po to tylko, aby się przekonać o składnikach zapachów bijących z suterenu, gdzie była kuchnia. Każdego przyjaciela domu poznawał zdaleka; skoro nagle zeskakiwał z okna na podłogę i piszcząc stawał przed drzwiami, wiedzieliśmy, że gość idzie; nigdy w ten sposób nie zachowywał się, gdy listowy przychodził.

Bobuś doczekał się towarzysza w postaci długowłosego jamnika. Mruczek nauczył go, że głównym zmysłem psa jest

powonienie. I Bobuś, na którym dotąd wszelkie zajęcze szlaki i sarnie tropy najmniejszego nie wywierały wrażenia, zasmakował zwolna w gonieniu po świeżych tropach, chociaż liczył wtenczas już dziesięć lat. Ale nie zgłębił dokładnie tajemnicy, na której polega skuteczność pracy na tropie, bo puszczał się za każdym świeżym szlakiem, który krzyżował się z właściwym tropem, aż mu się w końcu sprawa sprzykrzyła; wrócił więc ze skruchą do swojej blaszanki.

Chociaż Bobuś zwykle nie wielką kładł wagę na formy, to jednak w jednej rzeczy ściśle się trzymał starodawnego zwyczaju.

Posiadałem później jamnika Szczurka, kochane psisko; oddałbym chętnie króla i wicekróla Dinków i inne zbędne przedmioty, gdybym taką ofiarą mógł Szczurka znowu do życia przywołać. Pies ten dziwny miał zwyczaj, a raczej nie miał go właśnie; bo załatwiwszy się z większym interesem, nigdy nie szargał trzykrotnie nogami, jak to u psów jest przyjęte.

Skoro Bobuś to spostrzegł, zdrętwiał, przybiegł czempredzej i szargał, aby głupiego psiaka nauczyć, co to obyczaj. Lecz Szczurek wytłumaczył mu, że to po pierwsze na asfalcie nie ma celu, i że to, powtóre, wogóle wyszło z mody. Co Bobuś miał robić? Szargać było trzeba, a więc szargał za każdym razem, gdy Szczurek obowiązku nie spełniał, choć nie fatygował się już aż do samego miejsca. Ale szargał.

Gdyby Bob przeszedł był szkołę łowiecką, byłby się okrył chwałą, i gdyby był urodził się człowiekiem, cała kula ziemską byłaby drżała jak pod Napoleonem pierwszym, bo Bob nie znał, co to strach.

Zabrałem go raz z sobą do zoologu w porze porannej, kiedy właśnie podwoje ogrodu otwierano dla publiczności. Drugi raz nie byłbym już tego zrobił, bo gdybym go nie był trzymał na otoku, byłbym musiał świeżego dla ogrodu sprowadzić lwa. Bez namysłu rzucił się też na dogę wielkości osła; gonienie zaś byków na pastwisku uważał sobie za igraszkę.

Atoli zdarzyło się raz, że owładnęło nim uczucie, nie powiem strachu, lecz kompletnej bezsilności, jaka ogarnia człowieka, który pędzi na rowerze z stromej góry, a czuje, że zgubił pedały i że hamulec nie funkcjonuje. Było to w oberzy. Bob zoczył dużego białego zwierza o bardzo dziwnej woni. Chciał go zagryźć; lecz zwierz wziął go na rogi i rzucił w krzaki, że psu żebra trzeszczały. Bob, klnąc okropnie, wygrzebał się z gąszczu i powtórnie nacierał na ów potwór; lecz wszelkie usiłowania, aby się z tyłu zbliżyć do kozła, były daremne. Z pianą na pysku i wstydem w sercu przerwał Bobuś walkę, dreptał w drodze ku domowi przy nodze mej w głębokiej zadumie, nie zważał na najpiękniejsze garnki blaszane i nie żał nic wieczorem, bo nazbyt podszarpana i zmięta była jego duma i pewność siebie.

I było jeszcze coś, co go wprawiało w stan kompletnej bezradności — pchła na grzbiecie. Czuł się wtedy zupełnie złamany, pisał żałośnie, otrząsał się rozpaczliwie pod kanapą, i jedna frędzla obicia po drugiej podzielała los wszelkiej doczesności.

Pozatem Bob nie znał trwogi; widok kija rodził w nim gniew, widok harapu złość, widok procy furję i wściekłość. Ale strachu? Ani zdźbła! Doczekał się trzynastu lat, i został taki, jaki był — zawsze wesoły, zawsze bezczelny, zawsze równy w swojej estymie dla płci pięknej. Nagle dostał kurczy; strzał szybko skrócił jego mękę.

Dużo zółci mnie kosztował i często do pasji mnie prowadzał, przeszkadzając mi w pracy piszczeniem i drapaniem o drzwi. Lecz dużo też nam sprawił uciechy, i zawsze mile wspominamy swojego Bobusia.

*

J e ż

*

Za wsią nad strumykiem bagnistym wznosi się ku puszczy dębowy gaj. Stoi w nim z pół setki szarych budynków, do połowy zasłoniętych szerokimi, gałęzistymi konarami starych dębów. Są to owczarnie i stodoły chłopskie, zwyczajne, słomą kryte budowle; ściany ich stanowią szare plecionki żółtą spajane gliną, przyciesie spoczywają na dużych głazach polnych.

Tu mieszka też owczarz. Potężny mur z brył kamiennych mchem porosły, paprocią, dzwonkami i powojem oprzędzony, za którym znajduje się obszerne jałowcem, czarnym bzem, ostrokrzewem i tarnią zarosłe podwórze, odgranicza domstwo od chlewów. Rozmaite stworzenia mają tu swoje kryjówki; w dachach słomianych gnieźdzą się kopciuszki i pliszka biała, para sów płomykowatych i puszczyków ma tu swoje pielesze, pod stodołami swobodnie sobie żyją ostropyszczyki i myszy leśne, ropuchy i żmije, łasice i tchorze. Można tu zawsze też spotkać jeże.

Owczarz nie przeszkadza im. Być może, że porwą czasem jaje lub kurczątko, lecz odwiedzają się za to tępieniem myszy. Długo przed zachodem słońca jeże kręcą się już swobodnie po podwórzu lub pod dębami, a Chwytaj i Trzymaj, dwa stare psy owczarskie, nie zwracają wcale na nie uwagi; jedynie Rezun w młodzieńczej swej głupocie męczy się czasem przez kwadransik z jeżem, po to tylko, aby pożgany na nosie zaniechać w końcu nierównej gry. Dzisiaj także urządził sobie

taką zabawę; lecz gniewny i zmachany położył się potem przed kominkiem, usnął, i we śnie oszcze kiwał w dalszym ciągu kolczastego zwierza. Jeż, poleżawszy sobie skulony dobrą ćwierć godziny, odwinął się i zalał w zarośla podwórza. Miał przedtem zamiar szukać w ogrodzie ślimaków, lecz głupi psiak przeszkodził mu w tem. Teraz więc jeż kręci się wśród zbutwiałych liści, grzebie w pulchnej ziemi i, głośno cmokając, spożywa to glistę, to ślimaka, stonoga lub grubego pajaka.

Naraz podrzuciło nim coś — usłyszał pisk młodych myszy. Na moment zachowuje się jeszcze wyczekująco, poczem podcza ja się bliżej, daje małego susa i wsuwa nos w kłęb suchej trawy, tkwiący w szczelinach muru podwórzowego. Sześć razy powtórzył atak, i za każdym razem sły chać było cienki, przejmujący pisk przedśmiertny. Jeż wyciąga młode myszy po kolei z gniazda i śpiesznie je pożywa.

Chwilę wietrzy jeszcze dokoła mysiego gniazda, poczem wędrówkę w dalszym prowadzi ciągu, od czasu do czasu pomrukując, lub przystawając, aby pazurami i zębami do porządku przywołać pchły i kleszcze w miejscach, gdzie mu najbardziej dokuczają. Dąży teraz, raz wolniej, to znów szybciej do gaju dębowego, bo tam zawsze się znajdzie w trawie żabka, tłusta gąsienica, myszka lub też ptaszynka, co z gniazda wypadła.

Wtem zabuczało coś głośno, i gruby, brunatny jelonek twardo uderzył o dąb, wydzielający łakotliwy sok. Owad znalazł tu, czego szukał. Łakomie zatapia ozorek żółtawo-żółty w musującej cieczy. Gdy zaszeleściło za jego grzbietem, okręcił się rozwydrzony i roztworzył ostre swe kleszcze. Lecz w mig rozpołowił go jeż; głowa jelonka leży w trawie, mechanicznie otwierając i zamykając obcęgi, a gruby jego tułów

spożywa zwierz kolczasty, poczem pod owczarnią poluje w dalszym ciągu, nie opuszczając żadnego kąta, który obiecywał zdobyć.

Nie wiele tu dzisiaj znalazł. Trochę pajaków, trochę chrząszczów i spaśna glista — to było wszystko. Dzień był bardzo suchy, czerwone słońce mocno prażyło, i wiatr dał silnie; w takich warunkach polowanie nie obiecuje pomyślnego wyniku. Jeż w kolczastej swej szacie zwrócił się w stronę strumyka; może tam łowy więcej się opląca. Po drodze obraca każdy liść i rozgrzebywa każdą kępkę trawy; wciąż badając i wietrząc, zanurza nos w mchu i w kupeczkach liści; czasem na chwilę się zatrzymywa, by małe jakie żyjątko spożyć. Raz czekał długo; usłyszał bowiem pisk starej myszy i poczał bliżej się podkradać. Mysz mignęła tuż obok niego; wróci ona wkrótce — a wtenczas niechybnie padnie ofiarą. Lecz w chwili, gdy on zamierza rzucić się na nią, szary cień zamajaczył od strony wozu drabianego, i sówka, związawszy mysz szponami jak sztylet ostremi, zapada z zdobyczą swą na drewnianych łbach końskich, umieszczonych nad wejściem do stajni, a jeż obyc się musi smaką. W złym humorze w dalszą puszcza się wędrówkę.

Zawiszak, co po południu opuścił poczwarkę i teraz zabiera się, skrzydełka prostując, do pierwszego lotu, ginie pod ostremi jego kielkami. Los jego podziela ślimaczek polny; od grubego, czarnego ślimaka, którego następnie spotkał, jeż odwraca się ze wstrętem; ślimak cuchnie bowiem obrzydliwie i smakuje szkaradnie. Lecz wabi jeża głośny, przeciągły ćwierk niedźwiadka w piasku błotnistym nad brzegiem strumyka. Podreptał więc sporzej, zadał cios śmiertelny, i świerczokret przestał żyć.

Wzdłuż wybrzeża jeż uprawia w dalszym ciągu łowy.

Cyt! — ziemia się tu rusza. Czyby kret? Nie byłaby to zła gratka! A może nawet nornica wielka? Toby było jeszcze lepiej! Jeż czai się bardzo ostrożnie; długo musi czatować, zanim ziemia znowu zafalowała — ale teraz można wreszcie zaryzykować atak. Pchnął pyszczkiem, lecz cios wymierzony był za krótko; czarna mieszkanka podziemna nagłym rzutem plusknęła w strumyk, a jeż po długim zamyśleniu się podąży znów ku dębom.

Co mimochodem spotyka, pada ofiarą jego apetytu, chrząszcz czy gąsienica, świetlik czy glista. Wtem spostrzega on, że w trawie coś pełza. Postawia więc kolce na głowie, wysuwa nos, skula się do połowy, i tak przysposobiony idzie na spotkanie wroga. Teraz jest przy nim. Słysząc syk; raz drugi i trzeci zaskroniec młody uderza paszczą o pancerz kolczasty jeża. I czwarty raz jeszcze atakuje, lecz był to już ostatni jego cios. Jeż bowiem kolcami głowy przytłacza go do ziemi i wpija kły w tylną część jego łba. Wąż w dzikich rzuca się konwulsjach. Zwycięzca pożera wpierw łeb, następnie, łakomie cmokając, tułów zaskrońca. Po kwadransie ostatnia resztką ogona, wijąc się wciąż jeszcze, znika w paszczy jeża.

Syty on na razie. Z żartów tylko przytrzymywa za tylną nogę dużą drzewiankę, która przed nosem mu skacze, lecz puszcza ją znowu, właśnie w chwili, kiedy biedna ofiara w śmiertelnym strachu przeraźliwie zaskrzeczała. Żaba długimi, niezgrabnymi skokami ratuje się ucieczką.

Nagle jeż gwałtownie podąży ku krzakowi głogu, który rozpósciera się obok owczarni; lekki wietrzyk niesie mu bowiem stamtąd odwiatr, który go do wielkiego przynagla pośpiechu. Bez przerwy jeż bieży wprost ku owczarni i przybywa na miejsce, gdy zegar wieżowy we wsi dziesiątą począł wybijać godzinę, i róg stróża głucho zabuczał. Tu drugi znajduje się

jeż, gruby, duży, który powoli i ostrożnie wyciąga z pod ziemi długą, tłustą glistę. Przybysz rzuca się ku niemu jak opętany. Jeż z pod krzaka odwraca się błyskawicznie i zadaje mu cios ostremi kielkami. Przybysz przysiada zdumiony, poczem znowu usiłuje zbliżyć się do tamtego. I tym razem otrzymywa odprawę, i nowe ogarnia go zakłopotanie. Powtórzyło się to dziesięć razy i jeszcze dziesięć razy. Samczyk nowej ima się taktyki. Sapiąc i chrapiąc okala towarzyszkę i stara zbliżyć się do niej od tyłu; lecz ona, dysząc i fukając, wciąż w kółko się obraca i błyskawicznymi ciosami kłów udaremnia wszelkie zabiegi zalotnika. W końcu oboje przypadają naprzeciw siebie, tak iż trącają się prawie pyszczkami, i odpoczywają, on rozważając, w jaki sposób mógłby sobie zaskarbić łaski, ona zaś gotowa zawsze do odprawy.

Dotąd samczyk okalał wybraną swoją z prawej ku lewej; teraz próbuje krążyć dokoła niej w przeciwnym kierunku. Tym sposobem i ona zniewolona jest kręcić się w kółko z lewej ku prawej. Po dziesięciu czy dwunastu okrążeniach samczyk stawia się niezgrabnie natrętny. Bezwzględnie samiczka kąśaniem przywołuje go do porządku. On, mocno zdziwiony, przysiada i zastanawia się nad sprawą; ona również przypnęła. Spoglądają na siebie małemi, czarnymi oczkami, tykając się prawie nosami. Samczyk świeżej nabiera odwagi i od nowa poczyną kołować z lewej ku prawej, po odebranej, ostrej odprawie, z prawej ku lewej, potem znowu odwrotnie, i tak dalej.

Zegar wieżowy jedenastą wydzwania godzinę, i jedenaście razy zahuczał róg stróża. Kolczasta parka wciąż jeszcze goni się w kółko, sapiąc i mrucząc. Nastaje północ, a dziwaczny karuzel ciągle jeszcze jest w biegu. Biję pierwsza; on nie przestawa zalecać się, a ona wciąż jeszcze się droży. Biję

druga; i teraz jeszcze samiec sapiąc i dysząc okrąża ją, to z prawej, to z lewej strony, i po każdym cięciu, jakie odbiera, przerywa konkury i rozważa, czyby nie było jednak skuteczniej, zbliżyć się do niej z drugiej strony.

Gajowy z pół godziny przypatrywa się parce i uśmiechając się kręci głową, lecz jasny pas na wschodnim niebie przypomina mu, że czas pójść w rewir. Już kopciuszek odzywa się z dachu, sowa płomykowata chowa się w kryjówce swej w szczycie budynku, a para jeżów wciąż jeszcze wyprawia osobliwy swój korowód. Dopiero, gdy kos rozpoczyna głośnie łowy na mięczaki, samica znika pod chlewem, a samiec podąża za nią. Owczarz, wypuszczając owce, słyszy z pod podłogi chlewa dochodzące sapania i parskania, i powiada do młodego psa: „Rezun, uspokój je!” Ale Rezun nie ma jakoś ochoty; wczorajszą kompromitację ma jeszcze zbyt żywo w pamięci.

Minął czerwiec, przeszedł lipiec. Żona owczarza przerabiając kompost, znalazła w kępie zwiędłej trawy obok starej samicy pięć maleńkich jeżatek o różowych pyszczkach i białych kółkach. Po południu chciała pokazać je mężowi, lecz już ich nie było. Stara je przeniosła; pod rozłożystym krzakiem tarni nowe, ciepłe usłała gniazdo i troskliwie okryła młode.

Tutaj za dnia je karmi, nocą zaś włóczy się po ogrodzie i napycha żołądek ślimakami i robakami, odgrzebywa mysie gniazda, łowi młode żabki, nie oszczędza też piskląt raszki mimo rozpaczliwych protestów starych, ani młodego kosa, który jej się nawinął, pożera nieprzebierając nagie łasiczki, na które się natknęła. Nawet dużemu szczeniowi wędrownemu, co się złapał w żelazie, nie przepuszcza; nie pomaga mu żadne wierzanie, żaden kwik — jeż zagryza go i pożera, zostawiając tylko łeb, skórę i ogon.

Po czterech tygodniach samica wyprowadza pięciorko swoich młodych. Pewnego wieczoru, gdy owczarz siedział na progu, kurząc fajkę, doszedł go z za kłafci drzewa opałowego szelest. Z parskaniem i sapaniem zjawia się wpierw stara, a za nią kolebie się pięć małych jeżatek. Owczarz jest człowiekiem poważnym i rzadko się śmieje; lecz dzisiaj musi jednak się śmiać, bo też arcyucieszny to widok, gdy małe stworzenia wloką się za swoją matką, wszędzie skrobią i grzebią, noski w każdy zanurzają dołek i śpiesznie nadbiegają, gdy stara dużego wykopie robaka i pozwala młodym wyrwać go sobie.

Odtąd obserwowanie jeżów sprawia owczarzowi i jego żonie największą przyjemność. Rezuna co wieczór zakładano na łańcuch, aby jeżom nie przeszkadzał. Owczarz wykladał im też różne przysmaki. Chlebem z masłem gardziły, lecz świeże mięso brały chętnie, również małe rybki, przeznaczone do wędek na szczupaki.

Gdy owczarz spostrzegł, że samica bardzo często się drapie i, schwyciwszy ją, przekonał się, że pełno na niej robactwa nasmarował ją maścią, której w tym samym celu używał u owiec. Od tego czasu nie drapała się więcej. Z czasem jeżątka dorastały, nie trzymały się już starej i poczęły pędzić życie samodzielne, a matka, spotkawszy dzieci, odgryzała je.

Wyniosły się więc; jedno na wzgórzu pustkowie, drugie w gaj dębowy, trzecie w krzaki nad łąką, czwarte do wsi ostatnie w okolicę pasieki. I gdy owczarz spotykał które z nich, poznawał zaraz, że to dawni jego znajomi, bo odciął był każdemu pęczek kolców na głowie, lub tu i tam na grzbiecie, i chwalił się przed ludźmi, że to jeże z jego podwórza.

Aż do jesieni widywał tu lub owdzie jednego z nich, nawet w lutym, gdy po lekkiej śnieżnicy słońce przygrzewało, spotkał starą samicę za dnia białego przed zaroślami około pasieki,

zabrał ją ze sobą i puścił do owczarni; i gdy w marcu słońce zwyciężyło zimę, trafiał każdego wieczora jeże w ogrodzie, na podwórzu lub w dębowym gaju i cieszył się niemi.

Atoli pewnego dnia nadciągnęła banda cyganów, której przewodniczący gminy wyznaczył na koczowisko miejsce pod dębami.

Podczas gdy mężczyźni wałęsali się po okolicy, i kobiety szły wróżyć, nedorostki polowali na jeże. Mieli kije, zaopatrzone na końcu w długi, gruby, ostro opiłowany drut i żgali niemi w każdą kupę liści, pod krzaki i pod owczarnię. Czasem zakwiczało coś, łobuz wyciągał z kryjówki nadzianego na śpiczasty drut jeża i zabijał go.

Co wieczór owczarz wysiadywał na ławce przed domem, i czekał na swoje jeże. Nie oglądał ich więcej.

R o z w i ą z a n a z a g a d k a

Knypek zatopił się w zagadnieniach filozoficznych. Coś zagadkowego zdarzyło się w jego życiu, coś mistycznego, niepojętego, transcendentnego.

Bo co też to być mogło, co każdego poranku pozostawiało na podwórzu leśniczówki ów dziwny odwiatr? To nie był żaden kot, to nie był żaden szczur. Ale co to było?

Dzieje się więcej rzeczy na przestrzeni pomiędzy budą psią a granicami łowiska, aniżeli nos jamnika zgłębić może — taki był wynik filozoficznych rozważań Knypka, wynik, który go przyprawił o całkowitą utratę spokoju duszy i umysłu.

Owym tajemniczym stworem jest jakiś zwierz — to Knypek skonstatował, ale zwierz nieznany, zwierz o całkiem innej woni jak ta, którą posiada lis lub borsuk, zając lub sarna, jeleni lub dzik, i o innej także, jak ta, która szła od jeża, szczura, łasicy lub wiewiórki.

Ów stwór wychodzi nocą z chlewa i dąży pod szopę z torfem. Czasem przez trzy dni go nie ma, lecz na czwarty dzień znowu się zjawia. Raz nie było go przez cały tydzień, i Knypek prawie o nim zapomniał. Lecz potem znowu przesmyk między chlewem a szopą tak silnie czuć było, że Knypek jak wściekły latał w tę i ową stronę, skomlał, drapał, szczekał, że leśniczy w własnej osobie na serjo go się zapytał, czy mu piątej klapki nie zabrakło.

Kiedy Knypek z panem swym był w łowisku, zapominał o niewytłumaczonej woni, boć w rewirze tyle zawsze było

sposobności do wietrzenia i czasem też do dławienia, czy to lisa, co za krótko był strzelany, czy też jałowej łani, której trop on, Knypek, musiał wypracować, bo Zagraj kulał na przednią nogę; wielka to była rozkosz, na otoku śledzić trop sfarbowany, większa jeszcze, chorą sztukę ostanowić po gonie, największa zaś, dobitą targać i szarpać za grdykę. Zajęty tak szlachetną robotą, Knypek zapominał o zwierzu niesamowitym, co chodził każdej nocy po podwórzu.

Skoro jednak znalazł się w pobliżu domostwa, natychmiast ów stwór przychodził mu na myśl. I choć głód dokuczał, i pani domu najsmaczniejszą przyrządziła nawarę, jamnik po powrocie z rewiru rzucał się wpierw ku chlewowi, wsadzał nos między blochy, skrobał, skomlał, biegał, wietrząc po ziemi, do szopy z torfem, gdzie podobnie się zachowywał jak przy chlewie, i powlókł się w końcu zadumany, z marszem na czole ku domowi, nos spuściwszy na kwintę. A leśniczy uśmiechał się i mruczał: „Naszego Knypka przyprawiły szczury o zawrot głowy; trzeba na nie łapki zastawić!” Nazajutrz z rana Knypek zdusił w pralni dwa duże szczury, lecz zaraz popędził znowu ku chlewowi i wścibiał nos w wszystkie kąty.

Pewnego wieczoru, kiedy siedział sobie w izbie na skórze dziczej przed fotelem, puścił się nagle jak szalony ku drzwiom, o mało nie przewrócił dziewczyny, która właśnie wchodziła z jadem, popędził w podwórze i czekał i skomlał, dopóki parobek nie nadszedł z latarką i nie wpuścił go do szopy. Knypek rzucał się w niej na wszystkie strony, spinał się po ścianach, wlaził na torf, wietrzył po wszystkich kątach, że od gruzu torfowego aż kaszlu się nabawił, i cofnął się wreszcie zmartwiony, wśród drwinek swojego pana. Markotny leżał podczas wieczerzy na skórze dziczej i nawet przedśmiertne

rzęzenie kielbasy, jak mawiał leśniczy, gdy z kieszki ściągał flaczek, nie zdołało przywabić go do stołu.

„Śmiecie się ze mnie,” pomyślał, „ale powiadam wam, że w końcu jednak na moje wyjdzie! Wyraźnie słyszałem, że na podwórzu coś łązi, nie kot, ani szczur, ale coś, czego nie znam, czego nigdy nie dławilem jeszcze. Kto wie, czy to nie zwierz bardzo niebezpieczny, który pożreć chce świnię albo torf. Będę czuwał, aby nieszczęścia nie było. Panisko moje to wprawdzie najmędrszy człowiek, jakiego znam, ale w porównaniu z nami jest jednak dosyć głupi, a nos jego też nie lepszy od nosów innych ludzi; inaczej bowiem nie mógłby palić tego paskudu, którego nienawidzę jak śmierci, i nie mógłby zjadać pomarańczy, ani tego piwska pić, bo to przecież rzeczy wstrętne dla każdego, co ma delikatny nos.”

Leśniczy, zabierając się do spania, spostrzegł, że Knypek miał ochotę zobaczyć jeszcze, jaka na dworze pogoda, i wypuścił go. Znowu zaczęło się skomlenie i bieganie na wszystkie strony; i gdy leśniczy pochylił się, by stwierdzić, co było powodem drapania i skrobania, wtedy Knypek spinał się po nim, pisał w niebogłose i udawał, jakoby powodzenie lub niepowodzenie całego domu zależało od tego, czy tajemnica znajdzie wyjaśnienie. Leśniczy wpuścił go więc do szopy i pomógł mu wdrapać się na najwyższe warstwy torfu; wtedy Knypek rzucał się jak w ukropie i podnosił taki wrzask, że cała zgraja większego podnieśby nie mogła, i tak dokazywał, że w końcu pół setki cegieł torfowych zachwiało się i razem z psem runęło z turkotem pod nogi leśnika. „No, chodź już, Knypek,” odezwał się jego pan, „i nie irytuj się dla głupich szczurów!”

Ale gdy wśród głębokiej nocy Knypek z strasznym skowytym wypadł z kosza swego jak oparzony, z podłogi dał susa na fotel i z niego wskoczył na okno, wtedy cała awantura leśniczemu gar-

dłem zaczęła wychodzić; Knypek dostał pantoflem w pysk, i leśniczy wpadł na niego z furją, która się jamnikowi zgoła nie podobala. Obrażony, przez cały następny dzień ani nie pisał, zostawił swoje mleko, unikał pana i nie pisał radośnie ani ogonem nie wymachiwał, gdy miał mu towarzyszyć do lasu. Aby go udobruchać, leśniczy zabił wiewiórkę; lecz zamiast z wielką wrzawą potrząsać nią i ze szczętem ją zjeść, jak zwykle z wiewiórkami czynił, Knypek obwąchał ją zaledwie i zostawił, a pan jego kręcił głową, uśmiechał się i mówił potem w domu: „Pies pamięta mi jeszcze, że go w nocy pantoflem poczęstowałem.“

To wszakże Knypek mniej wziął za złe; ale że jego pan nazwał go zelżywie „głabem“ — to najbardziej mu dopiekło. Gdy mu podczas wieczerzy rzucono tłusty flak od wątrobianki, on nawet ogonem nie machał, i dobre pięć minut trwało, zanim raczył spożyć przysmaczek.

Knypek więcej smutny był niż zły. Bo czyż to możliwe, aby ludzie mogli spokojnie jeść, pić i śmiać się, skoro na dworze coś chodzi? Kto wie, czy dzisiejszej już nocy ów stwór okropny nie wkradnie się w dom i nie sprawi nieszczęścia!

Zaledwie więc dziewczyna sprzątała ze stołu, Knypek wymknął się drzwiami, znikł, i mimo sygnałów świstawki już się nie zjawił. Całą noc spędził na dworze, to czatując na progu, to pilnując koło chlewa lub szopy z torfem, lecz nic nie znalazł; i gdy służąca rychłem ranem szła do obory, Knypek zawstydzony wsunął się do izby, wlaź pod kominiek i nie pokazywał się, póki nie nadszedł czas obiadu. Jego pan zaś tak mało okazał taktu, że go się zapytał, czy we wsi nie miał czasem czulego spotkania — była to uwaga, która już wcale nie nadawała się do tego, by naprawić nastrój Knypka.

Atoli nadszedł dzień zupełnej dla niego satysfakcji.



Parobek wszedł pewnego rana do izby i rzekł: „Dzisiaj mamy pierwszą ponowę, panie leśniczy, i zdaje mi się, że Knypek był roztropniejszy od nas wszystkich, bo od chlewa do szopy prowadzą tam i z powrotem szlaki tchorze. Teraz wiem też, czem na podwórzu rano zawsze tak dziwnie czuć było. Myślę, że gwoli psa urządzimy tchorzowi kocią muzykę; za poprzednika pana teżeśmy tak robili; on postawił się z strzelbą, my wpuściliśmy psy do chlewów i wszczęliśmy harmider kosami, próżnemi puszkami, czem było, a wtedy tchórz wypadał z kryjówki i albo padł od strzału, albo też psy go dostały.“

„To my tak samo zrobimy,“ rzekł leśniczy z uśmiechem na ustach. Przystąpiono tedy do czynu. Parobek i Kachna, nawet sama pani domu pobrali pokrywki i udali się do chlewa, do którego wpuszczono też Knypka, a leśniczy z gotową strzelbą ustawił się w pobliżu. Skoro zaczął się zgiełk, jamnik dał drapaką, pobiegł do szopy i pisał tam i skomlał, póki go parobek do niej nie wpuścił. Teraz Knypek wpadł prosto w szal, w tak dziki szal, jakby co najmniej chorego odyńca oszczekiwał, i począł tak zapamiętałe skrobać i drapać pazurami, że leśniczy zawołał: „Janie, rozrzuć jeno torf.“

Jan uczynił, co mu kazano, a Kachna waliła tymczasem dalej pokrywami. Naraz zakrzykła, upuściła hałaśliwe narzędzia, zgarnęła spodnice i wpadła takim pędem na swojego chlebowdawcę, że mu fajkę z ust wytrąciła. Zanim osłupiały leśnik wraz z parobkiem się połapali, co właściwie zaszło, czarny zwierz wyprysnął z szopy, a Knypek w ślad za nim rwał jak wicher. Już też słyhać było, jak pani domu wołała; „Brawo, Knypek, brawo! Ma go, ma go! Bierz tego śmierdziucha, bierz go, bierz!“

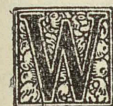
Gdy leśniczy z parobkiem i Kachną dobiegli podwórza, już było po wszystkim. Knypek nosem popychał tchórza ledwie już drgającego, potrząsnął nim raz jeszcze, zaniósł go do izby i położył na skórę dziczą, gdzie go od nowa obwąchiwał. Leśniczy nadszedłszy zabrał tchórza, obsypał jamnika karesami i obdarzył żywą pochwałą.

To się oczywiście Knypkowi bardzo podobało, lecz w sercu pomyślał: „Bylibyście mi wiele zaoszczędzili gniewu i zmartwienia, gdybyście wcześniej byli wpadli na myśl, że ja zawsze mam rację, gdy się irtuję. Ale wy nie macie przecież nosa, i dlatego wam koniec końcem wiele wybaczyć trzeba.“

*

O d y n i e c

*



dolinie Orlinki rozpętało się piekło. Rychle ziemniaki były wryte, pola grochu strатовane, rozsadniki zbuchtowane, łany owsa przesmykami poorane.

Nie wiedzieć skąd zjawił się tu odyniec, wszędzie pozostawiając znaki swojej obecności. W dolinie Orlinki nie było dzików; nie dziw więc, że wzburzenie ludności było niesłychane. Wszystko, co polowało, pilnowało stanowisk, lecz wszelki mozół był daremny.

Pojedynek nie był tak w ciemię bity, aby w tym samym zawsze pozostać kacie doliny. Znał on świat; przeszedł już dużo, więcej nawet, aniżeli mu było miło. Liczył dwanaście zim, słyszał niejednej kuli świst, niejednych śrutów zgrzyt, i wiele innych jeszcze przeżył przygód.

W zaraniu młodości, gdy zaledwie trzy tygodnie liczył, napadł go lis, i gdyby wtenczas nie był tak przeraźliwie kwiczał, a locha nie była w pobliżu, byłby padł ofiarą mikity. Lecz matka jego wpadła na rabusia, powaliła go i tak obrobiła, że z wielką biedą uszedł z życiem.

W dzień ów, kiedy stracił ostatni ząb mleczny i po raz pierwszy buchtując gorliwie za robakami i korzonkami zbyt daleko pozostał za maciorą, dwa kondle goniły go tak zapamiętale, że już z sił opadał i byłby był stracony, gdyby locha w ostatniej chwili nie była z fukaniem nadbiegła i psiska odpędziła.

Pierwszej zimy po trzykroć był w ostępie otropiony, słyszał świst kul i raz loftki porządnie mu podrapały lewe udo.

Później jeszcze gorsze przechodził koleje. Że upadał na prawy tylny bieg, pochodziło ztąd, iż mu pocisk udo przeszył; o mało byłoby wówczas po nim, bo trzy psy go ostanowiły; lecz on bronił się dzielnie, jednego kondla obciął straszliwie i uratował swoje życie.

Skóra jego pstro wyglądała; prawa strona nad barkiem nadziana była śrucinami, którymi go poczęstował chłop, gdy mu w kartoflach pyskował; lewa była łysa od obcierki, która mu pióra zgoliła. Chyba wykazywał szeroką szczerbę, bo tam dotkliwie go kula ukąsiła; bolało go to tak, że stracił przytomność, do której wrócił dopiero, gdy jeden pies szarpał nim z przodu, drugi z tyłu; oba z rozprutymi brzuchami zostały na miejscu.

Szable jego i kły również poniosły szwank; strzał w gwizd ukruszył ostrze prawego kła i uczynił z niego nieużyteczny pień. Nawet ogon był w środku nadłamany od strzału śrutowego.

Na jedną świecę dzik był ślepy, loftka ją przebiła, oba uszy były wystrzępione od psich klów. Pozatem na skórze wszędzie było pełno szram, pamiątek po walkach w czasie lochania. Jednym słowem: odyniec przeżył niejedno, znał świat i stosownie do tego się zachowywał.

Czekał więc wpierw, póki noc nie zapadła, zanim opuszczał zaszycie, i wychodził po kwadransowem badaniu tam, gdzie wiatr mu w tabakierę wiał. Lecz potem czuł się już swobodnym i bawił się, roznosząc na zarośniętym porębie spróchniałe pnie świerkowe, pełne chrząszczów, poczwarek i ślimaków. Następnie spłoszył kurę bażancią z gniazda, pożarł jaja, zjadł moc młodych

myszki, nie przepuścił zajączkowi, zbuchtował łan owsa, gdzie znalazł w ziemi mnóstwo pędraków, nie pogardził żabami, padalcami, ptasiami gniazdkami, które napotkał, tarł się długo i wydatnie o świerk w żywicę bogaty, podorał pole z kartoflami, zmarnował do szczętu obsiany łan, i gdy gospodarz i leśnik stanęli na miejscu zniszczenia, klnąc straszliwie, on spał sobie o pół mili dalej w zarosłym jarze w głębi kniei.

Rozumie się, że urządzano na niego naganek w zagaju świerkowym, gdzie w przededniu się był zaszyl, jak tropy wskazywały, lecz bez skutku oczywiście, bo dzika w nim już nie było.

Tak szło przez całe lato. Odyniec raz był tu, to znowu tam, nigdy zaś w miejscu, gdzie go szukano. Lament i narzekania podnosiły się, skoro on się zjawiał; tu rychło ziemniaki były zbuchtowane, tam marchew zniszczona, gdzieindziej młody groszek stratowany lub zboże duktami poprzężnane. Wiedzano zawsze tylko, że był, lecz gdzie był, tego nikt nie wiedział.

Niektórzy twierdzili, że to wogóle nie była żadna dzika świnia, lecz jakiś zły duch czy upiór, bo przecież powinno się ją było raz przydybać, tem bardziej, że wszyscy myśliwi okolicy o niczem innem nie myśleli jak o dziku i noce całe na niego czatowali.

Widział go tylko jeden, a ten nie zdradził się z tem; gdy bowiem czatował w dole na polu, odyniec jakby z ziemi był wyrósł, stał nagle tuż przed nim i wyglądał tak strasznie, że strzelcowi od emocji strzelba latała w rękę, i strzał gruntownie chybił, sam nemrod zaś tak skwapliwie umykał, że zapomniał o plecaku i szklach; gdy następnego rana poszedł po te przybory, już ich nie było.

Gruchnęła w końcu z całą pewnością powtarzana wieść: „Mamy go.“ Ktoś idąc o świcie do lekarza, widział, jak odyniec zaszywał się w dużej plantacji wierzbiny w polu położonej. Zwołano więc wszystkich umiejących obchodzić się z bronią, obstawiono gąszcz i wpuszczono w niego psy.

Wkrótce rozległ się oszczek, jakby kondle dzika ostanawiały; ale, gdy trzech strzelców odważyło się wreszcie dojść do miejsca, skąd dochodził zgiełk, znaleziono skulonego jeża, naokoło którego psy z wielkim krążyły hałasem. Powstał ogromny śmiech, i gdy wszyscy stali w zbitej gromadzie, jedni ubawieni, inni źli, zaszumiało coś w wierzbinie, fuknęło, zatrzeszczało — i zanim się zorientowano, już dzika nie było; wpadł w wielki łąk pszenicy. Po otropieniu tego pola wykazało się, że odyniec już był w życie; po okrażeniu żyta stwierdzono, że już był w bobie; lecz i stamtąd już się był wyniół i wpadł do lasu.

Rada wojenna postanowiła urządzić naganek w lesie; założono trzy mioty; ale i tym razem nie ujrano odyńca, bo już dawno zaszył się był w dużym polu owsa.

Lato minęło, nastała jesień. Odyniec wciąż jeszcze trzymał się w dolinie Orlinki, lecz dolina ta była długa i szeroka. Ponieważ przemocą nic nie można było wskórać, chwymano się podstępów. Nęcono więc dziką ziarnem, podrzucano mu kukurydzę, owies, marchew, korzenie. Czasem nęcił go skuszył nawet, lecz nigdy wtenczas, gdy przy paśniku strzelec w zbrojnej nań czatował zasadzce. Jeśli zaś odyniec rzeczywiście w takim niebezpiecznym dla siebie miejscu wyszedł, czynił to wtedy, gdy niebo już się z ziemią zlało i końca łuf dojrzeć nie było można. Dzieci, które jagody rwały, i kobiety, które susz zbierały, widywały go za dnia białego, lecz nigdy nie spotykał go żaden leśnik, wyjąwszy starego dyrektora lasów,

który go w samo południe ujrzał wychodzącego po kąpieli z kałuży — i o mało nie byłby sobie wonczas z irytacji sędziwych wyszarpał wąsów; zanim bowiem zdarł z ramienia strzelbę i kurek naciągnął, już dzik go zwietrzył i poszedł, i nie trafiły go ani kula ani też niechrześcijańskie życzenia, jakie pan dyrektor za nim posłał. Razu pewnego wkońcu spotkał pojedyńka młody zupełnie leśnik; lecz ten strzelał kulą czysto ołowianą, a dzik stał mu na kulawy sztych. Pocisk uderzył wprawdzie w sam środek komory, ale u starego smolarza o skórce na polciach twardej i spoistej jak u hipopotama, o grubym na palec pokładzie żywicy, strzał w komorę na kulawy sztych jest najgorszym strzałem, najlepszym zaś strzał od tyłu ku komorze. Odyniec fuknął też tylko i poszedł, leśnik zaś stał z początku jak zmyty, a dalsze jego zachowanie się nie można było nazwać przystojnem. Najgorzej poszło pewnemu rządcy. Pojedynek tak mu spyskował parcelę ziemniaków wrzynającą się w las, że szkoda wyrządzona istotnie przekraczała już wszelkie granice. Rządca był to kuty frant. Kazał parobkowi zaprząć, zabrać drabkę, zajechać pod dąb stojący przy kartoflisku, przystawić z woza drabinę do drzewa, aby zdradliwych na ziemi nie pozostawić śladów, i urządzić na dębie siedzenie. Rządca na niem zasiadł, a parobek odjechał.

Była piąta godzina po południu. Około dziesiątej wieczorem rządca nabrał przekonania, że byłby czas, by dzik się zjawił. Lecz odyniec czekał, póki się księżyc za chmury nie schował, poczem z całym spokojem zabrał się do kartofli i klamsał i kłaskał i cmokał, aż serce rosło. A gdy miesiąc począł rozchyłać obłoki, dzik uważał, że jednak stosowniej będzie, pożegnać się z smakowitemi kaskami. Wszelako wprawdzie zbliżył się do dębu, na którym rządca sobie nieomal karku za nim nie wykręcił, i począł pótę trzeć się o pień, póki szczęśliwie drabki nie wywrócił i przestraszony nie poszedł. Rządca

całą noc przesiedział na dębie, zeszytywniał od ziąbu jak dobrze wysuszona kielbasa i nie mógł prawie zleźć z drabki, gdy nad ranem nadjechał parobek, aby przekonać się, czy rządca wogóle jeszcze żyje. Ale dzik nie wrócił tu już; historję z drabką wziął widać za złe.

Jesień minęła, i zima nadeszła. Dzik wciąż jeszcze gościł w dolinie, lecz, że przekładał zmianę miejsca nad wszystko, nie wychodził nigdy na strzał. Jeśli wczoraj był w wysokim lesie bukowym i delektował się słodką bukwą, to dziś nie było go tam z całą pewnością, a był o pół mili dalej, może i o milę, bo noce były długie.

Bezwzględnie i bez skrupułów buchtował w kopcach kartofli lub marchwi albo swawolił w rozsadnikach.

Raz sadząc późnym wieczorem poprzez trakt, przewrócił listowego, który bez światła jechał na rowerze; u koła trzy sprychy, u listowego trzy żebra wyskoczyły ze szeregu. Najgorzej, że nikt nie chciał wierzyć, iż to niedobry sprawił dzik, a wszyscy wypadek raczej dobremu przypisywali piwu.

Lecz sprawcą nieszczęścia był istotnie odyniec, któremu zresztą cała ta afery była nieprzyjemną w równej mierze jak listowemu i urzędowi pocztowemu; musiano bowiem wystarać się o zastępcę dla listonosza, zanim tenże mógł opuścić łóżko, co po trzech dopiero nastąpiło tygodniach.

Wkońcu wszystką nadzieję ubicia odyńca pokładano w ponowie.

Lecz tej ponowy nie było aż do gwiazdki. Gdy zaczął wreszcie padać śnieg, znowu sprawa szła opacznie, bo biały puch padał w jednym ciągu i zasypywał tropy, które odyniec wytłaczał. Potem przyszła odwilż, później nagły mróz, potem

deszcz i znowu nagły mróz — koniec końcem wszelkie nadzieje i zamiary nemrodów zawiodły. Dopiero ku końcowi stycznia udało się osaczyć odyńca. Posłańcy śpieszyli pieszo i konno, telefony dzwoniły, przysposobiono podkurki, napełniono butelki wódką, i około dziesiątej ośm furmanek zajęchało przed leśniczówką.

Dyrektor lasów w dłuższem wobec ważności sprawy przemówieniu podał do wiadomości, że za pudło ustanawia się karę w kwocie talarów na rzecz wdów i sierót po poległych w służbie leśnikach, zalecał ostrożność ze względu na brutalstwo rozdrażnionych odyńców, jako też na niesłychane lekceważenie prawa karnego i obowiązku odpowiedzialności, djabło mało obchodzących ranne dziki, które zresztą — prawil — dla wielkiej swej drażliwości najchętniej widzą, gdy ich się zostawia w spokoju, i polecił wobec tego, aby udać się na wyznaczone stanowiska bez najmniejszego szelestu i, o ile możności, jeszcze ciszej, oraz kładł wszystkim na serce, aby kichanie i kaszlenie odłożyć stanowczo na koniec miotu.

Dzień był prześliczny; w powietrzu kryształowem żaden wietrzyk się nie ruszał; świerki sterczały w białych baranich czapkach, młoda buczyna w śnieżystych koszulinach, wrony igrały w przestworach, w krzaczach wabiły się sikorki.

Godzina przeszła, zanim strzelcy zajęli stanowiska, i niejednen z nich żalił się w duszy, że obława na dziki to na dłuższą metę dla nóg jest zabawą jednak trochę mocno lodowatą. Lecz słyhać oto dźwięk kniejówki. Po plecach myśliwych ciepły przeleciał prąd.

Z początku przez pół godziny nie wychodziło nic; potem na któregoś z strzelców wyszedł lis, na innego kot; lecz pod karą śmierci, a nawet pod karą dziesięciu złotych niewolno było do nich strzelać. Następnie przez długą chwilę znowu

nic nie wychodziło; w końcu ukazał się naganiacz, po chwili jeszcze jeden. Już strzelcy kulturalni poczęli wzdychać, a mniej kulturalni półgłosem wyzywać, gdy wtem któryś z kondlów zaszczekał, za nim drugi i trzeci, i powstał hałas, jakby na międzynarodowej wystawie psów. Nagle psiak jeden przeraźliwie zaskowyczał, inne w dalszym ciągu oszcze kiwały.

Potem padł strzał i rozległ się wrzask: „Ratunku, ratunku!”

Niektórzy oglądali się za porządkiem jakim drzewem i oburzali się, że dokoła same tylko rosły młodniki, które zdołały unieść od biedy wiewiórkę, ale nigdy dorosłego mężczyznę; inni biegli z szybkością, na jaką długie ich buciska pozwalały, w stronę, stąd wrzask dochodził. Oczom ich przedstawił się obraz zgroźnie piękny, lecz i śmieszny zarazem. Ujrzeni bowiem chaotyczny kłęb, składający się z odyńca, sześciu kondli i czterech ludzkich członków, z których dwa w długich tkwiły butach i kurczowo podrygiwały, podczas ich właściciel ustawicznie wrzeszczał o ratunek i kolbą walił to w odyńca, to w kondle. Taki był zamęt i taka gmatwanina, że nie można było określić, co strzelec, co świnia, co pies, i że nikt w takich warunkach nie ważył się strzelić do dzika, ani go skłuć.

Wtem najmłodszy strzelczyk, smagły elew leśny z twarzą dziecka, bez cienia zarostu, trzema susami doskoczył z dobytym kordelasem do odyńca, wsiadł nań oklepem, chwycił go za ucho, i zanim dorośli mężczyźni zdali sobie sprawę z tego, co się dzieje, dzielny chłopak już stał obok martwego dzika, wsadził sposoczoną broń do pochwy, odtrącił psy i wyciągnął z pod odyńca niefortunnego strzelca.

Wszyscy wrzeszczeli teraz „brawo” i oglądali męża, co przez pięć minut leżał był pod zwierzem. Wyglądał wprawdzie

okropnie, bo psy rozwścieczone poszarpały mu ubranie i tratowały go ustawicznie po twarzy, gdy leżał na ziemi. Lecz to też było wszystko; kości wszystkie były całe, nawet rany poważniejszej nie odniósł. Dali mu łyk wódki i ciekawi byli, co opowie. Ale cóż tu było do opowiadania? Usłyszał on, jak tuż przed nim psy ostanawiały dzika; podszedł więc i strzelił do niego. Od tej chwili nie przypominał sobie już dokładnie porządku wypadków. Wiedział tylko, że nagle znalazł się pod dzikiem i wśród niesłychanego mnóstwa psich nóg, oraz że śnieg i piana z gwizdu odyńca wciąż po twarzy mu ściekały. Chciałby tylko wiedzieć — mówił — gdzie się podział jego złoty zegarek i srebrna papierośnica, i czy się znajdzie taki puszkarz-artysta, któryby umiał doprowadzić do jakiegokolwiek normalnego stanu jego nowusienką gwintówkę o podwójnych lufach, wartości 500 złotych. Ale główną przecież dla niego rzeczą było — prawil — że ubił pierwszego w życiu dzika, i że jest królem polowania.

Wzniosłe to uczucie tak go rozpierało, że drugi raz kropnął sobie wódki. Odyńca wywleczono na dukt i szukano na nim miejsca, gdzie pocisk uderzył. Szukano daremnie. Dokoła rozległ się szyderczy śmiech, brzęący w uszach niedosłego bohatera dnia jakby chichot złośliwych szatanów. Twarz jego przybierała coraz więcej formę wykrzyknika, twarz elewa coraz więcej formę księżyca w pełni.

Przewracano odyńca na wszystkie strony, patrzano z przodu, patrzano z tyłu — nic, nie było postrzału. Strzelec musiał wskazać miejsce, gdzie stał, i kierunek, w którym strzelał — no, i znaleziono wreszcie postrzał. Pocisk przebił młody świerk. Nowy wybuch szyderczego śmiechu.

Za pudło był płatny talar na rzecz wdów i sierót po poległych w służbie leśnikach. Trzeci potok szyderstw.

„Nieszczęście zawsze chodzi w parze,” rzekł dyrektor i podał na kapeluszu elewowi gałązkę zieloną, zroszoną posoką dzika.

Kniejówki wesole achy ogłaszały zgon odyńca. Ruszono do domu. Prawie wszyscy mieli trochę rzadkie miny. Dyrektor rzekł z cicha: „A tośmy się, panie, gruntownie wsypali! Najgruntowniej zaś wsypał się tamten dzieciuch — ubija sobie kapitalnego odyńca białą bronią — no, proszę! Jeżeli ten smyk nie dostanie manji wielkości, to niech mi tu zaraz na dłoni pipcie wyrosną.”

Następnego dnia przybył rewizor, robił z mięsem dzika swoje próby i rzekł z promienną twarzą: „Trychiny ma też.”

„I to jeszcze” — bąknął dyrektor i kropnął sobie czystej.

M i k i t a



Isniewające promienie słońca padają na białą górę. Młodniki bukowe goreją, drągowina iskrzy się, gaj świerkowy płonie. Sikorki piszczą, jery dzwonią, sójki gwarzą. Rozhowor ptasi ustawa, zamienia się nagle w wrzask, który rośnie, przycicha znowu i kończy się przerażonym skrzekiem. Na miejscu najspadzistszem szarego zbocza, gdzie śnieg białą świeci plamą, czerwony cień zamigotał. Różnobarwne ptactwo z krzykiem oburzenia i nienawiści obsiadło krzywą lipę sterczącą na skale, jadowite ciska spojrzenia i, gniewnie zrzedząc, odlatuje.

Fałszywym wzrokiem wodzi za niem lis; potem przeciąga się, ziewa szeroko, jeszcze raz się przeciąga i, skurczywszy się, poczyną pomrukując tylną stawką drapać się zapalczywie za uchem, sięga pyskiem do uda, uspokaja energicznie niesfornych inkwilinów, postępując i szemrząc skrobie się za kark i przysiada wreszcie pełen godności, łbem tylko od czasu do czasu obracając. Z lasów u podnóża góry dochodzą go szybkie ciosy siekier; on nie troszczy się o to. Piła warczy; jego to nie obchodzi. Słyszać zgrzyt, trzask, szum potęgujący się do głuchego, dudniącego łomotu; jemu to obojętne. Góra drży, lekko najpierw, potem silniej, dziki huk wstrząsa powietrzem; i to nie wytrąca go z równowagi. Od siedmiu lat zna on hałaśliwą robotę drwali, nie obcy mu też huk strzelanych w kamieniołomach głazów. Pisk strzyżyków, świergot mysikrólika, trele sosnówek również nie zamacają jego spokoju;

przed sześciu laty ambicja kazała mu próbować szczęścia z gawiedzią drobnego ptactwa. Dzisiaj on wie, że to nie ma celu. Ziewa więc, przeciąga się i drapie ponownie, wreszcie nieruchomo znów siedząc, korzysta z dobroczynnych promieni słonecznych.

Sterczy tak długą chwilę, póki pchły w jego ciepłym futrze o szarym połysku od nowa się nie rozswawoliły i nie zniewoliły go do podtrzymania powagi zapomocą pazurów i siekaczów. Nagle przerywa swoje zajęcie; bursztynowe jego ślepie rozszerzają się, czarne uszy łowią podejrzane dźwięki. Tam z dołu, nieco z prawej strony, dochodzą go tony, podobne do trzasku łamanych gałązek i do stłumionego kaszlenia. Lecz mikita już nasadza znowu minę obojętną.

Ów hałas, to nic, nic złego przynajmniej; chodzi tam człowiek wprawdzie, ale dobry znajomy, stary przewodnik drwali, w którego tranem przesiąkniętych tropach zawsze coś dobrego znaleźć można, czy to flaczek od kiszki, czy kawałek skórki od chleba lub łeb od śledzia wędzonego.

Oj tak! Flaczki od kiszek i śledziowe łby! Z pyska mikity snują się nici śliny i błyszczą w słońcu jak srebro, a patrochy piszczą i burczą mu w brzuchu.

Przedwczoraj nagły mróz i ostry wiatr północnowschodni, a wczoraj odwilż z mokrym śniegiem — chude to były dni. Cuchnące ścierwo wrony, okropnie słony ogon śledziowy, naga kość, twarda jak kamień, i tuzin nocnych motyli, które za luźną korą bukowego pnia zimowały — to było wszystko.

Lecz dziś będzie lepiej. Całe przedpołudnie wciąż padał śnieg i jeszcze padać będzie, bo powietrze ciche jest i miękkie. Sza! Nie zatrzęszczało coś tam niżej? Ależ tak! To zajęć, którego stary drwal wypłoszył z kotowiny. Puszysta kita

lisa zadrgała i białym fiołkiem zamigotała. Zając kica wprost ku niemu. Lis skrada się pomału i posuwa się nieco. Wtem tafla śniegu obsunęła się z stromego stoku i pokulała z chrzęstem w suche liście bukowe. Zając kołkuje i kica dalej, odchylając się w prostym kącie od kierunku dotychczasowego. Nie udała się więc lisowi sztuka, jak zresztą zwykle w podobnych warunkach.

Lecz teraz odczuł stary rabuś, jak mu głód dokucza. Robi mu się nieznośnie głupio. Dalsze tu wysiadywanie nie ma celu. Słonko grzeje wprawdzie w futro, ale świeże mięso w żołądku lepiej grzeje.

Jasny dzień wprawdzie jeszcze, lecz tu na górze nie ma niebezpieczeństwa; i chociaż spacer przez zarośla i drągowinę wielkich nie obiecuje wyników, coś zawsze dla żołądka skapnie.

Lis znikł; lekki chrzęst długiej trawy oraz opadająca tu i owdzie okiść znaczą jego szlak. Teraz mikita wychyla się na starą trybę, oczy przez moment ku spadowi i dalej sznuruje.

Sokół wędrowny z wierzchołka suchego jak pieprz przestoju bukowego bystro oczy pod siebie, bo lis za czymś bobruje. Zawsze on tu coś znajdywa; tak też jest dzisiaj. Zdobyć nie osobiwa wprawdzie, bo tylko resztki wrony, lecz głód każe nie gardzić niemi.

Wędrówka prowadzi go dalej po wąskiej zaśniewionej ścieżce wśród młodej buczyny. Od czasu do czasu skok przez gnijącą kłodę lub zawadzający głaz przerywa powolne dyndowanie; czasem mikita też przystawa na chwilę.

Rój sikorek w pogoni za piędzikami zbyt kuszaco przelatuje nad śniegiem. Najczęściej polowanie na te ptaszki chybia, lecz nie zawadzi poświęcić mu chwilę — a nużby się udało!

Atoli mikita już sznuruje dalej. Sosnówka, mając go na sztych, alarmuje towarzyszek, i cały rój z głośnem oburzeniem szuka ocalenia w koronach drzew.

Teraz na mikitę czas, zniknąć jak najprędzej, bo tłuszcza ta jest uciążliwa. Lis więc skręca w zarośla pod górę i spuszcza się w dragowinę.

Tylko wolno! Czuć tu mysz — nawet świeżo zupełnie! Z łbem nachylonym rabuś czatuje przed ciemną jamą w śniegu. Coś brunatnego z niej się wysuwa. Lis tłucze ofiarę, mysz zakwiczęła; widać, jak mikita nagłemi ruchami potrząsa łbem, i z zadowoleniem kitą dzwoni, słyhać głośnie cmokanie — i rabuś w dalszą puszcza się drogę. Znowu przystawa — pachnie tu sarną, też świeżo zupełnie. Więc dalej za tropem podwójnym! Koza z młodem — lecz obie sztuki zdrowe. Szkoda czasu i atlasu.

Mikita namyśla się chwilę. Tu gdzieś nasycił się raz bardzo. Prawda! Zboczył w lewo, okolił szare wysokie skały, minął świerkowy gaj, przecisnął się pod luźnymi bryłami kamiennymi i dostał się w duży jar, zawalony głazami. Tutaj kiedyś późną jesienią leżał i suszył futro, mokre od rosy porannej. Wtem usłyszał strzał w niezbyt dużej odległości. Po strzale zaszeleściło nad jarem; kamienie się staczały, gruz się sypał i chrzęszcząc spadał na liście i zielsko.

On szybko wtenczas ukrył się na razie w bezpiecznej kryjówce; lecz wieczorem, gdy sowa zahuczała, podyndował, kołując, do jaru i zwierzył kroplę sarniej farby. Ciągnął więc za tropem coraz obficiejszym aż do stromej ściany i spuścił się po krętej ścieżce skalnej w jar. Tu pełny odwiatr sarni uderzył jego wietrznik. To było wtenczas używanie! Kozioł jedyny raz dał jeszcze susa; zanim zdążył zebrać się do drugiego skoku, już rabuś zatopił mu kły w gardzieli, że



sarowi nawet do zapłakania nie pozostało dosyć czasu. W nocy mikita tak sobie żołądek nabił mięsem, że na dwa dni miał dosyć. Lecz uczta taka nie zdarza się codziennie.

Dzisiaj nie ma tu nic prócz śniegu, mchu i zwiędłych liści. A więc dalej, w skały, wzdłuż ściany w wąwóz i znowu w skały aż do pieczary, którą szkoda było opuścić; raz bowiem padł tu ofiarą chory zając, który się w norze był ukrył, inny raz młody borsuk, który daremnie spinał się po ścianie, gdy on, lis, zjawiał się u wylotu pieczary; także kilka koszątek tu od niego zginęło, ba, raz nawet sowa. Dziś i tutaj nie ma nic prócz sopli lodu i śniegu; jest tylko trochę grubych moli, których szkoda zostawić; nietoperza bo nie tknął mikita — sama skóra to i kości, a przytem obrzydliwie cuchnie.

Zniechęcony namysła się, dokąd się udać. Wtem drgnął. Słychać kniazienie zająca. Nagłym susem lis wydostał się na wierzchołek głazu i zamierza na następny wskoczyć kamień, z któregooby wolny już miał widok na rzadki las, lecz powstrzymał się. Kniazienie zająca często więcej obiecywa niż dotrzymywa. Dawno to wprowadzie już temu, ale kto raz takie przeżył przygody, ten o nich nie zapomina.

Wówczas też był taki miękki, łagodny dzień zimowy po ostrym wietrze północnowschodnim, i lis podobnie doznawał głodu przez dwa dni, a może i dłużej. Sznurował więc w porze południowej przez dragowinę. Śnieg padał wolno szerokimi płatkami, najmniejszy nie ruszał się wietrzyk. Wtedy ponad rabusiem żalosny rozległ się krzyk. Znał on dobrze te tony. Tak knaził zając, którego tydzień temu dusił. Dziwny to był zając, bo tkwił karkiem w onych cienkich długich wąsach, które często spotkać można przy smacznych flaczkach od kiszek. Mikita sądził więc, że i tym razem zajączek złapał się w takich wąsach; śpiesznie podyndował w stronę drzewa,

skąd dochodziło go kniazienie. I wówczas to drzewo tak dziwnie szybko się poruszyło, lis uczył żgający ból w lewym pościu, spotrzegł błysk, słyszał huk i przyszedł do zupełnej przytomności dopiero wtedy, gdy siedział w swojej norze i lizał sobie palący bok. Od tego czasu on zawsze wpraw wietrzy, zanim coś przedsięwzię. Wzrok i słuch mylą, nos nigdy nie myli.

Przez chwilę mikita bada; potem ostrożnie skrada się wzdłuż zbocza, póki wiatr nie wieje mu prosto w wietrznik. Czeki. Znowu słychać kniazienie, coraz słabsze, coraz bardziej zamierające, coraz więcej stłumione. Lis czai się powoli z wietrznikiem wysoko wzniesionym; nozdrza jego latają, ślepie biegną od drzewa do drzewa. Tam wprost niego musiało być miejsce, gdzie zając krzyczał. Lecz mikita nie dostrzega nic na śniegu. Dokoła spokojnie jest i głucho, pachnie tylko kamieniem, drzewem, mchem i śniegiem.

Niejasna więc sprawa. Rabuś przysiadł; ma on wielki głód, ale ma też dużo czasu. Jeżeli to był zając, — tak rozważa — nie ujdzie mu; jeżeli to nie był zając, tem lepiej dla niego. Wtem dochodzi go lekki szmer, jak gdyby wiewiórka suwała się po pniu. I znowu cisza zalega dokoła. Teraz poruszyło się tam coś przy drzewie. Mikita wietrzy. Wiatr kotłuje. Z największą ostrożnością lis w prawą skrada się stronę, co moment przystawając. Nagle cofa się, skoli krótko i ochryple, nawraca na miejscu i umyka na łeb na szyję ku najbliższemu zaroślom, że śnieg na wszystkie pryska strony.

Nie zając tam był — tam był człowiek! Mikita większej jeszcze nabral ostrożności. Nie śmie wytykać nosa z gęstwiny i dopiero, gdy barwy zorzy wieczornej na niebie zanikną, gdy strzyżyki już w niższych pasach zbocza górskiego uwijają się za karmą i czyżyki w świerczynie zapadają, gdy sowy

w rzadkim lesie huczą, a robotnicy z kamieniołomów głośno pośpiewując skalistą ścieżką przy migocącym światełku kroczą ku domowi — wtenczas on dopiero dawnej nabiera pewności siebie, lecz i wtedy o wiele dłużej niż dotąd bada wpraw wiatr w każdym wąwozie, na każdym grzbiecie gór.

Gęsty już zapadł zmrok. Lis sznuruje wzdłuż tryby, znajduje w miejscu, gdzie robotnicy śniadali, flaczek od kiszki i nieco tłuszczu w papierowej okładce, łowi mysz przy strumyku, irytuje się świeżymi zajęczkami szlakami pomiędzy lasem a polem, bada każdy sarni trop, czy nie znajduje się w nim może farba, wygrzebywa z mierzwy na polu gnijący łeb kurzy, pochłania cuchnące flaczysko wywleczone z kompostu, zwiedza bez skutku wybrzeże stawu rybiego i okrąża, gdy już ciemno prawie, budynki dworskie, póki głośny gwar ludzki go nie spłasza.

Dużym łukiem zbliża się do wsi, znajduje na kupie gnoju przy ostatniej chałupie kłęb potłuszczonej szczeciny po ostatnim świniobiciu i ze wstrętem go połyka, myśli ze smutkiem o nocy owej, kiedy tu przydybał niewyrośłego kociaka, rzuca się gwałtownie do ucieczki, gdy z domostwa psiak wypada z jazgotem na podwórze, stwierdza przy strumyku, że były tam kaczki i gęsi, lecz że ich już nie ma, nie spotyka nic ani przy piecu wapiennym ani przy wiatraku, natrafia na śmietniku gminnym na same tylko nagie kości końskie i robi podczas milowej swej wędrówki poprzez pola i wzgórza spostrzeżenie, że szaraki bajeczny posiadają słuch, i że kur wogóle, jak się zdaje, nie ma. Jedną jedyną myszkę wykopywa z wielkim mozolem — i noc ma się ku końcowi. Mikita nawraca do lasu w cichej nadziei, że w tarniach znajdzie jeszcze jeża w kryjówce zimowej, lub że na lucerniku uda mu się złowić parę myszy.

Atoli jeż spoczywa sobie pod śnieżną osłoną, a myszy też nie ma.

Kiedy lis głęboko strapiony sznuruje wzdłuż strumyka, odwiatr sarni go uderza. Ze zwyczaju, choć bez nadziei, mikita zbliża się do tropu i wsadza weń wietrznik. Natychmiast nowe wstępuje w niego życie — w tropie znalazł kroplę farby. U wywrotu bukowego farba obficie barwi trop, i im bliżej lis dochodzi do pasa młodej buczyny, tem mocniej rumieni się śnieg, tem świeższy jest odwiatr, tem silniej drga kita rabusia. Z niezmierną ostrożnością skrada on się wzdłuż głównego przesmyku, wsuwa się w podszycie i teraz oto ma w wietrzniku pełny odwiatr sarni. Jak wąż podpełzał jeszcze bliżej. W tym momencie powyżej niego coś szeleści, rumoce i turkoce — mikita nie pełza już, lecz sznuruje sporo, coraz sporzej; im śpieszniej nad nim łomoce i trzeszczy, tem chyżej i on przynagla kroku, zawsze ciągnąc pod wiatr obok tropu, z wietrznikiem na pół stopy wzniesionym ponad śniegiem.

Sarniátko o chorych cewkach ucieka pod górę, rabuś za niem. Sarenka kluczy, krzyżuje, przepuszcza lisa przed siebie, ale mikita nawraca na trop; i gdy ona przystawa, dygocąc cała i zadyszana, bo biegi zapadają w twardej powłoce śniegu i coraz nieźnośniej ją boła, słyszy już za sobą głośnie dyszenie prześladowcy. Umyka więc dalej pod górę, sadzi przez zmurszałe pnie między głazami, wpada przez zaśnieżone zagaje w dragowinę — rabuś wciąż za nią. Sarenka coraz krótsza, rabuś coraz dłuższy. Raz przytrzymał ją już kłami za suknię; ona, głośnie płacząc, wyrwa się, rzuca w bok i sadzi w dół stoku na trybie zlodowaciałej.

Lis tuż za nią. Ślepie jego goreją, ozór zwiesza się wśród czarnych fafli, śpiczaste uszy założone w tył, kita powiewa jak sztandar nad grzbietem, piana pryska z paszczęki w prawo i w lewo.

Teraz rabuś jest przy sarence, która ostatkiem sił ucieka w zaśnieżonym młodniku; lecz lis już trzyma się u boku jej i za każdym trzecim susem skacze jej do gardła. Wpił nareszcie kły w ofiarę i ściąga ją na ziemię. Żałosny płacz rozlega się w lesie. Zdaleka stara koza basem odpowiada i siutka straszy — a potem cisza.

W niewielkim dole obok szerokiego głazu pod rozłożystym krzakiem bzu czarnego sarniátko kurczowo bije cewkami, zmiatając śnieg z pokładu liści bukowych. Mikita warcząc i sapiąc szarpie i targa je za gardziel, póki z niej nie tryska farba wilgotna i gorąca. Wtedy rabuś przerywa rzeź i liże, liże długo, zatapia powtórnie kły w krtani ofiary i powtórnie szarpie nią, wsadza wietrznik pomiędzy łyżki, pod barki, w poście, w lustro, poczyną targać za suknię na komorze, drze ją, przerywa krwawą robotę, bada — a potem narzyna na dobre.

Lis nie jest teraz już owym elegantem, którego futro czerwone o delikatnym, szarym połysku wyglądało jak ulizane. Twarz jego farbą umazana, biała plama na piersiach znikła. Targa on, rwie, rozdziera szerzej ranę — i nagle zastyga w swym zapale.

Jeży sierść na grzbiecie, skoli ochryple, warczy groźnie i rzuca się zajadle na innego lisa, który od godziny ciągnął był za sarnim tropem. W lesie rozlega się zgiełk, taki zgiełk, że robotnicy z kamieniołomu, którzy na wąskiej ścieżce łańcuchem idą do pracy, zdumieni stawają i przysłuchują się przeraźliwym głosem, które ich dochodzi z coraz wyższych warstw zbocza i zamierają na grzbiecie góry. Stary lis odgryzł pasorzyta. Wraca teraz śpiesznie, choć zawsze wietrząc i badając, do ofiary swej i nabija sobie żołądek, że skóra na brzuchu się przeży. Gdy zupełnie już jasno, i robotnicy siekierą i piłą

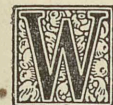
rozpoczynają w wysokim lesie pracę, gdy czyżyki porywają się z świerczyny, wrony nad górą przelatują, jery, sójki i mysi-króliki się odzywają, wtedy on dopiero wietrznikiem zgarnia zewsząd śnieg na resztki stłuczonej sarny, aby je schować sobie na noc następną.

Leniwy i obżarty wlecze się ku zbiornikowi, do którego woda źródłana spływa, chłopce bez końca lodowaty napój, gasząc silne pragnienie, kula się w miękkim śniegu i sznuruje w górę stoku do swojej twierdzy.

Z boku wzgórza wychyla się ognista kula słońca i trafia jeszcze promieniem fiołek jego kity, znikającej w szczelinie, która do nory prowadzi.

Tutaj mikita prześpi dzień i noc następną i może jeszcze jeden dzień, chyba, że go pragnienie do opuszczenia jamy zniewoli.

Mój jaźwiec i moje jamniki



kwietniu oddano, niewiadomo przez kogo, w mieszkaniu mem skrzynkę, która zawierała małego jaźwca. W załączonym piśmie nadawca donosił, że jaźwiec przeznaczony jest dla moich psów.

Rozumie się, że nie zastosowałem się do tego życzenia. Po pierwsze dlatego, że ustawa łowiecka zabraniała zabijać jaźwce o tej porze, powtóre, że byłoby okrucieństwem, wprawiać psy na bezbronnem stworzeniu, i po trzecie, że szkoda było ładniutkiego zwierzątka na taki cel. Trzy psy moje, mianowicie Bobuś, mały, biały, cięty pokurcz z krwią teriera, Murkuś, czarny, podpalany, szorstkowłosisty jamnik, nagrodzony pierwszymi premjami, i jedenaście miesięcy liczący, czerwony, krótkowłosisty brat tegoż, Żakuś, innego coprawda były zdania.

Jazgocąc, skomląc, piszcząc i szczekając tańczyły dookoła mnie, jakby prosić chciały: „Daj nam przecież tego śmierdziucha, chcielibyśmy się z nim kapeczkę pobawić!”

Ponieważ borsuk nie chciał żreć ani chleptać, posłałem po cmoczek gumowy i napełniłem butelkę od piwa przestudzonem mlekiem. Wyraziwszy kilkakrotnie głośnem skrzeczeniem swoje niezadowolenie z powodu niezwykłego zapachu gumy, borsuk począł krzepko i bez przerwy ssać, a z ślepi trzech psów na ziemi błyszczała chęć mordy. Przed południem odebrałem jaźwca, popołudniu już biegał za mną, gdy zoczył butelkę w ręce mej. Po trzech dniach zupełnie do mnie przywykł,

i natychmiast przestawał skrzeczeć, skoro usłyszał mój głos. Właził mi wtedy na prawy but, oblizywał z powagą i namysłem lewy, lub kurczył się nagle, aby zębami i pazurami straszną urządzić rzeź między pasorzytami, które mu się w szczecinie zagnieździły. Pełno bowiem było na nim długich, grubych pcheł i jeszcze grubszych kleszczów, tak pełno, że cały brzuch jedną przedstawiał ranę. Rzetelna kuracja maściowa uwolniła go na zawsze od tej plagi.

Na sypialnię przeznaczyłem mu w piwnicy skrzynię, napchaną starymi derami, w której się wylegiwał do woli. Gdy chciał wyjść, skrzeczał przeraźliwie i wytrwale i drapał jak warjat o drzwi piwnicy.

Skrzek jego był tak przenikliwy, że pobudził w nocy cały dom; musiałem wstać i przygotować borsuczkowi butelkę. Słaby coprawda nie był; ponieważ nocą zawsze hałasował okropnie w piwnicy, kazałem go wieczorem ciepło otulić i skrzynię przytłoczyć żelazną kratą, obciążoną dwoma ciężkimi kamieniami. Atoli nad ranem póty wiercił się w posłaniu, póki nie zwałił kamieni z krat. Lubił schludność. Potrzeby swe załatwiał w kącie piwnicy, przed którym leżał kamień; nader ucieszenie wyglądało, gdy w razie potrzeby raczkował wysuwając się nad kamieniem z wielkim mozolem.

Głosy, które wydawał, składały się z przenikliwego skrzeku, gdy był głodny, albo gdy się nudził, z głośnego fukania, jeżeli się ktoś znienacka do niego zbliżył, przyczem jeżył szczecinę, nadymał się i usiłował, o ile się dało, zabezpieczyć sobie tyły, w zadowolonym cmokaniu, gdy otrzymał butelkę, i w gniewnym sapaniu, jeśli mu się coś nie podobało.

Dość długo trwało, zanim psy do niego przywykły. Bardzo już rozumny Bobuś ignorował go, gdy mu oświadczyłem, że borsuczek jest grzeczny, i że trzeba go szanować. Murkuś

ślepiął na niego z nienawiścią, lecz zbyt dobrze był wychowany, aby go zaczepić. Młody Żakuś natomiast rzucał się na niego z wściekłością, skoro go zobaczył, i wtenczas za każdym razem dochodziło do wielkiej awantury. Lecz gdy pies się przekonał, że jaźwiec cieszy się naszą protekcją, począł się uspokajać. Z boku tylko na nas patrzył i robił minę, jakby powiedzieć chciał: „Jeżeli wdajecie się z takim śmierdziuchem, to ja zrywam z wami.“ Po dwóch tygodniach psy przyzwyczyły się do borsuka; mogłem zostawić je razem, coprawda wtedy tylko, gdy dawałem baczenie.

Borsuk, wypijając codziennie do półtora litra mleka, urosł też porządnie i umiał już dzielnie bronić skóry swej. Po trzech tygodniach wszelka obawa o niego była zbyteczna. Psy żadnej krzywdy mu nie czyniły, były nawet rade, gdy on ich zostawiał w spokoju. Miał bowiem nikczemny zwyczaj, ustawicznie kąsać je w tylne nogi, a że im nie wolno było zemścić się, więc wyrzywały, samym widokiem jego niemile dotknięte, lub uchylały się od zaczepów jaźwca, wskazując na stołki i ławy. Najgorzej wychodził na sprawie terier, którego czarnobiała głowa przypominała widać borsukowi jego mamę; skoro bowiem Bobuś się ukazał, jaźwiec rwał za nim i usiłował ssać; takie wymagania zawsze napełniały Bobusia sprawiedliwym oburzeniem i uzasadnionym zakłopotaniem. Z czasem psy zaprzyjaźniły się z małym borsukiem i bawiły się z nim, przyczem często odbywały się sceny, które wszystkich, co patrzeli na nie, do łez ubawiały. Najucieszniej wyglądało, gdy jamniki spychały borsuczka z jednego stopnia schodów na drugi, a terier, wietrznikiem podważając brzuch jaźwca, znowu go windował w górę.

Żakusia najmiłą zabawą było, chwycić borsuczka za kark i kwadransami go obnosić. Byłby go najchętniej zdławił, lecz jaźwiec nigdy nie pozwolił chwycić się za gardziel, zawsze

tylko kark nadstawiał do tej gry, a nos spuszczał; gdy zaś jamnik za wiele dokazywał, borsuk tracił cierpliwość i zaczął kasać, co się zowie.

Miesiąc maj przeżyłem w górach, gdzie Żakuś miał sposobność pracować za sfarbowanym tropem kozła i dławic starego lisa, ale gdzie też przebył nosaciznę, i gdzie stracił brata swego, Murkusia, przez nieszczęśliwy wypadek. Gdy wróciłem, borsuk był prawie mocniejszy od jamnika i tak pewny siebie, że się niczego już nie bał. Nader zabawne było obserwować, w jaki sposób Żakuś teraz się wobec niego zachowywał. Z początku pamięć o nim widać zatarła się u niego, bo natychmiast wsiadł mu na skórę. Atoli, gdy jaźwiec dzielnie się bronił, i gdyśmy jamnikowi dali do zrozumienia, że mu nie wolno zaczepiać borsuka, zupełnie go ignorował i mnie nawet schodził z drogi, skoro zwiertzył, że zajmowałem się jaźwcem. Żakuś stał się zazdrosny i był obrażony.

Leżałem razu pewnego po południu na szezlongu i czytałem. Ponieważ borsuk nieustannie mi przeszkadzał, odepchnąłem go, przyczem spostrzegłem, jak ślepie Żakusia błyszczały z ukontentowania; pozwoliłem mu położyć się obok siebie; takich względów dotąd nigdy nie doznawał. Od tej chwili zmieniło się zachowanie psa wobec jaźwca; bawił się teraz chętnie z nim, bo się przekonał, że on jednak więcej znaczył od tamtego.

Najchętniej zabawiali się „w norę”. Borsuk wsuwał się pod szezlong, a Żakuś usiłował wślizgnąć się za nim. Jaźwiec świetnie się bronił, Żakuś zaś nie dał się z pod kanapy wyprzeć, oszczekiwał borsuka zapamiętale i wywlekał go za kark z „nory”, gdy mu się oszczekiwanie sprzykrzyło, poczem dochodziło do szalonej gonitwy pod krzesłami i stołami.

Borsuczek dotąd nie zabierał się jeszcze do samodzielnego przyjmowania pokarmu i napoju, a interesował się jedynie

butelką. Pewnego dnia stracił ostatni ząb mleczny, kásając w rękę znajomego, który go drażnił. Pół godziny potem rzucił się jak szalony do miski, napelnionej ryżem omaszczonym i kawałkami mięsa szczególnie ponętnie przyrządzonym i spożył całą porcję przeznaczoną dla psów, które z długimi nosami patrzyły na tę przykrą dla siebie procedurę.

Od tej chwili też jaźwiec żywo zainteresował się ogrodem, tłukł się w nim po wszystkich kątach, głośno parszając i sapiąc wiercił nosem w powoju i kompoście i cmokając zjadał tłuste glisty i ślimaki, które napotykał, mimo, że w dniu poprzednim z giestem głębokiego obrzydzenia wypluwał i wykrztuszał siekane mięso, którem mu paszczkę napchałem. Teraz zaś pożerał wszystko, co mu się nawinęło; najchętniej brał biały chleb z mlekiem, lecz nie gardził też kartoflami, mięsem, warzywem, surową marchwią i owocem, a psy bardzo się musiały śpieszyć, jeżeli wogóle coś dla nich skapnąć miało.

Im starszy i mocniejszy był borsuk, tem stał się bezczelniejszy. Gdy przebywał ze mną w pokoju, nie pozwalał mi siedzieć spokojnie przy biurku. Wymagał, żebym się wciąż nim zajmował; jeśli tego nie czyniłem, kasał mnie boleśnie w kostki. Kiedy zamknięty był w piwnicy, taki podnosił wrzask i tak rumotał drzwiami, że alarmował cały dom. Psów już dawno przestał się bać; gonił je w domu i ogrodzie i doprowadzał Żakusia ustawicznym szczypaniem do takiej pasji, że pies rzucał się na niego z wściekłym ujadaniem i szarpał nim zawzięcie.

Postanowiliśmy wkońcu po dłuższej naradzie, sprezentować nieznosnego wychowanka ogrodowi zoologicznemu.

Kilka zaledwie dni upłynęło od czasu, kiedy borsuk tam przebywał, gdy pewien znajomy nam doniósł, że jaźwiec dzieli

kwaterę z ośmiu psami eskimosowemi, które haniebnie się z nim obchodzą. Strapiony pośpieszyłem do zoologu i udałem się wprost do kojca tych psów. Lecz nie było między nimi jaźwca; gdy się u dozórcy o niego dopytywałem, odpowiedział mi, śmiejąc się: „Ten? Nim miały psy poniewierać? Właśnie przeciwnie! Musiałem go eksmitować, bo nie przypuszczał psów do miski; teraz siedzi razem z małpami!”

O biedny ty mój borsuczku! — pomyślałem, bo wiedziałem, jak podłą jest małpia hołota. Atoli, przybywszy do klatki małp, zobaczyłem, jak jaźwiec w niej spokojnie i poważnie sobie spacerował, i jak zjadał wszystko, co publiczność przez kratę mu podawała; małpy zaś wlaży na najwyższe gałęzie akacji, i stamtąd, nie mając odwagi zleść, używały bezpłatnego widoku na obzerającego się ich kosztem borsuka. Skoro która z nich na moment śmiała spuścić się na parter, jaźwiec natychmiast rzucił się na nią i ciął ją porządnie.

Przyzwyczajony do światła dziennego i do ludzi, kręcił się przez cały dzień w klatce i bawił publiczność swojemi kawałami. Umiał nawet kozły przewracać; kto go tego nauczył, nie wiem. Małpy poczęły już przyzwyczajać się do niego, trzymały się jednak przezornie zasady: gdzie kogo nie proszą, tam go kijem wynoszą.

Jesienią borsuk był do połowy wyrośnięty, wdział szatę zimową i wyglądał bardzo okazale. Lecz wciąż trzymały go się głupstwa. Co rano małpy wypuszczone z sypialni do klatki na wolnem powietrzu rzucały się do basenu, aby pić; jaźwiec każdej, którą dosięgnął, dał szturchańca, że wpadała w wodę, i cieszył się, widząc, jak mokre małpy z rezerwoaru się gramoliły.

Lecz na stałe zajęcie to nie dawało dostatecznego upustu jego energii; począł więc rozrywać asfaltową podłogę, i to tak

gruntownie, że go da sąsiedniej zamknięto klatki. I tu jednak nie zachowywał się poprawnie; wypowiedziano mu tedy obszerne, pańskie mieszkanie w klatce dla małp i przeniesiono go do starej zagrody dla jaźwców, co mu się z początku wcale nie widziało, bo był zwyczajny wygodniejszego pobytu. Ponieważ cegły i kraty stawiały tu opór jego popędowi niszcycielskiemu, wyszukał sobie inną zabawę, która polegała na tem, że jeżozwierzom, sąsiadom swym, wyrywał, ilekroć który zbyt się zbliżał do jego zagrody, z wielką szybkością jeden lub więcej kolców, które potem, gdy nie miał nic lepszego, spokojnie i z namaszczeniem pozuwał.

Dziś jeszcze, kiedy już lata minęły od czasu, że go karmiłem butelką, doskonale mnie pamięta, i skoro daje znak świstawką, wypada ze swojej nory i czeka na spodziewany przysmak.

Z moich piesków miłych zaś żaden już nie żyje.



„Głupia sprawa”, pomyślały króliki, „doprawdy, bardzo głupia sprawa.”

Trzy dni bowiem minęły od czasu, kiedy lasu ani pola nie widziały. Od trzech dni podróżowały w skrzyni czy pudle jakimś, które trzęsło nimi i szamotało, że ogłupieć było można. Ilekroć to szarpanie i trzęsienie ustawało, zdawało im się, że zbliża się koniec męki; ale nic się nie zbliżało, jeno ropot i turkot i szarpanina w dalszym szły ciągu. Wesoło i przyjemnie żyły sobie w swoich piaszczystych wzgórzach, żerując smaczne kaski, jakimi je darzyły pola i łąki, nabierały skromu, krzątały się pilnie koło swych nor i bawiły się czasem w łapanego z psami pasterskimi, z temi głupimi psiakami, co to pojąć nie mogły, że królik zwinniejszy jest aniżeli wszystko na świecie, co ma cztery nogi i sierść, i że może uczynić się niewidzialnym, gdy zechce.

Lecz pewnego dnia przybyli ludzie z psami i pozaganiali wszystkie króliki z zarośli i zagajów do jam. Nie było to jeszcze żadne nieszczęście, boć pod ziemią ciepło jest i wygodnie. Ale potem nastąpiło coś strasznego: długi, biały zwierz jakiś z wonią tchorza i o ślepiach czerwonych wtargnął do nor z dzwoneczkiem u karku i taką zgрозą napęłił króliki, że w śmiertelnym strachu wypadały z podziemnych swych mieszkań, to znaczy: miały zamiar tak uczynić; lecz, zanim uświadomiły sobie, co się z nimi

dzieje, już były zaplątane w sieć i przewracaly w niej koziołki na wrzosie.

I teraz dopiero rozpoczęła się właściwa niedola. Wpakowano je na łeb na szyję w miech, w którym rzucaly się dziko w śmiertelnej trwodze, póki się nie zmęczyły i, drżąc na całym ciecie, nie zbiły w gromadkę. Potem zaniesiono je w miechu gdzieś daleko i wpakowano w skrzynię. Znalazły tu wprawdzie rozmałą karmę, lecz nic nie ruszyły, tylko drapały i obgryzały ściany pudliska, póki z sił nie opadły. Nastąpiła długa, okropna podróż po chropowatych drogach. Gdy wreszcie ustał turkot kół, króliki bardzo były rade, lecz radość ta była przedwczesna, bo skrzynię na innym złożono wozie, i męczący transport przez ćwierć doby w dalszym toczył się ciągu. Wozisko trzęsło niemiłosiernie, i trzy króliki co chwilę tłukły się jeden o drugiego. „Brrr!” zawołał nareszcie gajowy, i koń stanął. Wieko pudła uchyliło się, szorstka jakaś dłoń się ukazała, chwyciła jednego królika po drugim i zrzuciła je z wozu na ziemię wrzosem porośłą.

Raźone światłem słonecznym, odurzone zapachem sosen i ziół polnych, siedziały chwilę bez ruchu. Lecz chwilę tylko; potem każdy z nich dał drapakę i znikł w wysokich zaroślach. Za zmykającymi królikami rozlegał się głośny śmiech gajowego. Siedziały więc trzy nieszczęśliwe istoty przyczajone pod krzaczkami wrzосу i nie wiedziały, co począć. Było cicho i głucho dokoła.

Sójka gdzieś zaskrzeczała, ważki bujały w powietrzu, świercze skwierczały, makolągwy i trznadłe świergoliły, pachniało wrzosem, sosną i brzozą. Lecz było tu jednak inaczej niż w ojczystej kniei.

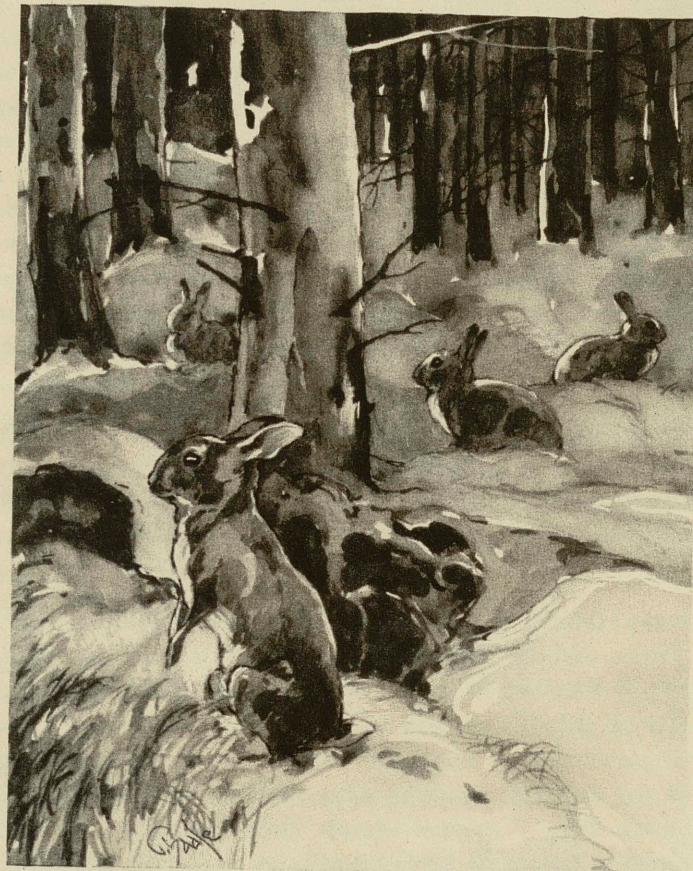
Tam wszędzie pełno było przesmyków króliczych, wszędzie dokoła leżał pomiot króliczy, i powietrze przesycone było wonią króliczą.

Tu zaś nic z tego wszystkiego nie było. Owszem, pachniało zajacem i sarną, ale nie królikami.

Tak medytował pod swoim krzakiem Hopek, samiec króliczy. Był on z przyrodzenia bardzo ostrożny, bo natura obdarzyła go, w przeciwieństwie do innych królików, czarnym jak węgiel smużkiem z srebrną strzałką na czole, tak że na piasku i w gaju łatwo wpadał w oczy. Gdy przesiedział był z kwadrans pod krzaczkiem wrzosu, postawił stoczek i rozpatrywał się. Młode sosenki i brzozy, wrzos, piach i srebrnoszary pień starej sosny — to było wszystko, co zoczył. Hopek pokicał w kierunku owego pnia, gdyż tam lepsza trawka zdawała się rosnąć. Wyfryzowawszy się, zjadł porcję listków, poczem jął rozszerzać mysią dziurę prowadzącą pod ów pień, co moment przerywając pracę i pilnie wietrząc. Po godzinie nora tymczasowa była gotowa.

Po pracy Hopek był głodny. Wrzosem gardził, więcej jeszcze korą sosnową i brzozową. Przysiadł więc na skokach i badał wiatr dokoła. Nieco w lewo pachniało koniczyną. Hopek ostrożnie począł kicać w tym kierunku. Dalibóg, miła woń coraz silniejsza, a tam wśród szarej drągowiny sosnowej już prześwieca łączka z soczystą koniczyną. „Za jasno jeszcze, o wiele za jasno“, myśli Hopek, i zatrzymuje się nad brzegiem zagaju. Coś białego kroczy w odleglejszej części łąki w tę i ową stronę. „Bocian“, mówi do siebie królik. Kwilenie dochodzi go z błękitów. „To myszołów“. Są to stworzenia, których on się nie obawia. Lecz teraz od strony pola rozlega się głośne szczekanie. „A więc psów też tu nie brak; czas tedy pomyśleć o bezpiecznej norze.“

Hopek nasyciwszy się trawą, rosnącą nad brzegiem rowu, cofa się w zagaj śpiesznie, lecz ostrożnie. Co to? Tu przecież czuć królikami! Hopek przez chwilę bada wiatr. „Ależ to



Migaweczka." Po dwakroć tylnym skokiem zastukał o ziemię; zaraz też szary cień wynurza się między dwoma krzaczkami wrzosu. Ona. Siedzi bez ruchu, jakby skamieniała; jak z bronzu ulany sterczy naprzeciwko niej Hopek. Żadne z nich nie rusza się. Hopek począł strzyc słuchami i przykicał bliżej. Migaweczka w nogi. Hopek zatrzymuje się i stuka znowu. Wtedy ona nabiera zaufania. Wiatr kotłuje, i woń od czarnej istoty z przeciwnika uderza jej nasek. „Zdaje mi się, że to Hopek!" On już jest przy niej. „Czyś to ty?" „A ktoby?" „To ślicznie." „A gdzie Śmigielka?" „Nie mam pojęcia." „Nie poszukamy jej?" „Później; teraz trzeba koniecznie norę wykopać, psy są w pobliżu; jeden kanał już skończyłem." „Wiem." „Skąd wiesz?" „Napotkałam się na niego i założyłam drugi jeszcze ganek pod pień sosnowy." „Kapitałna z ciebie dziewczucha! Lecz chodź, wygrzebiemy teraz komorę, a wtedy psy mogą nas pocałować w nos!"

Zwinnie i zgrabnie skaczą przez zarośla. Hopek aż się rozswawolił, odkąd znalazł towarzystwo i w nadmiarze uciechy najróżniejsze, zwarjowane wywija kominki, a Migaweczka zaraziła się jego wesołością i również odważa się na swawolny sus poprzez barwny kamień.

Skoro przybyli do starego pnia, zdrętwieli ze strachu i przypnęli, bo tam się coś ruszało. „Poczekaj, zbadam wiatr", rzecze Hopek i cichutko czai się boczkim, aż podkradł się pod wiatr. Lecz stuka zaraz wesoło, bo nos mu zdradza, że tam u pnia kręci się Śmigielka. Ale oto i ona, ta pocziwa grubasica. Kołkując oczekuje przybyszów. „A czego wy tu chcecie?" „Chcemy kanały złączyć komorą." „Już dawno to zrobiłam; ale wiecie, co wam powiem? Spojrzcie w tamtą stronę — rośnie tam gęsty krzak ciernia. Od niego do komory nie ma więcej niż sześć długości króliczych; jeśli nam się uda

połączyć komorę z tym krzakiem, tośmy wygrali!“ „Racja! Uzyskamy też tym sposobem bardzo praktyczne nowe okno do naszej nory!“ „A więc jazda!“

Rozpoczynają gorliwie kopać. Hopek zakłada od krzaku cierniowego, Migaweczka od komory, a Śmigielka łączy drugi kanał z oknem pod krzakiem, raz dla lepszej wentylacji, powtóre dlatego, że im więcej jama posiada ganków, tem łatwiej umknąć można, gdyby taki smrodliwy tchórz zabłąkał się kiedy do nory.

Mysł Śmigielki, aby połączyć jamę z krzakiem cierniowym była szczęśliwa; zaledwie bowiem trójka królików o zmierzchu poczęła skubać koniczynkę nad brzegiem łąki i delectować się soczystymi jej listkami, zoczyła nadchodzącego drogą chłopca w towarzystwie szpica, który uganiał się po polu. Skoro pies zwiertzył króliki, puścił się za nimi jak opętany, i chociaż żadnego z nich nie złapał, to przecież gonił wytrwale za szlakiem. Hopek i Migaweczka kipiały ku jamie najkrótszą drogą przez zarośla; Śmigielka zaś tak często i zgrabnie przed psiakiem kluczyła, że szpic całkiem zgłupiał i goniąc bez opamiętania za zwinnym króliczkiem, biegł na oślep ku miejscu, gdzie stracił z oczu osmyk Śmigielki, wpadł w zdradliwy krzak i głęboko wtłoczył sobie w wietrznik suchy cierń. Zaskowyczał srogim lamentem, rozlegającym się daleko w zaroślach, i żałośnie skomląc nawrócił do swojego pana.

Trójka królików pod ziemią wybuchła śmiechem. „Co się to stało?“ pyta Hopek. „Nic takiego; zwabiłam głupiego szpica w ciernie i pożgał sobie trawę; zdaje mi się, że na dłuższy czas pozbyliśmy się tego kondla.“ „Mnie się też tak zdaje“, rzekła Migaweczka, „bo nieźle kwiczał.“

Poczekawszy nieco w norze, Hopek pokicał do ciernistego okna, badał ostrożnie i stukaniem wywabiał swoje towarzyszeki.

Wieczerali długo na łące i niespokojnem swem zachowaniem tak zdenerwowały parę zajęcy, które od lat miały tu swoje żerowisko, że szaraki, złe, w drugi koniec łąki się wyniosły; także sarnik, regularnie wychodzący u jej wylotu, spostrzegł ku swemu nieukontentowaniu obcych przybyszów, głośno strasząc dał wyraz oburzeniu swemu i osowiały poszedł śladem kotów.

Gdy się zupełnie już ściemniło, popłoch straszny padł na króliki; w drągowinie bowiem przy drodze piaszczystej powstał nagle trzask i łomot; coś ogromnie dużego ciągnęło zaroślami w stronę pól. Nie wiedziały, co to takiego, bo tam, skąd przybyły, nie było jeleni. Lecz woń, co szła od tropów, inna była od tej, co idzie od ludzi, psów, lub lisów; wkrótce więc wychyliły się znowu z gąszczu.

Po tygodniu wzięły się w nowe warunki. Oprócz jamy głównej wygrzebały sobie jeszcze z pół tuzina nor tymczasowych i przebiły od głównej jamy cztery długie o kilku odnogach kanały, których wyloty znajdowały się pod pniami drzew lub w najgęstszych zaroślach sosnowych.

„Teraz niech przyjdzie, kto ma ochotę“, rzekła pocziwa Śmigielka, a w myślach dodała: „Dobrze zresztą, żeśmy się urządzili, bo do kopania nie mam już czasu.“ Odosabniała się z dniem każdym coraz więcej i wyglądała coraz mizerniej i coraz niepokajniej, a gdy Hopek za nią chciał podążyć, grzmociła go po łbie, że dudniało. Podobnie zachowywała się Migaweczka; i ona poczęła trzymać się osobno. Hopek siedział więc sam w ogromnej, rozgałęzionej jamie, medytował nad chimerami kobiet i tęsknił za starą, ojczyzną siedzibą swą, gdzie nie jedna tylko Migaweczka czy Śmigielka, lecz wiele było pięknych dziewczec i kobiet króliczych, młodych i starszych, otyłych i hoźnych, tak że żaden basza króliczego rodu, zwłaszcza

taki piękny, czarny z srebrną strzałką na czole, nie potrzebował przez całą dobę nudzić się.

Pewnego dnia Hopek ogromnie głupią zrobił minę i rzekł do siebie; „A to co? Czy śnię, czy może młoda koniczynka uderzyła mi do głowy?” Nad źródłem bowiem obok krzaku cierniowego roilo się od maleńkich króliczków; siedm ich było, sześć szarych i jeden czarny. „Tym muszę się z bliska przypatrzeć”, pomyślał; lecz wtem Śmigielka, której wcale nie był spostrzegł, wypadła z poza kępy paproci i taka była niełaskawa i nieprzystępna, że wołał nie wchodzić jej w drogę. Po trzech dniach spotkał na murawie przed dragowiną znowu młode króliki, wprawdzie pięć tylko, ale między niemi dwa czarne. I gdy je obejrzeć chciał, Migaweczka również bardzo niełaskawie go przyjęła. Lecz po tygodniu młode igrały sobie już same, a obie matki znów mile przyjmowały towarzystwo Hopka.

Upłynęły zaledwie trzy miesiące, a kultury sosnowe inny przedstawiały widok jak w onym dniu kwietniowym, kiedy gajowy zasiedlił rewir królikami. Wszędzie widać było rozgrzebaną ziemię, przy drogach, nad polem, w rowach, i wszędzie pełno było pomiotu króliczego. Gajowy cieszył się, gdy o zmierzchu z chatowni na dębie lustrował teren zapomocą szkieł i wszędzie widział igrające króliki, lecz dziwił się, że znikł mocny kozioł, który tu zwykle wychodził. Wieczny bowiem niepokój w kulturach i w dragowinie nie przypadł sarnikowi do smaku. Za dnia i w nocy wciąż coś szeleściło i chrobotowało, wciąż coś stukowało i skrobało, wszędy woń obcych przybyszów uderzała jego chrapy i wszędy pełno leżało pomiotu króliczego. Wyniósł się tedy do sąsiedniego łowiska.

Również przepadły zające, które dawniej co wieczór żerowały nad brzegiem łąki; z początku umknęły się ku środkowi jej, lecz gdy ścieżki królicze w trawie i dotąd sięgały, koty także wyniosły się za granicę.

Stary łazęga, Rudek Mikita, wkrótce zmiarkował, że w kulturach nowa przybyła zwierzyna. Przez dwa miesiące dokładał wszelkich starań, aby które z nieznanym sobie zwierząt złowić, lecz nigdy mu się to nie udawało; chociaż najsprytniej i najprzebieglej zabierał się do dzieła, zawsze mu się zdobycz wymknęła. Wtedy stawał przed oknem nory, wsadzał wietrznik w kanał, łykał ślinkę jak pies przy stole weselnym, kopał i grzebał w ziemi aż do wyczerpania sił, by w końcu głodny i zły w dalszą powlec się drogę.

Raz byłby nieomal złapał Migaweczkę, ale Hopek głośno na czas jeszcze zastukał o ziemię, Migaweczka pokłuczyła trzykrotnie i wemkła się do nory przez okno w krzaku cierniowym; lis mocno o ciernie się pokłuł i umykał jak oparzony.

Podobnie Zbójko Kurokrad, jastrząb, nie miał szczęścia z królikami, mimo że lawirował chytrze wzdłuż brzegu kultur. Za każdym razem, gdy już zdawał się być pewien zdobyczy i mówił w myślach do upatrzonej ofiary: „No, rób testament”, chochliki szare i czarne na czas znikały w zaroślach lub w oknach nor. Jedynie Kulistyleb, puszczyk, miał powodzenie i złowił młodego króliczka, porwawszy się z dębu bez szelestu. Reszta uratowała swój smużek, rosła i rozwijała się, i gdy nowa wiosna zawitała w kniei, wtedy już nic nie znaczyło, czy lis stłukł, albo puszczyk lub jastrząb umorzył jednego lub drugiego króliczka; było ich bowiem już wielkie mnóstwo, i co cztery tygodnie przybywało ich więcej.

Wkrótce twarze chłopów poczęły wydłużać się i oczy stawać kołem, gdy ujrzeli ścieżki w zbożu, i jeden przed drugim

narzekał na tę nową plagę. Kiedy sprawa pogarszała się z każdym miesiącem, wpadli z gębą na gajowego, lecz ten udawał, że o niczem nie wie; podobnie postępował dzierżawca polowania, który oświadczył, że króliki i jemu są ciężarem, bo mu rugują z rewiru zające i sarny. Tak zresztą też było; od czasu bowiem, kiedy Hopek, Śmigielka, Migaweczka, ich potomstwo i potomstwo tego potomstwa i t. d. rozgościli się w wzgórzach łowiska, zające pomału się wynosiły i sarny przeszły do sąsiedniego rewiru, gdzie dla bagnistego terenu i podmokłych lasów króliki nie znajdowały warunków bytu.

Gdy już rady nie było innej, dzierżawca urządzał specjalne na nie naganki; lecz chociaż gęsto przez cały dzień pukano, to przecież na dziesięć strzałów zaledwie ćwierć wypadało królika, bo, jak mówił dzierżawca, „z przodu te szatany piekielne za szybkie, a z tyłu za krótkie“. Gajowy kupił fretkę i sieci i tym sposobem chciał im wsiąść na skórę; ale w gęstych kulturach i w rozgałęzionych norach, gdzie ani początku ani końca dopatrzyć się nie było można, nie opłacało się i to. Nastawił więc żelaza denkowe w oknach jam i w miejscach, gdzie króliki kopać lubiły, lecz one wnet się połapały i nie szły na ten lep. Gajowy zapowietrzał tedy nory zapomocą eksplodujących gałek siarczanych, lecz i ta manipulacja nie dała oczekiwanego wyniku, gdyż nory zbyt wiele liczyły kanałów i ganków. Polowanie wreszcie z usadką za mało się opłacało.

Tak więc Hopek, Śmigielka i Migaweczka wiedli sobie nadal żywot wesoły, i ród ich rósł w liczbę z roku na rok.

Dawno już przekroczyli granice obwodu, wszędzie, gdzie warunki sprzyjały, nowe zakładali kolonje, i wszyscy, co posiadali rolę lub ogrody, złorzeczyli im.

Atoli królikom złorzeczenia bynajmniej nie szkodziły.

„Człowiek mocny jest i mądry“, mawiał patriarcha rodu, Hopek, „lecz przeciwko nam nic wskórać nie może. Śmigielka kociła się w przeszłym roku ośm razy, zwykle miała po sześć, czasem mniej, czasem więcej, lecz w przecięciu sześć. Sześć razy ośm jest czterdzieści i ośm.“

„A ja ostatniego roku miałam trzydzieści i cztery“, powiada Migaweczka.

„No więc“, rzekł Hopek.

Rus Wacho, stary kot stepowy, siedział w kotlinie na gołym wzgórzu, wygrzewał skromny swój kożuch w słońcu południowym i rozmyślał o życiu i śmierci. Dużo w życiu przeszedł mokołu i strachu. A jednak przyznawał, że to życie nader było miłe. Na zielonych niwach spędził swoją młodość, wiek młodzieńczy upłynął mu w lesie, lata dojrzałe przeżył w stepie, bo pole i las nauczyły go nienawidzić ludzi, i wtenczas tylko opuszczał pustkowia, gdy serce jego zapragnęło czułości.

Tak więc żył w samotności jak pustelnik. Żerowiska były wprawdzie chude, ale za to strach zjeżony i bladolicy nie czaił się tu wiecznie koło niego, jak wtedy, gdy Rus w koniczynie polnej lub na leśnej łące soczystej żerował; spokojnie i bez lęku tutaj żył, kąpał członki stare w sykim piasku wzgórza i przysłuchiwał się trelom skowronka stepowego.

Atoli Wacho przyszedł dziś do przekonania, że należałoby się nieco urozmaicenia wprowadzić w potrawach; żadna bowiem filozofja nie pociesza żołądka, żadna mądrość świata nie nasycy go.

Pod wsią była już teraz młoda ozimina, nie brakło też modrej kapusty ani kory młodych jabłoni, pierwszorzędnego delikatesu, — koniczyna była także już dosyć wysoka, a nad rowami rosły różne smakowite zioła. Wacho czuł, że mu się ślinka zbiera za żółtymi strugami.

Ale oczywiście — bez niebezpieczeństwa nie odbywała się taka uczta pod wsią. W polu wciąż bobrowały Hektor lub Lord, Pikas lub Tref, albo inny pies paskudny. Polowy wszędzie rozstawiał żelaza denkowe i berlińskie, a dzierżawca polowania zawsze trzymał się z pukawką swoją w pobliżu wsi; był bowiem mocno otyły, i cierpiąc przytem na wieczne pragnienie, niechętnie oddalał się od oberży.

Lecz ostatecznie — deliberował Wacho — czyż warto resztkę życia spędzać w nędzy? Raz szarakowi śmierć, a lepiej przecież w ogniu paść do nóg dobremu strzelcowi, aniżeli w starości paść ofiarą wronich dziobów.

Wyfryzował się więc starannie i pokicał, wpierw pomału, potem sporzej ku wsi, gdzie o gęstym przybył mroku.

Noc była miła, śnieg miękki i suchy, powietrze spokojne, mróz niezbyt silny, niebo zachmurzone, i Rus wraz z towarzyszami nie potrzebował obawiać się starego szpitalnego miotlarza Kuby, co to w jasne noce za kupą mierzwy dybał ze swoją zardzewiałą pistonówką na zające. Wacho długo się z każdym witał, dużo opowiadał, długo żerował, i tak się zdarzyło, że się spóźnił i ku swemu pustkowiowi się wybrał dopiero, gdy koguty dawno zapomniały o pierwszym pianiu, i dzień rumiany już wstawał. Towarzyszył mu młody, mocny wrześniak, Toś Chyżyskok, syn przyjaciela, który ostatniej jesieni podczas wielkiego polowania w kotły padł z dymem. Wacho nakłonił Tosia, aby się do niego przyłączył, chciał go bowiem wychować i zrobić swoim spadkobiercą.

Kiedy dobiegli do brzegu pustkowie, ogarnęło ich zdumienie; postawiwszy bowiem słupka, zauważyli długi rząd kolorowych szmat, trzepocących się przed nimi w wietrzyku porannym. Przestraszeni cofnęli się więc żywo, kluczyli często, mylili szlak i wygrzebali sobie wreszcie kotliny pod rozłożystym krzakiem jeżyny w pobliżu stawów.

We wsi tymczasem zawrzało życie. Trzydziestu mężów przybyło, uzbrojonych od stóp do głów, zgroźny przedstawiając widok w swym stroju bojowym. Poszli do oberży, jedli i pili, kurzyli fajki i cygara, prawili sobie smalone duby, okładali harapem psy, które się gryzły, szczypali wszystkie istoty żeńskie niżej pięćdziesiątki w ramiona, na których plamy ciemne i sine występowały, opowiadali sobie mniej lub więcej słone, odgrzewane stare dowcipy i wyruszyli wreszcie, napęlniając czyste powietrze zimowe dymem tytoniowym, ciszę poranną gwarem i ciesząc się pięknym, spokojnym, pogodnym dniem, jakby stworzonym na zajęczą rzeź.

Tuż za wsią założono pierwszy miot. Kniejówka zadzwieczyła, strzelcy i naganiacze ruszyli ku środkowi kotła. Z surowych gardzieli wyrwał się wrzask wojenny i targnął porannem powietrzem zimowem.

Na zaśnieżonem polu ukazało się coraz więcej szarych plam, które wydłużały się w kołki, kicały niezdecydowane to w tę to w inną stronę, lub jak opętane kipiały naprzelaj. A potem huknęło tu, zabłysło się tam, zadymało owdzie, i jeden zajęc po drugim kurczył się, stawał się coraz krótszy, został w końcu na miejscu, lub też rzucał się czasem pionowo w górę, i leżał już potem bez ruchu. Inne w ogniu koziołkowały, rozpryskując śnieg, inne jeszcze kipiały dalej jak zdrowe, by nagle zakończyć życie.

Kocioł był coraz węższy, powłoka śniegu coraz więcej zbrózdzona szlakami szaraków i uderzającymi w nią śrutami, i jasnoczerwone plamy i smugi oraz czarne, filcowe przybitki coraz więcej pstrzyły jej bezbarwność.

Wóz drabiasty zabierał ubite koty; założono następny miot, po nim trzeci; potem udano się do myśliwskiej gospody nad stawem, gdzie gospodarz i jego córki napęlniali talerze zupa

grochową, szklanki zaś grzanem winem lub ponczem. I rozległ się taki gwar, że pani Czubatka, sójka, i pani Prózna, sroka, przestraszone odleciały, wszędzie rozgadując, iż strzelcy znowu się zjawili i już stosiedmdziesiąt zajęcy upolowali.

Wacho słuchał z uwagą, gdy pani Prózna opowiadała o tem panu Wiercigłowie, srokoszowi, i pomyślał sobie, że owi oprawcy chyba nie przyjdą w jego okolicę, skoro już tyle uśmiercili kotów; lecz dla pewności szepnął Tosiowi: „Siedź spokojnie, mój chłopcze, i nie ruszaj się, chociażby nie wiedzieć co się działo; kto się nie pokaże, tego prześlepią, a kogo prześlepią, tego ołów nie trafia.”

Lecz stało się inaczej. Znów kniejówka zadzwieczyła. „Żeby karki poskręcali“, mruknął Wacho pod osłoniętymi strzyżami, „oni doprawdy jeszcze raz zakładają, a słońce już przecież do snu się kładzie: i zdaje mi się, że ta zgraja wprost ku nam wali.”

Strasliwy ryk ze wszystkich powstał stron, ziemia dudniała, strzelby grzmiały. Toś chciał umykać, lecz Wacho syknął: „Łostań sa, ty łosle!” (gdy był zły, posługiwał się gwarą, której się jednak jako nieprzyjętej w lepszym towarzystwie był oduczył), a potem dodał łagodniej: „Nie można wiedzieć, co się stanie. Mam przeczucie, że nie ujrzę już wschodzącego słońca. Słuchaj! Jeśli legnę, a ty zostaniesz przy życiu, udasz się w step aż do wzgórza, gdzie piętrzy się grobowiec kamienny. Tam będziesz bezpieczny przez cały rok, tam nikt nie zajrzy, chyba głupie owce lub co najwyżej stary włóczęga, Rudek Mikita; on zajmująco opowiada, lecz trzymaj się zdaleka od niego; lisowi nie można dowierzać, chyba że już zimny jest i sztywny.”

Dudnienie zbliżało się, strzały gęściej grzmiały, koty migwały tu i tam, spadały koziołkując się z grobel na zamarznięte

stawy i zostały na miejscu. Naraz ryk spotężniał jeszcze. „Lis, lis“, krzyczeli naganiacze, i cztery strzały buchnęły. Wacho słyszał szelest w jeżynach i spostrzegł jak przez niego coś czerwonego, potem coś pstrego przeskoczyło, i jak tuż przed nim duży, łaciasty pies dławił lisa.

„Żeby się takie psy na kamieniu rodziły“, pomyślał stary gach mimo strachu, jaki go przejmował; lecz w następnym momencie pomknął z kotliny, inny bowiem pies nadbiegł i już kufą sięgał po niego. „Tu jeszcze jeden leci“, wrzeszczeli naganiacze. Wszelako nauka doświadczonej matki, Helki Wachowej, nie poszła u Rusa w las. Kluczył tuż przed psem raz w raz, i nikt nie odważył się strzelić. W tem grzmiot wstrząsnął powietrzem, śruty świszcząc odbiły się o lód, pies zaskowyczał, i słychać było zajadłą kłótnię.

„Zabiłeś mi psa, ty młokosie“, ryczał opasły jakiś jegomość.

„Ależ co ja temu winien“, krzyczał młody student, „nie widziałem go; po co też psisko rozbija się w miocie?“

Grubas wrzeszczał znowu: „Miał lisa aportować. Pies kosztował trzysta złotych!“

Student wołał: „Co? Trzysta złotych? No, kto tyle pieniędzy zdarł, ten się obłowił. Widziałem przecież tego psa przy robocie — na kury nie reagował, wiatru nie miał, a gonił zające, że się za nim aż kurzyło. Zapisany nie był w żadnej księdze, rodowodowej, ale zapisany był za to do klubu niepoprawnych; rasowy też nie był — a może znamiona rasowe były u niego utajone, jak u kozy łój! Trzysta złotych? Śmieszne! Może trzysta groszy!“

I tak się kłócili dalej, a Wacho, na którego nikt nie zważał, umykał, co sił, bo nie cierpiał sporów i waśni.

Żał mu było Tosia i obawiał się o niego. Mrok już zapadał, gdy dobiegł do stepu; postanowił nie troszczyć się o fladry.

Wtem huknął strzał. Wacho doznał uczucia, jakby go kto srodze biczem był lupnął przez grzbiet i uda. Strzelił do niego polowy, który związał fladry.

Wacho czuł, że koniec z nim, lecz umykał dalej, i mrok zasłonił go przed oczami strzelca.

Zrobiło mu się bardzo niedobrze, choć nie miał boleści; tylko skoki mu jakoś zesłabły i ciężko mu było oddychać.

Dowlókl się jeszcze do starego grobowca na wzgórzu, zagrzebał się w miękkim piasku, siedział spokojnie i patry wlepił w jasną konstelację gwiazd, co błyszczała nad lasem i wyglądała zupełnie jak olbrzymi zając.

Gdy księżyc wysunął swoją twarz nad drzewami, przykicał też Toś Chyżyskok. Usłuchał był rad wuja, pozostał w kotowinie, choć z trudnością tylko zdołał opanować swój lęk, i uszedł z życiem.

Dobry chłopak był bardzo strapiony, gdy zastał wuja w ciężkiej febrze, chorego na śmierć; przymknął się do niego i ogrzewał go.

Gdy we wsi zegar uderzył dwunastą, blaski chorego rozszerzyły się i zdrętwiały — Wacho patrzył w przyszłość. „Człowiek“, rzekł, „przyszedł na świat, aby bić niedźwiedzia, rysia i wilka, lisa i łasicę, orła i jastrzębia, kruka i wronę. Wszystkie koty, które na polu żyją w rozkoszach i w uprawnnych ogrodach dogadzają ciału swemu, on także wyniszczy. Lecz ujdą rzezi zające stepowe, spokojne i przestawające na małym. Potem powstanie człowiek przeciw człowiekowi; wszyscy się wymordują, i nastanie pokój na ziemi. Jelenie tylko, sarny i drobne ptactwo żyć będą, i szaraki, które będą moimi i rodu mego potomkami. Ty, Tosiu, siostrzeńcze mój, ród ten rozplenisz i potomstwo twoje panować będzie od wschodu do zachodu. Zając będzie panem ziemi, bo on się odznacza największą płodnością i najprostszym sercem.“

Puszczyk w lesie zawołał trzykrotnie: Czas w grób, czas w grób, czas w gró—ó—ób!

A Wacho szepnął: „Idę”, i blaski jego zamarły.

Toś odbywał straż przy zwłokach; przez trzy dni i trzy noce ich pilnował. Kiedy wrócił po czwartej nocy do grobowca stepowego, nie zastał już zwłok wuja i sądził, że przybyły małe, białe zajączki i zabrały je do raju szaraków, gdzie wielki biały zając siedzi na nieskończonym łanie koniczyny.

Krewni Mikity dziwili się, że stary Rudek, lis stepowy o trzech stawkach i bez kity, chudy zawsze jak wiór, od kilku dni wyglądał wcale dobrze i upaś się. Pogrzebał on był przyjaciela swego, Wacha, na swój sposób.

W ł o m i e



d trzech dni listowie brzóz zwieszało się ciężko z gałązek, jakby z ołowiu było, z gąszczów sosnowych gęsta biła woń; przez cały dzień słońce prażyło łom, i upał gorącym tchnieniem legł nad knieją.

Poza zgłodniałymi kozami żadna nie wychodziła sarna, zanim rosa nie osiadła na łąkach, a kozły najwcześniejszym już rankiem cofały się w gęstwinię; jeśli zaś upatrzyłem którego, to chyba śpiczaka lub widłaczka.

Lecz dziś w południe ciężki grzmot obudził mnie, błyskawice resztę snu spędziły mi z powiek, i wśród ryczących gromów i piorunów ognistych deszcz lał szumiąc na spragnioną knieję. A teraz zroszone żdźbła i kapiące wilgocią krze w blasku skrzą się słonecznym.

„Chodź, piesku mój, dziś knieją na pomyślne zaprasza nas łowy! Zbrojne po łowisku wędrówki ostatnich dni nudziły nas; szeleścił każdy zwiędły liść, pod stopą z trzaskiem pękała każda sucha gałązka, wszędy brzęczało mnóstwo kłójących owadów, nigdzie nie było widać sara w sukni czerwonej. O tak, psiaczku mój, dzisiaj warto wietrznikiem zaciągnąć się górnym wiatrem. A jakże, ja wiem, że tam sarna stoi, ale to koza z dwoma sysakami, a tamta, to siutka, i ten, co w malinach się bawi, to śpiczak — będzie z niego coś jeszcze. Tam zaś nad brzegiem gołaźni parostki o gałęziach jakby z kości słoniowej błyszczą na głowie dobrego szóstaka — lecz na tego za dwa lata dopiero przyjdzie kolej.

Za nogą, jamniczku! Nie wysuwaj tak wietrznika, bo sztucer pozostanie głuchy. Co tu stoi, to dla ludzi, którzy lubią strzelać do uwiązanych kozłów. My rezygnujemy z tej przyjemności. Sarnika, który na półtorasta kroków wodzi za nami świecami, nie sztuka położyć! Zobaczmy, czy nie spotkamy tego starego mądrali, co ma swoją ostoję z tamtej strony wielkiego łomu; łodygi jego gorsze są aniżeli łośńskiego lata, za rok będą jeszcze słabsze. Zresztą dość długo on już kpił sobie z nas, i spudłowałem go też już. Więc dalej do łomu!

Jamnik na otoku drepce za nogą moją, już to świeży nosem wskazując trop, już też zwracając go, wietrząc, w stronę gąszczów. Dzisiaj podchadzanie prawdziwą jest rozkoszą; cała knieja życiem tryska — zewsząd słychać ptasząt śpiew, potoków szemrzący plusk; dukty, jakby podręczniki bogato ilustrowane, mnóstwo wykazują tropów i poszlak, wszędy na gołaźniach stoją sarny, wszędy kapie z drzew, wszystkie gałęzie, wszystkie kiście brylantowe rzucają błyski, powietrze czyste, świeże, wszędzie dokoła trawy i kwiaty radośnie ku słońcu się prężą. Inaczej się kroczy dziś niż w dniach ostatnich, kiedy senność ogarniała tu wszystko krom skoczków, białych motyli i ślepych muszek.

„Ot tu, mój przyjacielu, poczekasz, dopóki nie będziesz mi potrzebny. Uściśnij mi palec!” Jamnik nieszcześliwą nasadza minę, mimo że dowcip jest lichey. „Waruj grzecznie na plecaku i pamiętaj, że posiadam procę. W łomie jesteś zbyt cenny, raz dlatego, że tam są żmije, powtóre, że muszę wdrapać się na czatownię. Szkoda, że nie palisz — czas tak mile wtedy schodzi, ale nie będziesz się też nudził, gdy zajmiesz się chrupaniem obwarzanki. No, do widzenia!”

Dopóki nie znikam za węglem lasu, pies oczy za mną, drżąc cały; potem z rezygnacją okręca się trzykrotnie koło siebie, na-



krywa wietrznik ogonem i śpi — obwarzanki nie rusza, na przekór, od czegożby był jamnikiem? O, on bardzo spokojny; gdy leży na mojem łonie, mogę mu tuż nad głową strzelać — ani się nie ruszy, zaledwie powiekami mrugnie, klapy tylko nieco postawi, czoło zmarszczy i oczy w kierunku strzału.

Lecz zabrać go ze sobą na drabinę — nie, nie można; wisząc w plecaku zeszywnieje i skoślawieje lub nawet piszczeć zacznie, jak łońskiego roku, gdy z tej przyczyny zbyt porywczo strzeliłem do kozła w łomie, a kula uderzyła nie wiadomo gdzie.

Za krzakami wierzbiny przed łąką nawadnianą sarna żeruje. Kozioł — bardzo dobry nawet kozioł. Udałoby mi się zbliżyć na strzał; lecz on mi pewny, a na przyszły rok jeszcze lepsze będzie miał parostki. Owszem, owszem — łodygi wysokie są i mocne i, jak się zdaje, perliste; gałęzie u kończyn świetnie polerowane, rozpięcie też dobre! Ale niech on jeszcze sobie żyje, nadaje się do hodowli jak rzadko który; kto takie sary przed rują sprząta, kosi swoje zboże, gdy ono jeszcze zielone i zarzyna kury, które złote znoszą jaja. Może po rui przyjdzie na niego kolej, a może nie.

Ho, ho! Jak też tu pięknie w lesie! Po bokach drogi, wyłożonej zielonym, mszystym kobiercem, irysy w pełnem kwiciu tworzą szpaler, niezapominajki w gęstym szeregu błękitnemi oczkami patrzą w świat, paproć królewska roztacza swoje wachlarze, zewsząd słychać huczenie grzywaczów, trukanie turkawek, na wilgnym spodzie kniei i czerwonych pniach sosen złote migocą błyski, wśród ciemnych koron błękit nieba mile przyświeca.

Lecz nadeszła pora, by jeszcze ciszej stąpać, jeszcze uważniej słuchać, jeszcze bystrzej patrzeć. Bacność! Gałązka trzasnęła — to koza ciągnie przez dukt, za nią biegnie kozłę.

Jestem na miejscu; przedemną szeroko otwiera się wielki łom. Cóż to był za hałas okropny w ów wieczór lutowy, kiedy

tu w piaskowych górach czatowałem na czerwone rabusie w czasie ich cieczi, a burza zimowa, połączona z zawieruchą śnieżną popsuły mi polowanie! Umykałem co sił w nogach do chałupy, i gdy następnego rana tu zaszedłem, nie poznałem otoczenia. Drzewa w nieopisanym nieładzie leżały mostem, i tam, gdzie ciemnozielone korony tworzyły spoistą pokrywę pni, sterczało zaledwie kilka białych brzoź, smutnych, bladych świadków minionej dzikiej wspaniałości.

Lecz skoro przestały huczeć siekiery i warczeć piły, łom świeżo okrył się krasą; wystrzeliły maliny i jeżyny, wierzbówka wypuściła, dzikie nowiny porastały świeżymi trawami i soczystymi zioły. Odtąd łom stał się główną ostoją sarn i ulubionym moim zakątkiem.

Nie łatwo tu polować! Trzęślica i starzec sięgają do piersi, po ramiona osty, krze różne wybujały na mszystych haliznach, zasianych suszem, korzeniami, korą i szyszkami. Stoją tu wprawdzie dwie wysokie czatownie, lecz upatrzawszy z nich kozła i opuściwszy je, aby go podejść, napróżno szukasz go okiem; tarcze bowiem, tworzone korzeniami wywrotów, pozlepianemi ziemią i chwastem, krzaki cierniste, trzciny, pieńki spuszcanych drzew zakrywają ci widok, i nie ujrzysz go już, albo go spłoszysz. Siedzę tu przecież już kwadrans i trzymam ustawicznie szkła przed oczami, a nie umiem powiedzieć na pewno, czy sztuka, na którą patrzę, jest kozłem. Bez szkła miałem ją za sarnca, ale teraz nie wiem, czy tak jest w istocie, bo zbyt długie wąsy traw zakrywają ją.

Ależ tak — to kozioł, i to ten, którego szukam! Teraz on powoli ciągnie dalej, lecz — oczywiście — prezentuje mi pośladek. Wiatr jest dobry, spróbuję więc. Krzywa brzoza na drugim krańcu halizny niech mi służy za drogowskaz. Jestem u stóp drabiny; schodzenie z niej pochłonęło z pewnością

dziesięć minut czasu, bo sar co moment badał. Znajduję się teraz na środku gołaźni — ale gdzież się podział kozioł? Tu powinien być, lecz nie ma go. Aha! jednak on tu jest — wysuwa się ot właśnie z poza postrzępionej brzozy, lecz stoi teraz — jakżeby było inaczej — na sztych, zakryty jeżynami po sam kark. I na dobitkę bada też jeszcze. Teraz pewnie żeruje, bo nic z niego nie widzę. Odważyć się czy nie odważyć? Wszędzie dokoła szkaradne mnóstwo chróstu, i jeżyn też więcej niż potrzeba. Wolę jednak poczekać jeszcze nieco.

Jak tu dzisiaj wszystko życiem wre! Trznadle, makolągwy, strzyżyki, pokrzywnice, gołębie, sójki, zięby, gajówki, drozdy — wszystko żywo się krząta i uwija.

Tam zając kica, tu siutka u zielonego bawi krzaczka, świeże tropy jelenie wytłoczone są na podmokłym gruncie, wysoko w powietrzu wiośluje kruk.

Lecz gdzież mój kozioł? Cyt — tam ot na ośmdziesiąt kroków stoi on przedemną, jawnie zupełnie, bez zakrycia, ale pokazuje mi serwetkę. Łodygi jego jednak takie mocne jeszcze, jak zeszłego roku, a łojny szelma, że uciecha patrzeć. I czerwony taki, jak chyba żaden inny. Żeby tylko inaczej się postawił! Usłuchał — lecz teraz zakrywa go kierz wierzbiny. Nareszcie półciem stanął, ale zawadza mi pień świerkowy. Z za niego wychyla się sar; cóż, kiedy stoi mi na kulawy sztych. Cierpliwości! Ot teraz — teraz stoi doskonale! Oprzeć sztucer? Ech, głupstwo! Tęk — sztecher zadźwięczał dyskretnie, sar podrzucił łeb i bada, a potem w ogniu wierzgnał tylnemi biegami — i zniknął.

Wrażam w pamięć miejsce postrzału i cichutko podchodzę. Głębokie wytłoki uderzają mój wzrok, w poprzek brzożowego pnia ciągnie się pas jasnoczerwonej farby. Zadanie będzie łatwe. Szybko teraz po psa! Gdy pozostawiłem za sobą las

i wychylam oczy z poza okrągłego krzaka wierzby, widzę, że pies siedzi wyprostowany i nastawia zawiasy.

„Chodź, psiaczku!” Jamnik radosny wydawa pisk i skwapliwie wietrzy koło mnie. Lecz potem ciągnie mnie za sobą na wyprężonym otoku; wie, że będzie robota. Łatwa ona dzisiaj — zbyt łatwa; po czterdziestu krokach stoimy przy koźle — krótka była uciecha! Sar, ugodzony nisko w komorę na przestrzał, daleko ująć nie mógł.

Łodygi parostków o wiele jednak lepsze, niż się zdawało; górą nieco ustawają, lecz dołem mocne są i ślicznie uperlone. I wiele mniej niż czterdzieści funtów nie będzie on ważył, ten stary, czerwony sar.

Tak więc burza jednak się opłaciła.

*

W i e w i ó r k a

*

Szary mrok zalega jeszcze wysoki las. Cisza zupełna. Wiatr północno-wschodni, pohulawszy przez trzy doby, ułożył się, a ostry wiew północno-zachodni ustąpił miejsca łagodnemu wietrzykowi z południowego zachodu. Sarnom w to graj! Wolniej niż w ostatnich trzech dniach ciągną ku ostoi swej w gąszczach stoku, przystawają od czasu do czasu i wygrzebują z pod śniegu żołędź i bukiw; łagodne powietrze przypada i puszczykowi do smaku — głośno i radośnie zahuczał, jak gdyby już kwiecień był zawitał, i pobujał cichym lotem wśród buków szarych.

W dużej, czarnej kuli, co się mieści w najwyższych widłach potężnego buku, szeleści coś delikatnie, słysząc półgłośnie cmokanie. Lis sznuruje wózem i ocząc w górę, słucha — lecz skwaszony dynduje dalej. Nic to bowiem dla niego; włochate to wprawdzie, nie posiada piór, czasem skacze po ziemi, ale w momencie, kiedyby się zdawało, że już nie ujdzie, daje ogromnego susa, suwa się błyskawicznie po najbliższym drzewie w górę, kitką wywija i odzywa się szyderczym głosem: „Kwut, kwut, kwutkwut,” jak tamto na buku.

W czarnej kuli zatrzeszczało głośnie. Wiewiórka opuściła gniazdo i fryzuje się. Niekiedy podnosi główkę i bada wiatr. Powietrze jej się podoba. Wprawdzie ciemno jeszcze trochę, lecz tam nad czarnymi wzgórzami niebo już się rumieni. Głodna jest bardzo, bo trzy dni i trzy noce własnem żyć

sadłem, to nie syci. Któż wie, jak długo będzie pogoda? Luty ma swoje kaprysy, nie można mu dowierzać. Jutro już może śnieg z deszczem popada, i znów trzeba będzie spać i głodem przymierać.

Wiewiórka kręci się niespokojnie na gałęzi, obwąchiwa korę, obgryza trochę pąkowie, i nagłym susem już jest w koronie sąsiedniego drzewa. Gałązki tu cienkie i kruche od mrozu, lecz zanim pęknąć zdążają, już pozbyły się ciężaru i jakby sprężyną podrzucone w pierwotnym prężą się położeniu, a wiewiórka w lekkich podskokach już biegnie po gałęzi sąsiedniego drzewa, jednym rzutem osiąga czwarte, suwa się po cienkiej, nisko opuszczającej się gałęzi, która na piąte ją przerzuca; jeszcze jeden i drugi skok, i czerwona akrobatka znajduje się w koronie starego świerku obsiewnego. Śpiesznie pomyka po długiej, obwisłej gałęzi, sięgającej prawie wierzchołka.

Jesienią gęsto tu wisiały długie szyszki, obecnie mało ich już. Wiewiórka jedną po drugiej zabierała sobie i na lichej tej strawie niejeden przetrwała mroźny dzień zimowy.

Całe podnóże świerku obsiane rdzawymi łuskami, wszędzie szkielety szyszek z śnieżnej sterczą pościeli, i na głazach do połowy zaśnieżonych leżą gęsto rozrzucone resztki skąpych uczt.

Po luźnych kamykach najrozmaitsze też kości rozsiane, które wiewiórka na miejscach, gdzie drwale swoje zasoby spożywali, znalazła i tu znosiła, aby obgryzać je z resztek mięsa i chrząstki; a gdy nic już pożywnego na nich nie było, ona jeszcze dzień w dzień bawiła się nimi z nudów.

Sarnik ciągnie wzdłuż stoku na wysokości wierzchołka świerkowego i głośno strasząc nagle rzuca się do ucieczki, bo przed nim zaszumiło i zaszeliściło coś groźnie — to wiewiórka

z szyszką w pyszczku jak czerwona iskra błyskawicy ślizga się po pniu, zatrzymywając się od czasu do czasu i spoziera na wszystkie strony.

Potem jednym susem wskakiwa na głaz i sterczy na nim pionowo, gotowa zemknąć, gdyby coś podejrzanego zjawić się miało. Lecz nie ma niebezpieczeństwa. Tam w oddali sarny ciągną przez czerwonoлистną buczynę, zając pomału kica sobie pod górę, mysikrólik piska w skałach. Wiewiórka szybko obraca w łapkach szyszkę, przegryza żółtymi siekaczami łuski i skwapliwie wargami wybiera ziarenka, jedno po drugim. Z gładkiej, ładnej przedtem szyszki pozostał tylko szkielet, dokoła zaś łuski pokrywają szary głaz.

Rozwidniło się w lesie. Pnie błyszczą jak srebro, śnieżna pościel na ziemi złotem lśni. Rój czyżyków szczebiocząc i gwizdząc mknie nad lasem, sójka skrzeczy, myszołów kwili. Wiewiórka w ustawicznych podskokach uwija się pod świerkiem; tu i tam skrobiąc, grzebiąc i wietrząc stawia co moment stoczek, strzyże gwałtownie kosmatymi uszkami, wywija kitkę, raz siedzi bez ruchu, to znów śpiesznie mknie po ziemi, tu gałązkę ogałaca z pąków, tam rozgryza bukiew, owdzie znowu spróchniałą strzępi gałąź, szukając w niej poczwarek chrząszczów. Naraz porywa się i ucieka, jakby ją kto gonił, ku dolinie, nie zatrzymując się ani razu, nie patrząc ni w prawo ni w lewo, i przystawa dopiero nad brzegiem lasu. Kilka grubych dębów szare swe ramiona rozkłada tu nad gąszczem tarni, głogu i dzikiej róży.

Bez namysłu zanurza się czerwone zwierzątko w wysokiej, żółtej trawie, w różne skacze strony, odgarnia śnieg, rozgrzebuje zwiedłe liście, łupa łakomie żołędź, spożywa śpiesznie bruśnicę, wyluskiwa jądro z tarnki, ostrzy siekacze, jak już nieraz bywało, o łodygę, którą zrzucił sarnik, delektuje się

trzema pestkami śliwek, które wypuł łowiec, gdy jesienią w czatowni na dębie siedział, znajduje jeszcze grubą skórkę chleba, ogryzek jabłka w smaczne obfitujący pestuszki, i na koniec dwa żeberka wieprzowe o kruchych chrząstkach końcowych.

Teraz, gdy żołądek zaspokojony, wiewiórka uważa, że samotne życie w lesie jest nudne. Słoneczko mile przygrzewa; budzi się w niej tęsknota za wesołą, karkołomną zabawą po pniach i koronach drzew. Przez całą zimę nie miała takich zachcianek; była rada, gdy nikt z jej rodu nie wchodził jej w drogę. Wszystkie bowiem wiewiórki, samce i samiczki, obojętnie czy czerwonym, szarem, brunatnym lub czarnym odziane futerkiem, cierpiały wtedy głód, boć zimą w górach lesistych stół przecież nie bogato zastawiony. Ale gdy luty resztkami goni, nic dziwnego, że tęskni się za towarzystwem i wita z przyjemnością świeży szlak, migocącą w słońcu kitkę, lub miły ów szelest i zachęcające cmokanie i parskanie w koronach drzew.

Wiewiórka, niecierpliwością i tęsknotą trawiona, wędruje nad brzegiem lasu, sunie czasem dla odmiany po pniach i konarach drzew, spuszcza się znowu na ziemię i stawa nagle jak wryta.

Z przeciwnej bowiem strony na ścieżce także się coś zbliża w szybkich, skwapliwych podskokach i również w ruchach zastyga. Przed wiewiórką sterczy czarny jak węgiel samczyk z białą jak śnieg piersią. Wygląda on wspaniale — szare końce włosów nadawają futerku błękitny odcień. Sztywno oboje siedzą naprzeciw sobie. Czasem zadrga puszysta kitka, czerwona lub czarna, i wtedy błyski koprowe lub stalowe migocą w słońcu. Czarny samczyk daje susa, czerwona samiczka odpowiada cmoknięciem i nawraca. Rozpoczyna się gonitwa

przez las, zasłany białym śniegiem i czerwonymi liśćmi. Samiczka przepada w gęstwie świerkowej, lecz zaraz wychyla się znowu z niej, a za nią sadzi samczyk. Mknie on wodończą, wyłobioną przez potok górski, rwie przez trzeszczący lód, który wisi w powietrzu nad wodą, zdradliwy tworząc pomost, suwa się przez kamienne bryły, zeskakiwa z głazu i zderza się nieomal z trzecią wiewiórką, dużą, brunatnoczerwoną, której futerko srebrzystym pokryte szronem.

Ruda samiczka uwiesiła się na bukowym pniu i patrzy bez ruchu po za siebie. Oba samce przysiadły i również nieruchomo sterczą naprzeciw sobie, łapki przednie podniosły prawie aż do pyszczka i kitki o pięknym łuku przyłożyły do grzbietów. Siedzą i wywalają na siebie ślepie. Dzieciół wymsła, sójka zrzędzi — samce nie ruszają się. Sikora wrzeszczy — one wciąż siedzą. Wtem zwiędłe liście zaszeleściły — rywale dawają słupka; samiczka poczyną suwać się po pniu, za nią gonią czarny i brunatnoczerwony samiec, i trzeci jeszcze, rudy z szerokim, czarnym przez grzbiet pasem i ciemną kitą, nowy adorator, który przybył szlakiem samiczki.

■ Dzieciół i sójka i sikora i kowalik i mysikrólik głośno się oburzają, bo ustawiczny niepokój padł im na nerwy. To przecież prawie taki hałas, jak wczoraj, gdy wichur północno-zachodni szumił w lesie. I teraz oto, choć wiatru nie ma, znowu chrzęści i szeleści, puka i stuka, tu opada gałąź, tam trzeszczy konar, tu sypie się igliwie, tam wirują porosty, tu cmoka, tam parska i kwiczy, tu kotłuje w starej sośnie, tam szumi w wywrocie bukowym, że trzy sarny, stojące w pobliżu, kręcą się zaniepokojone, i gile pośpiesznie odlatują; zając, co pod młodym bukiem o gęstym liściu spokojnie oddawał się trawieniu, przerażony pomyka z kotowiny, tuman śniegu zostawiając za sobą, bo nagle wpadło coś z chrzęstem w zarośla.

Była to czerwona samiczka, której nieustanne zalecanki zaczęły też już gardłem wychodzić. Od godziny nie zaznała ani chwili spokoju. Raz czarny samczyk ją gonił, raz brunatny, i gdy te się ze sobą borykały, naprzykrzał jej się adorator o czarnym grzbiecie. Skoro zaś tego poskramiał brunatny, czarny ją nagabywał. I tak szło wciąż. Teraz miała dosyć tego, i gdy trzy samce, zbite w kłęb, z jednej strony świerku zleciały w śnieg, ona z drugiej strony drzewa rzuciła się w gąszcz bukowy. Siedzi teraz bez tchu prawie, fryzuje się i myje, i patrzy za trzema konkurentami, które giną jej w lesie z oczu w trzech różnych kierunkach. Samiczka korzysta z przerwy i pośpiesznie znika w stronę skalistej ściany.

Tutaj bowiem znajduje się zimą jej główna spiżarnia. Stoi tu krzywa lipa, która co rok rodzi, i cztery stare krze orzechowe rozkładają się pod dwoma obsiewnemi świerkami, postrzępionemi przez wichry, i choć nie rośnie tu żaden dąb, zawsze w pobliżu znaleźć można żołędzie, przez sójki naniesione, z starego buku co drugi rok opada też obficie do wąwozu bukiew, pewna przed myszami, bo często zachodzi tu lis. I dzika jabłoń wychyla się ze ściany, a u wylotu wąwozu rosną czerwemchy, nie brak też tarni, głogu i dzikich róż. Gdy więc wikt w lesie pozostawia do życzenia, to tu zawsze znajdzie się coś dla żołądka; pod ścianą skalną rosną nawet trufle, największy specjał, którym las darzyć może.

Nie daleko stąd stoi leśniczówka otoczona ogrodem, który obfituje w delikatesy: jabłka, gruszki, śliwki, czereśnie i orzechy. Trochę tam niebezpiecznie co prawda, bo leśnik, od czasu gdy zwąchał, kto mu nagryza i kradnie orzechy, bardzo czujnie pilnuje ogrodu; lecz przed świtem żyje się tu jak w raj.

Wiedzą o tem wszystkie wiewiórki w lesie górskim i zawsze tu znajdują towarzystwo. Zaledwie też czerwona samiczka zjawiała się w ogrodzie, już samczyk brunatny przy niej się znalazł i gorliwie się zaleca. Z początku samiczka się droży i aranżuje małą gonitwę przez krzaki i zarośla, przez rowy i głązy; lecz że zmęczona jeszcze od poprzednich harców, a samczyk naprzykrza się nieustannie, zadaje mu pazurkiem szramę przez nos, szczypie go boleśnie w wargę, i amant ulatnia się wreszcie. Podczas ciepłych godzin południowych samiczka gimnastykuje się po ścianie skalnej i szuka żołędzi i bukwi pod pokładem zwiędłych liści. Po południu, kiedy słońce za chmurami się chowa, podąża ona do miękkiego i ciepłego posłania najbliższego gniazda w widelkach świerku, w którym zawsze nocuje, skoro ją wieczór zaskoczy tu, w skałach.

Dzień idzie za dniem. Powietrze coraz łagodniejsze. Wiewiórka cały dzień jest w ruchu. Niejednego chrząszcza wygrzebywa z pod liści, niejedną gąsienicę i poczwarkę z pod mchu. I gdy zgola odkryła jeszcze paśnik, w którym leśniczy sarnom żołędzie podsypywa, poczyną jej się lepiej powodzić niż dotąd, i codzień, nie troszcząc się o sarny, swoją spożywa część oraz wzbogaca spiżarnię niejedną żołędzią, wpychając ją w szczelinki skał lub chowając w szparach, tworzonych przez odstającą od pni korę.

Gdy chmury zimny spuszcza deszcz, lub gdy ostry wiatr dmie, wiewiórka prześpi jeden i drugi dzień, a jeśli pogoda, nie uchyla się ona od wesołych płaśów i szalonej gonitwy z pierwszym z brzegu miłym towarzyszem, którego po drodze spotka.

Nastaje czas, że zabawy te ustawają. Samce już się za nią nie uganiają, bo jej myśli innemi zajęte sprawami.

Na niebotycznym buku o długiej strzale wiewiórka zakłada duże, mocne gniazdo o grubych ścianach. Wiele sobie z tem zadaje trudu. Wciąż znosi pęczki mchu lub zwiędłej trawy, wyschłe korzonki i suche liście, spilśnia przednimi łapkami jedną warstwę pokładu z drugą, kręci się i wierci, dopóki wyłobienie nie jest równe i gładkie, zaopatrywa gniazdo w mocny daszek, zapycha każdą szparę, którąby wiatr miał dostęp, i zostawia tylko od wschodu okienko, które łatwo zamknąć można, gdyby od strony wschodzącego słońca wiało.

Zięby dzwonią, drozdy gwizdzą. Czerwonej wiewiórki nie widać teraz tak często. Rychłem rankiem szuka ona pokarmu i o zmierzchu wieczornym; chciwie spożywa wszystko, co jej się spotkać zdarzy. Nie przepuszcza żadnemu żukowi, nie gardzi żadnym motylem. Smardz z pod pokładu liści ginie szybko pod jej ostremi zębami, pąkówki klonu, kielkująca żołądź i bukiew znikają w jej pyszczku. Strawa wiosenna jeszcze chudsza jest od zimowej, a wiewiórka ma głód czterokrotnie większy, niż zimą, bo w gnieździe u wierzchołka buku leży sześcioro młodych, których pyszczki nasycić trzeba. Więc stara zjada, co tylko się nadarza, aby maleństwu dostateczna ilość mleka się dostała.

W miarę, jak one podrastają, stawają się coraz więcej łakome, a warunki życiowe, o ile tyczą się karmy, powoli tylko się poprawiają. Chrabąszczy nie ma, gąsienice małe jeszcze, żołądź i bukiew się skończyły, pąkówki wszystkie rozkwitły. Dla wiewiórki najgorszy w ciągu roku czas, gdy buk okrywa się zielenią. Głód, wieczny głód, a strawa taka chuda! Polując na chrząszcze i gąsienice, wiewiórka napotyka się na gniazdo drozda. Niebieskie kuleczki świecą się w niem, jak dojrzałe żołądź. Może one też tak smakują, jak tamte? Co z nich

wycieka jest wprawdzie trochę mokre, lecz smakuje nieźle i uśmierza głód.

Tam oto znowu jest gniazdko; nie ma w niem jaj, są natomiast nagie pisklęta. Piszczą żałośnie, a stara dziko okala gniazdeczko, straszy i skrzeczy, lecz młode ptaszki lepsze przecież od kory lub młodych pędów, i co najważniejsze, więcej sycą aniżeli owady o sześciu nogach, łażące w mchu i trawie.

Nareszcie buczą pierwsze chrabąszcze, gąsienice coraz dłuższe i grubsze, skoczki coraz tłustsze. Teraz życie w lesie poczyną być znośne.

Pozatem nad drogą leśną znajduje się ogrodzony kawał ziemi z dołkami, w których tkwią żołądź; mocno wprawdzie kielkują, lecz smakują jeszcze nieźle. Gdy młode wiewióreczki pogubiły użębie mleczne i na własną rękę poczynają szukać strawy, różne lepsze rzeczy spotkać już można w lesie. Tu i owdzie smaczny znajdują grzyb, w orzeszkach już są małe mleczne jąderka, roi się od gąsienic, poczwerek i skoczków, i kłosa żytnie w polach graniczących o las warte wyprawy; można bowiem, bujając na gałązkach bukowych, nisko schylających się ku ziemi, łatwo zerwać je i wyłusknąć.

Najcenniejszym darem lasu w tej porze to kwaskowy, musujący sok, który się z starych sący dębów.

Codzień około godziny jedenastej zjawia się tu wiewiórka, odgania muchy i szerszenie, które się sokiem raczą, i liże fermentującą ciecz, póki jej się w głowie nie kołowroci; zaczyna wtenczas zabawne wyprawiać podskoki i kitką podrygiwać, jak gdyby był początek wiosny. W upojeniu zapomina o wielkiej ostrożności i czujności, i gdyby się w ostatniej chwili nie była rzuciła w zarośla, byłaby padła ofiarą szponów gołębiarza, co jak cień mignął między drzewami. O niebezpieczeństwa

w lesie wogóle nie trudno. Przed jastrzębiem ona nigdy nie jest pewna. Ostatniego jej adoratora, czarnego jak węgiel samczyka, związał on i uniósł, gdy tenże wesoło bawiąc się w łapanego, uganiał się za nią. Dwoje jej niezgrabnych jeszcze młodych umorzył puszczyk w dwu następujących po sobie wieczorach. Trzy razy się zdarzyło, że zniewolona była rzucić się na łeb na szyję z gniazda na ziemię, gdy jej od kuny leśnej groził napad, a raz, za dnia białego, tumak gonił ją przez pół godziny od drzewa do drzewa, póki ona z topoli nie rzuciła się w staw i, drząc cała, nie ukryła w trzcinie.

Z czasem, nauczona doświadczeniem, stała się bardzo ostrożna, i przezornie unikała niebezpieczeństwa. Mimo to bywało, że ledwie życie uratowała.

Kilkaset kroków od lasu stoi na polu wysoka grusza. Gospodarz, którego ona własnością, nigdy z niej nie widzi owoców; zanim bowiem gruszki dojrzewały, wiewiórka jedną po drugiej nagryzała i pestki z nich wyjadała. Raz przydybał ją na złodziejstwie, kazał chłopcu wdrapać się na gruszę, sam zaś czekał z psem pod drzewem. Chłopak wspiał się do wierzchołka i trząsł gałęzią, póki wiewiórka łukiem nie spadła w koniczynę. I pies o włos byłby ją dostał; lecz w ostatnim momencie wślizgła się w wąską rurę drenową, ztąd pod krzak tarni, potem w pszenicę, i tak uszła na ten raz jeszcze szczęśliwie i dostała się do lasu. Od tego czasu wyprawia się w pole zawsze tylko najrychlejszym rankiem; bez półdojrzałych bowiem ziarn żytnich, owsianych i pszenicznych niechętnie tylko się obywa, i na miedzy pod borem wszędy spotkać można kupeczki plew, resztki wiewiórczych uczt.

Lecz najmilszą dla niej porą jest jesień. Wtenczas cały las obfituje w przysmaki. Pod klonami i grabami leży moc skrzydlatego siemienia, na dębach pełno żołędzi, leszczyna ugina się

pod ciężarem orzechów laskowych, i w koronach buków dojrzewa tłusta bukiew. Nie dziw, że wtedy roi się w lesie od wiewiórek, które ściągają się tu z całej okolicy.

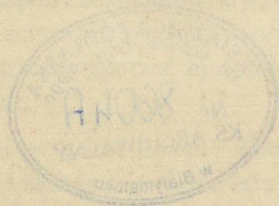
Wszędzie w boru skacze i migoce. Rude wiewiórki niższych warstw leśnych spotykają się tu z czarnymi i brunatnymi okazami wyższych górskich stref świerkowych, gdzie przez cały rok szyszki jedyną prawie są strawą. Gdy w środkowym pasie górskim wszystkie porządnie się podkarmiły i lekką sukienkę latową zamieniły na gęste, długowłosiste futerko zimowe o szarym połysku, wtenczas rozłączają się, i dawni tubylcy posiadają znowu las dla siebie.

Koniec.



Spis rzeczy:

	Strona
Wacho	5
Ciężkie czasy	13
Miłosne przygody Chrapka	18
Ostatni z rodu	26
Tumak	34
Kubuś	41
Szydlarz	48
Arcysara zgon	59
Ostatnia pieśń	67
Zakłócony spokój domowy	74
Bobuś	81
Jeź	89
Rozwiązana zagadka	97
Odyniec	103
Mikita	113
Mój jaźwiec i moje jamniki	123
Obcy przybysze	130
Zmierzch kotów	140
W łomie	147
Wiewiórka	153



21 -

15 X 1 1/2 in 134037

105710